ALMANAX

FANTASY

2021 VOL. 1

ZESZYT SPECJALNY NR 1

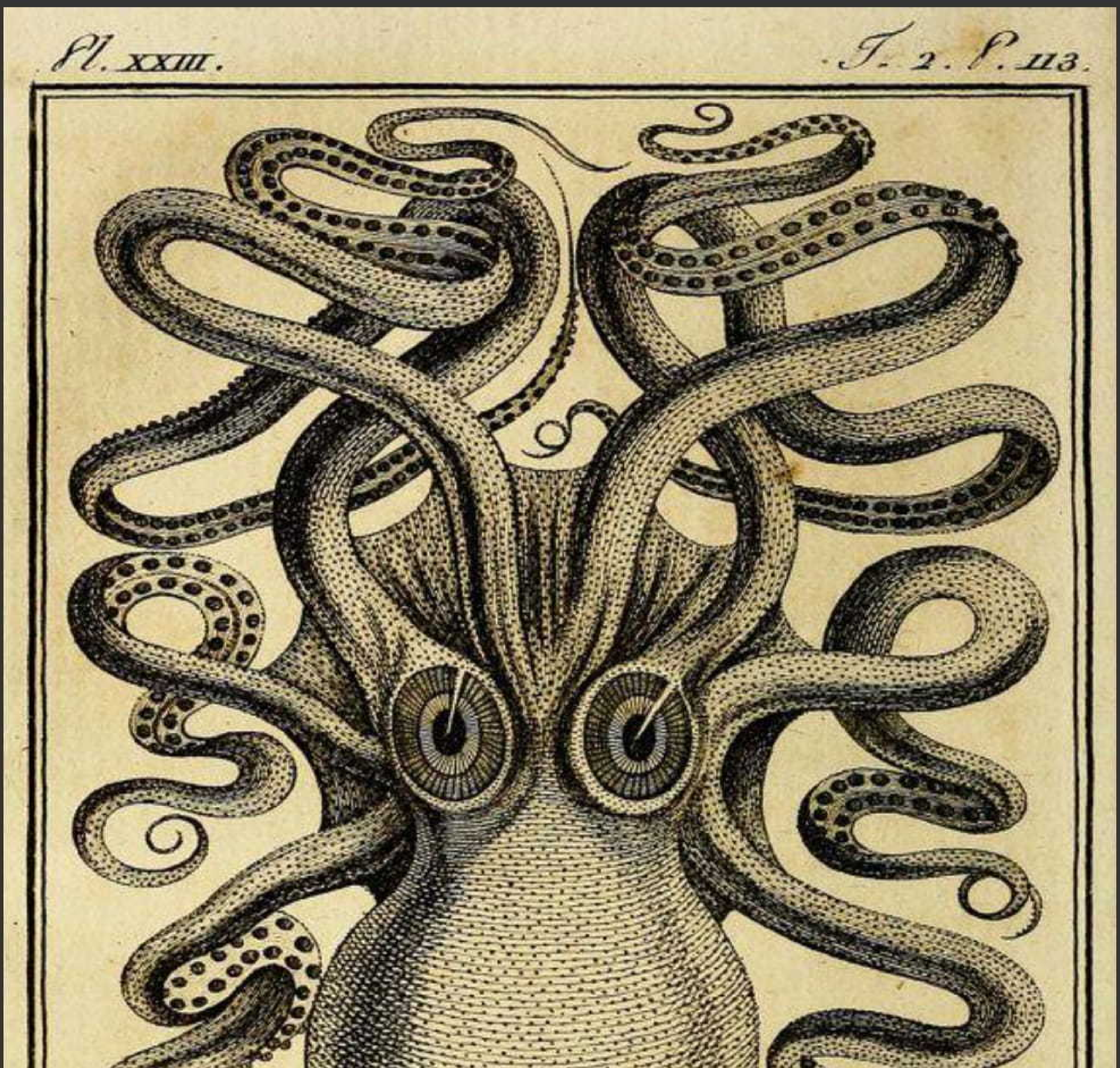

Stopka

AlmanaX Studencki

Zeszyt Specjalny Nr 1. Fantasy

Koło Naukowe Teoretyków Literatury UG
Pracownia Historii i Teorii Fantastyki

Patronat:
Wydział Filologiczny UG
Instytut Filologii Polskiej UG

Redakcja: Michał Bolek (Dział Przekładu), Joanna Danowska (Działy Grafiki i Fotografii), Patryk Dzikiewicz, Szymon Kamiński (*Social Media*), Alicja Smaruj, Paulina Sokólska (Dział Prozy „W stronę liryki"), Marysia Wrzeszcz (Dział Poezji), Aleksandra Zdanowicz, Maciej Dajnowski (Hub Komunikacyjno-Logistyczny), Reb Daynower (Redaktor Numeru)

Adiustacja, korekta, redakcja: Zespół

Typografia i skład: *Sophrosyne DIY*

Concept art i oprawa graficzna: *Yōkai DIY*

Okładka:

Pierre Dénys de Montfort, Étienne Claude Voysard, *Le Poulpe Commun* (1801)

Okładka tylna:

Pierre Dénys de Montfort, Étienne Claude Voysard, *Le Poulpe Colossal* (1801)

Pestilentiae Anno Secundo

Gdańsk MMXXI

© Ida Cylwik, Dominika Firyn, Jakub Kraszewski, Emilia Kuczmaja, Kinga Kuster, Maciej Lipa, Wiktoria Łukaszewicz, Antoni Majewski, Adam Mioduszewski, Piotr Pędziszewski, Marcin Romanik, Maciej Roszkowski, Urszula Sikora

© AlmanaX Zespół

Modelki i modele: Laura Bącal, Ida Cylwik, Karolina Rutkowska, Piotr Kłudka

Wszelkie reprodukcje rysunków, malarstwa, grafik, fotografii zostały użyte w celach wyłącznie edukacyjnych i jedynymi dysponentami praw autorskich są ich właściciele.

W składzie wykorzystano następujące darmowe fonty:

Fisherman, Khosrau, Mayan, Meroitic – Hieroglyphs, SL Rock Art, Tengwar Parmaite, WC Fetishist Bta, Younger Futhark Short Twig

Numer zamknięto 9 października 2021 r.

Kontakt:

e-mail: almanax.redakcja@gmail.com

FB: https://www.facebook.com/AlmanaX-100172365560354

Messenger: m.me/100172365560354

Instagram: @almanax.almanach

Tumblr: https://almanax-almanach.tumblr.com/

WWW: https://fil.ug.edu.pl/wydzial_filologiczny/instytuty/instytut_filologii_polskiej/dzialalnosc_instytutu/kola_naukowe/kolo_naukowe_teoretykow_literatury_ug

Spis treści 4

Spis ilustracji 5

Exordium 7

.. **9**

Emilia Kuczmaja, *Malarka* 10

Dominika Firyn, *Walka bliźniąt* (fragment) 41

Urszula Sikora, *Morowe Dziewice* 51

Antoni Majewski, *Torlof* 55

Maciej Lipa, *Skrzydła zlepione krwią* 67

Wiktoria Łukaszewicz, *Gdańscy piraci* 76

Kinga Kuster, *Ciemność* 94

Marcin Romanik, *Poradnik karmienia kucyków* 105

Adam Mioduszewski, *Zrozumieć magię* 122

Ida Cylwik, *Nawojka* 134

.. **145**

Jakub Kraszewski, *Figure painting* 146

Dominika Firyn, *Grafiki* 154

Ida Cylwik, *Maquillage* 160

... **164**

... **167**

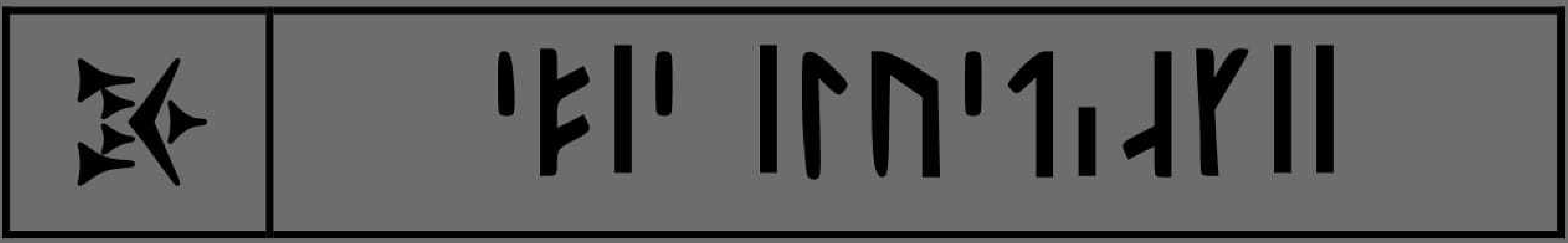

Ponieważ alfabety wykorzystane w opisie ilustracji oryginalnych nie znajdują się raczej w *curriculach* naszego Wydziału (prędzej Hogwartu, Niewidzialnego Uniwersytetu w Ankh-Morporok i Szkole Magów na Roke), zamieszczamy mini-tezaurus *alias* ściągę, dla lepszej orientacji PT Inteligentynych Czytelniczek i PT Pięknych Czytelników.

W numerze prace swoje zamieścili:

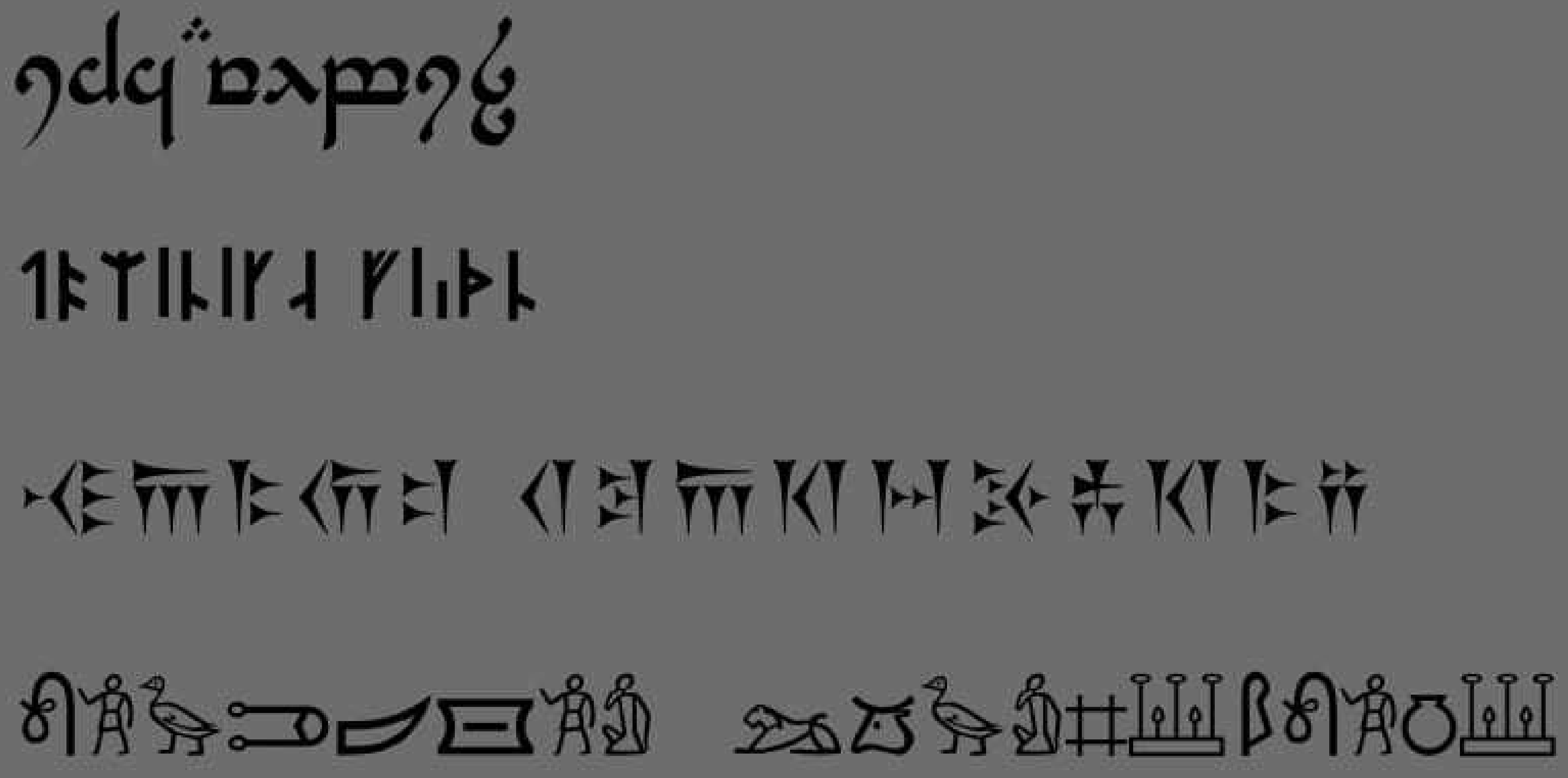

Ida Cylwik

Dominika Firyn

Jakub Kraszewski

Wiktoria Łukaszewicz

Ida Cylwik

Matka Boska Skrwawiona **s. 40**

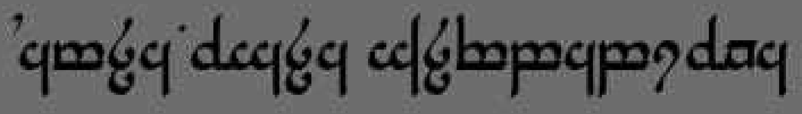

Mroczne Elfy **s. 65**

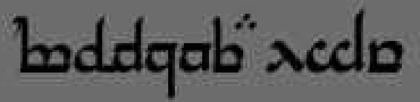

Motyl **s. 75**

Syreny **s. 91-92**

Królowa Śniegu **s. 144**

Dominika Firyn	**Bliźnięta** (*concept art*)	**s. 49-50**
	Hilal	**s. 49**
	Sharms	**s. 50**
	Panny morowe	**s. 54**
	Torlof	**s. 64**
	Mermaid	**s. 93**
	Spiky	**s. 104**
	Nocnice	**s. 141-142**
Jakub Kraszewski	**Kharadron Overlords: Arkonauci**	**s. 66**
	Magowie i demony	**s. 133**
	Lady Olynder	**s. 143**
Wiktoria Łukaszewicz	**Pinky Pie – Glitch**	**s. 121**

Będzie krótko.

Uruchamiamy w „AlmanaXie” nową linię produkcyjną, mianowicie „Zeszyty Specjalne”. W zamierzeniu są to numery tematyczne, zogniskowane na określonych problemach lub reprezentujące szczególne formuły literackie. Zaczynamy od *fantasy*. W najbliższym czasie również horror (zachowajcie czujność w nocy z 31 października na 1 listopada, numer chcemy wypuścić na Zaduszki 😊). Plany są czynione z rozmachem, więc wkrótce również *Pod znakami Erosa*, *Natura Naturans*, *Metamodernizm*, *Cyberpunk* i *Postapo*. I sam Dyabeł wie, co jeszcze.

Pytajcie w empikach, e-bookach i na targach ~~rybnych~~ książki. Nic tam nie znajdziecie, bo to towar luksusowy, tylko dla elit czytelniczych ludu pracującego (i studiującego w wolnych chwilach). Zaglądajcie raczej do nas. 😉

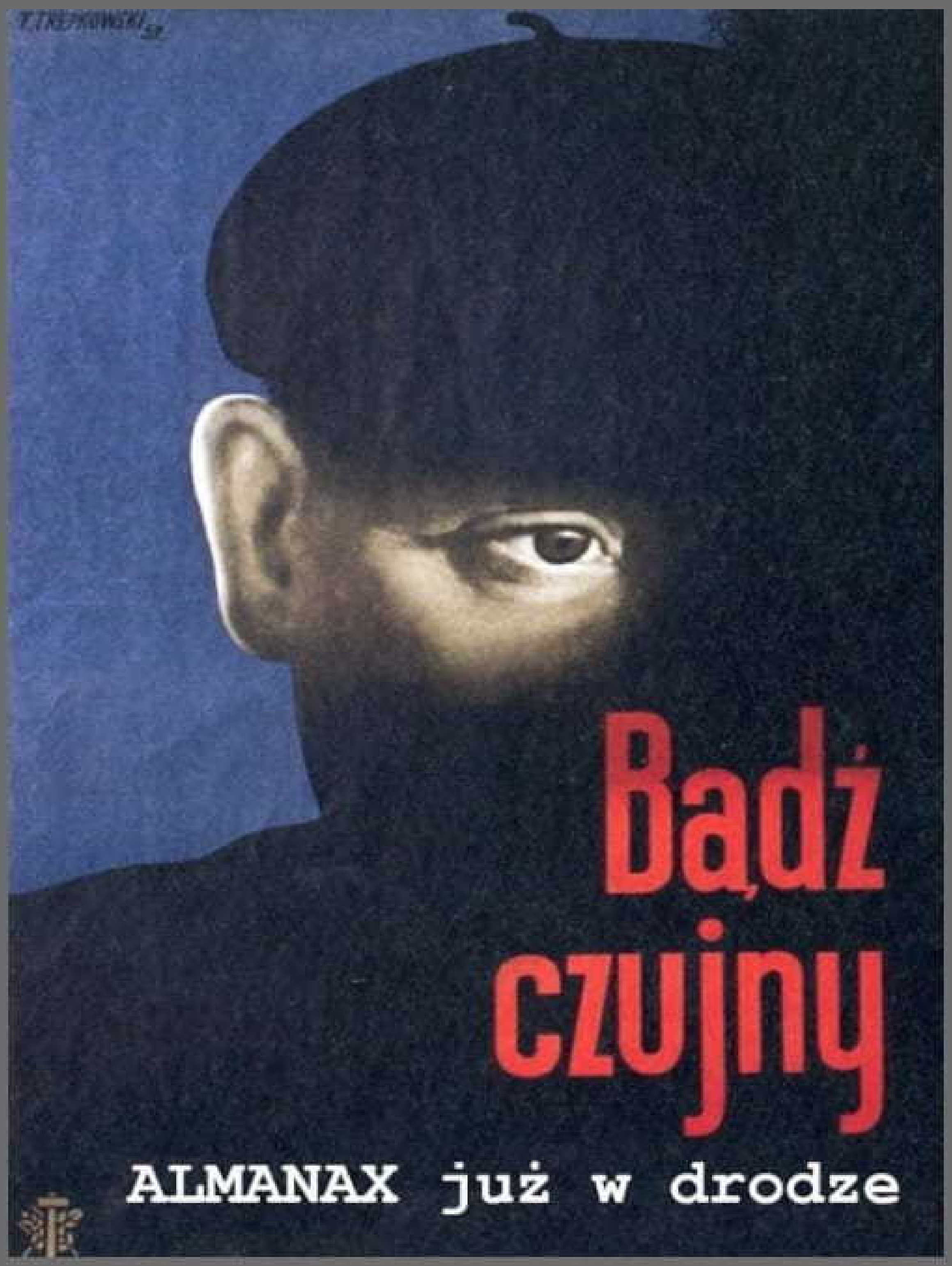

T. Trepkowski i Squat Bischofsberg,
AlmanaX al ûnderweis (1953-2021)

W odróżnieniu od głównego grzbietu „AlmanaXu” „Zeszyty Specjalne” będą wychodzić nieregularnie – w takim rytmie, w jakim nam się spodoba. I programowo będą nieco cieńsze (wariant wege / fit). Żeby się Wam na tych studenckich regałkach pomieściły. XD

Więc zaczynamy od *fantasy*. Bo kto zabroni? (Nie zaczyna się zdania od „więc"? Więc na palmę.) A kategorię potraktowaliśmy szeroko. Bo kto itd.? No to mamy tu zarówno klasyczne przykłady *high*, *epic* czy też *heroic fantasy* (*Walka bliźniąt* Dominiki Firyn, *Torlof* Antoniego Majewskiego), jak i ich warianty miksowane z tradycją mangi, *anime* i gier komputerowych (*Skrzydła zlepione krwią* Macieja Lipy). Mamy *fantasy* marynistyczne (*Gdańscy piraci* Wiktorii Łukaszewicz) i słowiańskie (*Nawojka* Idy Cylwik; przedrukowana z 1-go numeru „AXu, bo zaXebista), mamy też *crossover* z baśnią i folklorystycznymi podaniami (*Morowe Dziewice* Urszuli Sikory).

Zrozumieć magię Adam Mioduszewskiego to znów *crossover*, tym razem jednak *urban fantasy*, prozy *noir*, dystopii i Harry'ego Pottera (czy bardziej *Un Lun Dun* Chiny Miéville'a). Gatunkowym miksem zdaje się wampiryczno-zombie'czno-gotycka *fantasy* Kingi Kuster, *Ciemność*, natomiast *Poradnik karmienia kucyków* Marcina Romanika jest fanfikiem *My Little Pony* (a tak – Hasbro), a przy tym formalnie skomplikowaną akapitówką – to taka *Gra w Cortazara* i RPG w jednym. W niewielkim stopniu fanfikiem są też zresztą *Skrzydła...* Kto ciekaw, niech zagra w *Sekiro: Shadows Die Twice* studia FromSoftware...

A rozpoczynamy ten maraton niezwykłą, oniryczno-surrealistyczną, apelującą do wyobraźni i zmysłów, niejednoznaczną *Malarką* Emilii Kuczmai.

Osobne słówko należy się oprawie graficznej. Tradycyjnie coś tam-coś tam poskrobało się z *found footage'y*, ale prezentujemy też wybór oryginalnych prac Idy Cylwik (makijaże sceniczne), Dominiki Firyn i Wiktorii Łukaszewicz (grafiki komputerowe), Jakuba Kraszewskiego (*figure painting*). Czasem ilustrowaliśmy nimi teksty, czasem zaś przybierały postać indywidualnych galerii obrazów. Wybór jest skromny, jak na to, co mamy jeszcze w archiwach, ale nie bójmy żaby, się wrzuci przy najbliższej okazji. 😊 Bo mam wrażenie, że nie jest to ostatni zeszyt poświęcony fantasy. A na pewno nie ostatnia inicjatywa „AlmanaXu".

Dobra. Nie spać! Zwiedzać!

Do miłego wkrótce.

W imieniu Redakcyi

Reb Daynower

Pl. XX. T. 2. P. 90.

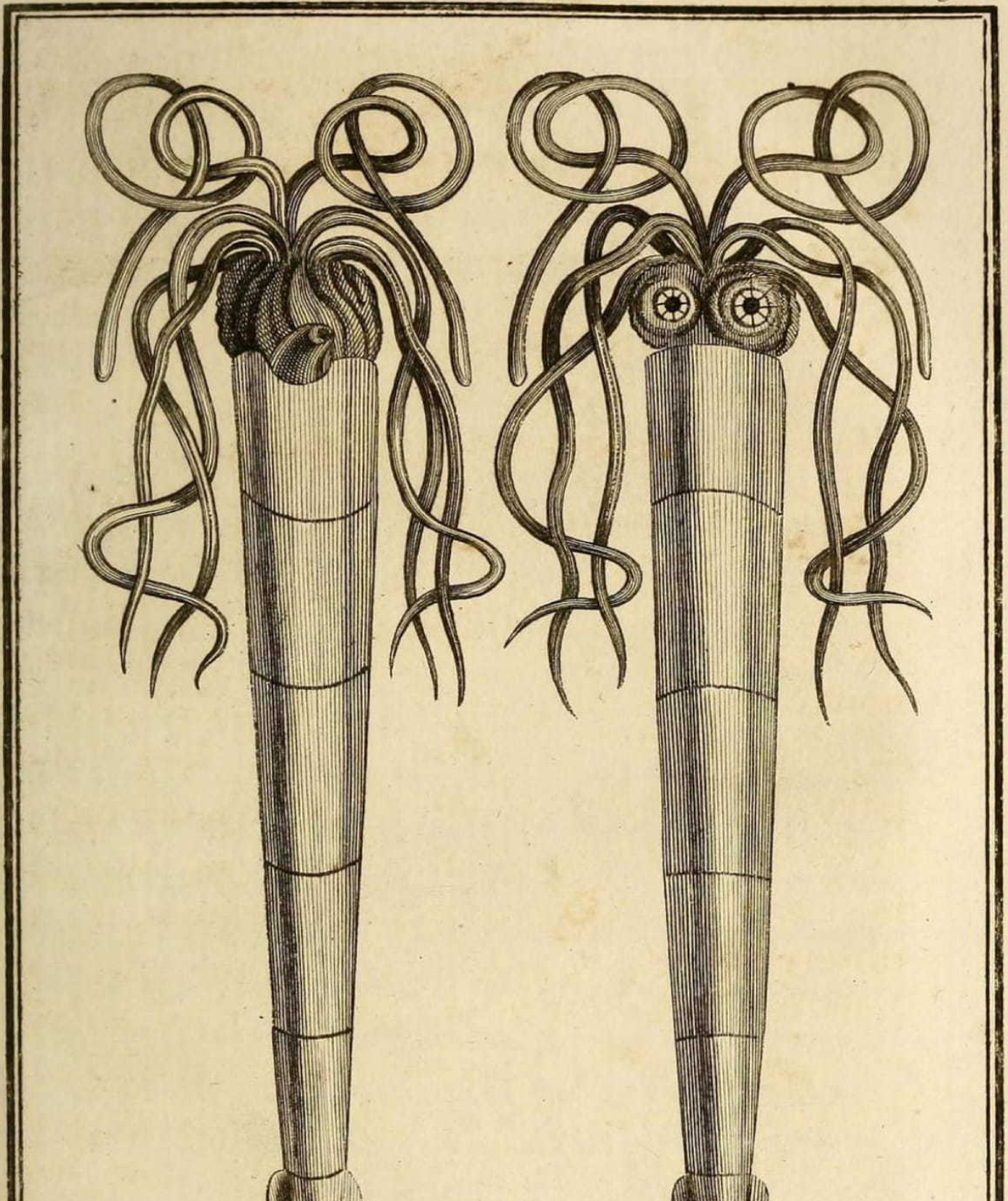

Denys-Montfort del. Duhamel S.

LE CALMAR TRONÇONNÉ.

Emilia Kuczmaja

Malarka

Obłąkane chore dziecko w ciele młodego mężczyzny drżało i jąkało się w jakiejś tajemniczej egzaltacji, jak gdyby widok miejskiego targu objawił mu się po raz pierwszy. Było okrutnie ciasno i nikt nie zwrócił uwagi, gdy jego nabrzmiałe, mokre usta ukryte w rzadkim zaroście, gdy rozbiegane oczy i odór spoconego ciała zawisły tuż nad głową zdrowego okazu, długowłosej istoty, nikt nie raczył dostrzec tego przerażenia i krzyku, pary wątłych dłoni wbijających paznokcie w potylicę dla chwili ukojenia.

Matka chłopaka nic nie widziała. Patrzyła martwo, odpowiadając zdawkowo „Tak, tak, nie, tak". A ona kuliła się w sobie, wczepiając w lapisowe mury, dociskała chustę do twarzy, jakby w przestrachu, by ta martwota nie dosięgła i jej również. Do kogo iść? Z kim pomówić? Ktokolwiek by się znalazł, choć nie dopuszczała teraz tej myśli (*Po kolei, nie można na raz piętnować się wszystkimi wyrzutami sumienia!*), ktokolwiek by tu przyszedł…

Ale ta matka nic nie zrobi. Może też jest chora? Boi się go? Nie… Kocha. Kocha? Ona by nie kochała?! Pławi się w tej swojej młodości, nieświadoma, ile nieszczęść doczeka jeszcze za życia! Czy ona by kochała? To kwestia przyzwyczajenia… Kiedyś widziała, jak suka tuliła poduszkę wypchaną słomą. Próbowała ją nawet karmić. Matka wytrzymuje te męki codziennie, a ona nie może znieść ułamka chwili na zatłoczonym rynku, skrawka momentu, świadomości, że mija ją boski pomazaniec, naturalny błąd…

Ona jest nieśmiertelnie młoda. Jeszcze wolno jej odwlekać te myśli. Teraz dławi się swoją swobodą, stojąc wbita w ścianę, ubytki w skale wypełniają się miękką fakturą jej szat i sprężystej skóry. Jak dobrze, że nie ma ojca, który dawno wydałby ją za mąż za jakiegoś starca! I oni wpychają się w nią jak kara. Ich pot to teraz jej pot. Jakkolwiek głośno by łkała – to na nic.

Za moment otworzą bramy, tłum ruszy i zostanie sama. Kupi kilka cytryn, uśmiechnie się do jakiegoś dziecka, na chwilę zapomni, wróci do domu, zasłoni kotary i da upust wszystkim modlitwom za lęki swego świata.

Mimo że sklepienie było bezchmurne, jakiś cudowny wapor ulgi parował, to znowu się skraplał, zalewając piersi poddanych radością, jaką wywołać może tylko świadomość końca wojny. Istotnie, ludzie cieszą się niekiedy tak bardzo, że tracą świadomość przyczyny tego zadowolenia, na chwilę o nim zapominając, mogą na nowo odczuwać radość z przyszłości. Synapsy jak polipy łaknące krzty światła, chłoną każdą dobrą nowinę, kurcząc się pod muśnięciem trzeźwych osądów.

Lapisowe Mury nagrzewały się za dnia, chłonąc nocną bryzę po zmroku, by rankiem przyjąć w skalną masę kolejną porcję gorącej energii.

Ucztom nie było końca. Kupcy wymieniali się towarami w akcie przyjaźni, gdyż pieniądz był tak powszechny, jak ziarna piasku rzucane niegdyś przez fale na ląd. Najcięższe batalie zdają się nie mieć końca, tym bardziej nieoczekiwany tryumf nad nieprzyjacielem naznacza zwycięzców piętnem tego szczególnego poczucia boskich wybrańców.

„To nie miało być tak!”, dziwili się w swoich komnatach uczeni, których wszelkie wcześniejsze przypuszczenia nie wróżyły wojskom pomyślności.

Kapłani kiwali złośliwie głowami wznosząc zaraz ramiona ku sklepieniu, które w tym miejscu nigdy nie odsłaniało słońca, jedynie światło mętnego błękitu zmieszanego z turkusem dawało ludziom możność widzenia… Pochowali nas głęboko w niebie...

Cóż to za powodzenie, zyskać tak wiele bogactwa i nie móc oślepiać nimi pozostałych narodów?! Kiedy wygrywa się tak wysoką stawkę, jednocześnie będąc pewnym głupiego łutu szczęścia, odczuwa się zwierzęcą wręcz potrzebę zakopania swej zdobyczy, ażeby (brońcie, bogowie!) nikt się o tym dziwactwie nie dowiedział – nawet sam skąpiec.

– Patyna. Żaden lapis. Tyle po nas zostanie.

– Marudzisz, kanclerzu… – odparł Najwyższy głaszcząc małżowinę ucha. – Przesiąkłeś stęchlizną starych ruin…

– Zdobycze? Pomyślność? Pożyczka! Wyrwą nam to prędzej czy później! Kiedyś trzeba będzie przedrzeć się przez wody, zdobyć żywność! Matki nie nakarmią dzieci perłami na srebrnych talerzach!

– A jeśli ci powiem, że przychylnością otoczyli nas wyżsi od samego króla… – Miał w sobie coś z meduzy, która parzydełkiem tyka niechcący i bezmyślnie, by doprowadzić ofiarę do konwulsji.

– Bluźnisz!

Mędrzec uśmiechnął się błogo, wkładając palec w błękitny płomień. Granatowy pigment zalał mu dłoń wędrując do łokcia. Sztuczka zniknęła, gdy cofnął rękę.

– Czekaj! – Krzyknął zlękniony śmiertelnik. – Chyba nie mówisz, że…

– Chłopak jest mądrym królem.

Natan głęboko westchnął. Dym kadzideł wysuszył mu krtań i rzężenie starego palacza przyćmiło na moment ciszę między nimi.

– Skarby, których nie można na nic przeznaczyć, tyle są warte co muł! Gęsta breja zapycha nasze kufry i trzeźwe myślenie. Trzeźwe myślenie!

– Ulice spływają winem, ludzie cieszą się od niepamiętnych lat, a ty wciąż sączysz swe niepokoje…

– Winem? Krwią tych, coście ich zabili!

– Zapewniam cię, że morze rozpuściło ją do cna. Od kiedy to ludzie mają moc kierowania morską falą, hmm? Od kiedy wody podnoszą się na klaśnięcie ludzkich dłoni? Nie wiń, starcze, ludzi za boskie porządki… Jesteśmy bezpieczni jak nigdy, a ta morska szkatuła i tobie zapewnia spokojne ostatnie chwile życia, czy się mylę?

– Bronisz bogów, bo przecież nie siebie nazywasz bóstwem?!

– Oczywiście, że nie. Oczywiście…

Nim kanclerz odwrócił się od okna, kapłan zniknął, tak samo jak niepostrzeżenie zgasły wszystkie niebieskie kandelabry. I tylko zapach jodu i tętent morskich prądów wypełniały zmysły Natana, którego serce potykało się w galopie o żebra.

Obijając się o dachy, zrzucając kilka dachówek, upadł na samo dno miasta, dławiąc się jak ryba w czerwonym, wilgotnym rynsztoku.

Owinięta w chusty, z wielką zaplecioną z wodorostów torbą wędrowała po plaży, szukając białych jak mąka muszli, gdy tymczasem pierwszym jej znaleziskiem okazał się, ludzki skądinąd, ząb. Schowała go do sakiewki. Nie obawiała się widoku poległych ofiar, maleńkich szkielecików dzieci, których resztki chrząstnej tkanki utrzymywały całe martwe korpusy niby łańcuchy… Po prostu badała zjawiska przemijania, w kościach dostrzegając symbol życia, nie – śmierci. Hipnotyzowały ją wyjątkowe momenty, gdy kilka szkieletów sczepiało się ze sobą, jakby zupełnie nieprzypadkowo, jak biesiadnicy, jak dziewczęta w tańcu odrzucające głowy w tył, śpiewające sprośne, acz urokliwe, melodie o chłopcach… Częstokroć sama chwytała swoje nadgarstki, napinała palce dłoni spragniona widoku ścięgien – najgenialniejszej automatycznej machiny. Gdyby tylko dało się wstąpić w tę wodę, zaklętą tajemną siłą… I ona poprowadziłaby tę zabawę.

Wysoka na kilka tysięcy stóp ściana morza niby granatowe szkło trzymała w sobie rozkładające się ciała tych, co pomarli, żądni w chwili zagrożenia nie tyle już nawet samego zwycięstwa, co życia w łachmanach niewolników. Topielcy niczym duchy dryfowali w toni, której prądy zataczały się spiralnie. Pierwsze wypłynęły im oczy. Następnie skóra głowy odpływała płatami z całymi puklami włosów. Truchła rozpuszczały się, jak gdyby gubiąc coś w rodzaju rozległej, rozmiękłej łuski, największego przysmaku drapieżnych ryb.

Gdybyś spojrzał na jej posturę i twarz, dojrzałbyś klacz o smukłym, wysokim ciele, stworzenie o pociągłych rysach, długim nosie, szyi. Tymczasem była bardzo młodą kobietą, która (jeśli nie skłamię) wówczas jako jedyna w królestwie wyznawała wiarę w coś innego niż religia czy księgi. Jej ołtarzem była sztaluga, a ciemne szmaragdowe oczy – portalami między światem ruchu a tym nieśmiertelnym, zastygłym.

– Jokebed?

Cisnęła woreczek najgłębiej, jak się dało, między tykwę z kwiatowym pyłkiem a garść skruszonych lazurytów. Przyklęknęła trzymając kurczowo unoszoną wiatrem narzutę. Pajęczyna włosów zasłoniła jej wzrok.

Dwójka odzianych w żelastwo strażników wbiła w piach swoje włócznie.

– To ja – odparła, lękając się przy tym, by nie patrzeć na nich dłużej niż czas między jednym mrugnięciem a drugim.

– Z woli króla jesteśmy zmuszeni zaprowadzić cię wprost na dwór.

– Jest kobietą! – padły jedyne dosłyszalne w szumie dyskusji słowa.

Dziewczyna siedziała pod wielkimi drzwiami tuląc swój tobołek, będący dlań jedyną ostoją swojskości w obcym pałacu. Przed nią rosły, półnagi strażnik wpatrywał się w niewidzialny punkt.

– Droga nam Jokebed, wejdź proszę. – Spoza otwartych na oścież drewnianych skrzydeł wyłonił się już sam, odziany w zdobną togę, tęgi, siwy mężczyzna o szerokim uśmiechu handlarza.

– Gdzie król?

– Och! Urocza kobieta! Jeszcze spotkasz się z królem, najpierw jednak musimy ustalić pewne szczegóły naszej transakcji… Niemniej, rozgość się teraz. Wina?

– Nie pijam.

– Jak zapewne dostrzegłaś, zacna Jokebed, nasze królestwo rozkwita… – Wino wahadłowym ruchem zakolebało się w kielichu. – Opływamy w bogactwa, o jakich nie śniło się naszym praprzodkom. Patrząc na ciebie, śmiem twierdzić, że w takie, o jakich nie śniło się zapewne i tobie samej. Blask naszych skarbów nie oślepia jednak wszystkich po równo… Na pewno wiesz, o czym mówię. – Wziął od niej ostrożnie torbę, jakby była martwym, cuchnącym zwierzątkiem,

następnie podając słudze. Kobieta próbowała jeszcze zainterweniować, lecz widok pariasa znikającego z jej skarbem w tylnym wyjściu, przysłonił wielki brzuch interesanta.

– Dziecko, chyba nie pijasz słonej wody? Zaraz poślę po poncz i daktyle. O czym to ja…? Ach, tak! Dziś spada na ciebie błogosławieństwo, albowiem krążące o twym niebywałym talencie plotki przeplatają się w tutejszej miejskiej kakofonii z tematami związanymi z naszym dziejowym tryumfem! – Rumieńce rozgrzane pierwszą porcją trunku rozkwitły na policzkach mężczyzny.

Taca suszonych fig, rodzynek, pokrojonych w kostkę cytrusów spoczęła obok bladej kobiecej dłoni.

– Chyba nie do końca rozumiem…

– Dobrze więc, będę szczery. Od razu widać, że drzemie w tobie stara dusza czarodziejki, wróżbitki, która niejedno już widziała… – Chwycił nagle swój nos, głęboko wzdychając. – Nasz król umiera!

Zaszlochał, co oderwało ją prędko od kontemplacji maleńkich pomarszczonych brązowych twarzyczek fig i rodzynek kulących się w syropie na błyszczącej tafli.

– Ale, najdroższa mi Jokebed, to będzie od dziś nasza największa tajemnica, dobrze? Twa piękna czaszka zasługuje na to, by ją podziwiano raczej oprawną w żywą skórę, aniżeli dryfującą w Wieczystej Toni, echemmm? – Ujął jej policzek jakby oglądając okaz źrebięcia czystej krwi.

Kawałek mango powrócił do misy za sprawą nagłego uczucia mdłości.

– Co miałabym…

– Co musisz. Nie ma miejsca na dyskusję. Nasz władca niedomaga, a nikt prócz nas i nadwornego medyka o tym nie wie, jasne? I nie martw się, lilijko, wystarczy, że potraktujesz to jak jedną ze swych rzemieślniczych usług. Szczególnie, iż to zlecenie gwarantuje ci sowite wynagrodzenie, mam tu na myśli wszelkie pałacowe wygody, schronienie, opiekę oraz służbę. Sprawa wygląda następująco. Medycyna, choć tak zaawansowana w naszych stronach, szacuje długość żywota naszego króla na maksimum sześć miesięcy!

Malarka próbowała coś powiedzieć, jednak płacz dostojnika pozbawił ją ochoty. Po chwili wrócił do siebie.

– Sześć miesięcy! Widzę, dziecino, że już pojęłaś co to znaczy! Od dziś będziesz mieć tu swoją komnatę, w której – tylko i wyłącznie – dane ci będzie pracować. Wychodzić z niej wolno ci tylko ze strażą. Czy to jasne?

– Co jeśli odmówię?

*

W ciężkim marmurowym moździerzu ucierały się maleńkie agaty. Na palniku zagęszczał się olej i duszące opary spowiły błękitną jaskinię zawisłą nad miastem jak ul.

Przy olbrzymim, szerokim oknie stanął mahoniowy krzyż z trójkątną mahoniową ramą oraz kilkoma mahoniowymi gwoździami do regulacji wysokości.

Gdy praca dobiegała końca i czas było gasić wszystkie niebieskie płomienie w pokoju, kładła się na najmiększym łożu o pościeli śliskiej i zimnej jak ciecz. Ostatkiem sił patrząc w dal na pionowe sklepienie, obserwowała jedyne dostrzegalne ciała tych największych potworów, które połyskiwały, czasem wyrzucając w przestrzeń świetlne impulsy. Informowały ją o najlepszym porządku, zapewniając, że wszystko utrzymane zostanie w doskonałym ładzie, jaki tam pozostawiła, opuszczając w eskorcie plażę. Do czasu ukończenia powierzonego jej zadania.

Wychodziła z pałacu każdego dnia w poszukiwaniu składników niezbędnych do wyrabiania farb. Mimo że obecność pary wojowników pozbawiała ją nawet krzty umiłowanej prywatności, pierwszy raz przestała odczuwać zagrożenie. Interesująca sprzeczność, biorąc pod uwagę jej pragnienie izolacji: nie lękała się spacerów między obcymi ludźmi, z których, co najzupełniej uzasadnione, jeden okaże się prędzej czy później upragnionym mordercą…

*

– Jak już wspominałem, wszystko gotowe, Panie…

– Obawiam się twojego pomysłu, Hermesie. Ludzie gadają, że posyłasz mnie w ręce wiedźmy. Było tu dość szarlatanów.

– Nic podobnego, Wielebny! To alchemiczka, rzemieślnik zaklęty w ciele kobiety! Kwiat sztuki… Zależy mi wyłącznie na twoim dobru…

– Nie było innych w królestwie? – Poprawił swoje nakrycie głowy przez zwierciadłem. – Rzemieślników?

– Ach. Za granicami są ich dziesiątki…

– No tak – westchnął, a woal nad jego twarzą zakołysał się miarowo.

– Cały czas pracujemy nad ujarzmieniem tej zastygłej fali, Panie…

– Wybieracie wodę wiadrami? Nie rozśmieszaj mnie.

– Na taką ilość potrzeba by trumien…

– Co powiedziałeś?

– Że robimy, co w naszej mocy. Najwyżsi kapłani spotykają się dzień w dzień prosząc o rozlanie się wód…

– Dobrze, Hermesie. Odwiedzę tę wiedźmę. A teraz nalegam, żebyś już wyszedł.

– Tak, Panie…

*

– Jokebed, natychmiast otwieraj!

– Jestem naga, Hermesie. Chyba musisz zaczekać.

– Na bogów, demonie! Król stoi u twych drzwi, a ty stroisz sobie żarty! Miałaś być gotowa! Otwieraj!

– Twój król miał się tu zjawić trzy miesiące temu. Obawiam się, że wszystkie barwniki zużyłam na portret. – Kończyła wypalać tytoń, wciągnąwszy ostatni zbyt głęboki wdech tak, że aż szyja jej zesztywniała, ukazując tętniące żyły. Chyba doznała zawrotów głowy i cierpki smak dymu podrażnił jej oczy, bo przecież nie wzruszenie jakimś wątłym obrazkiem z przeszłości.

– Czyj, do diaska?! – Zniekształcone echo obiło się o kilka drewnianych skrzynek, zakręciło w membranach waz i wielkich pustych mis. Otarło o cienkie kotary łoża, szurało jak mysz po tkanym dywanie. Uleciało w świat porwane zgiełkiem miejskiej skały poprzerastanej powietrzem jak tłuszczem.

Czerwona wstążka, jak wąż sunęła w dół pomiędzy ciasną zabudową miasta. Maleńka dziewczynka zdumiona swoim odkryciem ruszyła jej śladem szukając źródła burgundu. Bose stópki tuptały po marmurowych płytach grzechocząc przy tym radośnie pękiem miedzianych bransoletek.

– Joki?! – Wybrzmiało zlęknione echo gdzieś z tyłu.

Frapująca zabawa, tak prędko zażegnana głosem rodzicielki okazała się ostatnią, w tak krótkim dotąd życiu tego dziecka, chwilą beztroski. Brudne od ulicznego kurzu nóżki zmieniły kurs, by za moment wrosnąć w bruk.

Najpiękniejsza z istot, o włosach sięgających kolan, padła na ziemię znikając pod błękitem togi.

Tuż przy straganie pełnym cytrusów i daktyli.

Jokebed podbiegła do śpiącej góry szat, zza której pleców tryskały dziesiątki maleńkich czerwonych strużek krwi.

– Biegnij! – Krzyknęły oczy kobiety rozbłyskując łzą jak najbardziej tępym z ostrzy.

I dziecko zawróciło, ponownie mijając wijącego się w rynsztoku węża, który zasychał pozostawiając ciemnobrązową barwę na kamieniu.

– W imię króla! – Rozbrzmiewały straszne głosy, a w całym mieście rozległo się bicie dzwonów. – Dziecko uszło, łapcie je!

Bransoletki ocierały kostkę w biegu, powoli szarpiąc skórę. Kruszyna skręcała w pędzie w najwęższe alejki, pomiędzy które żaden dorosły nie byłby w stanie się wślizgnąć, śledząc czerwony szlak, który z każdą minutą zyskiwał żywszy kolor.

– Stańcie po drugiej stronie, naokoło!

Kiedy wybiegła spomiędzy ścian, blask dziennego światła ponownie oślepił ją na ułamek chwili.

– Uważaj!!! Achsss ! – Jęknęła starucha, ale za chwilę, już z szerokim uśmiechem skinęła palcem na uciekinierkę, by szepnąć jej coś na ucho. Wylęknione dziecko posłusznie pochyliło się nad zwłokami starszego mężczyzny brocząc nogami w jego soku.

– Pozyskuję pigment… Ludzka krew to rzadkie znalezisko, ych, jest magicznaaa!

Ostatnia fiolka została zatkana korkiem i ciśnięta w torbę kobiety.

– Szukać!!! – Zagrzmiało echo.

– Ciebie szukają?! Na morskie potwory, do kosza, już!

I dziecko wgramoliło się do łona z morskiej trawy, skąd miało wyjść jako ktoś zupełnie inny.

– Zaklinam cię.

– Tutaj!

– Starucho!

– Och, piękną masz dzidę, młodzieńcze, ale nie radzę nią przede mną wymachiwać.

– To Ażi, wiedźma, nie podchodź bliżej, może na ciebie rzucić jakie świństwo.

– Widziałaś tu dziecko?

– Jaaa?! Ach, bogowie, gdzie mi się oglądać za jakimiś sierotami, patroszę rybę, o!

Metaliczny smród zimnego cielska przedarł się przez ściany kosza.

– Prawda, że piękny to sum? Podzielę się z wami chłopcy, taki ciężki to znój ganiać za dziećmi w środku dnia… Wasze żony przyrządzą pyszne potrawy! Pobiegła o tam. Do wieczora i tak padnie z wycieńczenia.

– Widziałaś ją jednak?!

– No oczywiście, że widziałam! Taka mała świnka rozrzuca wszystko wokół, o! To niby normalne, że patroszę na bruku?! Bierzcie i idźcie, nie zawadzajmy sobie nawzajem.

Dziecko wyglądało przez szczeliny kosza. Strażnicy stawali się coraz mniejsi i ciemniejsi na tle słońca, które spalało ich ciała na czarne opiłki.

– Wychodź już, nie będę ciebie tam nosić. Jak ci na imię?

– Jo, Joki. – Zachlipało maleństwo

– Joki? Jokebed! Żadna Joki. Mnie zwą Ażi. Od dziś jesteś dorosła, Jokebed. I będziesz mnie słuchać, pomagać absolutnie we wszystkim. W zamian nic ci nie grozi. Rozumiemy się?

Dziewczynka przytaknęła, jednocześnie zaczynając mocno szlochać i jęczeć.

– Dorośli nie płaczą, Jokebed! A już tym bardziej wiedźmy! Idziemy teraz do mojej pracowni, zanim krew się zważy w tej duchocie.

– Czyj, do diaska?! – Powtórzył niski, tęgi sługa.

Malarka ocknęła się z transu.

– Swój głuptasie. – Przykryła niedopałek garścią ziemi w donicy.

– Panie, wielkie głowy już tak mają, że wszystkie siły umysłu przekierowują na talent… To zawodowe…

– Otwieram, Hermesie, ale musisz znieść fakt, że mam na sobie wyłącznie skórę.

– Dobrze już… na bogów….

– Królowi zależy, byś namalowała go w pełnej krasie, żeby potęga naszego państwa biła z jego oczu…

– Zależy mi na wiernym oddaniu moich rysów.

– To oczywiste, Panie. Rozumiesz jednak, że bez zdjęcia okrycia z twarzy, prócz może czubka twego nosa, nie zgłębię jej kształtów. – Poprawiła zawiązane na dekolcie sukno.

– Jokebed.

– Tak. Oczywiście że tak. – Odprawił Hermesa skinieniem.

Czekając aż posłannik opuści pokój, jął mówić dalej.

– Odsłonię dla ciebie pół swojej twarzy. Drugie pół namalujesz w lustrzanym odbiciu. Tak stworzysz mój portret.

– Królu… Wiele miesięcy zajęły mi studia nad ludzką anatomią i zaskakującą prawdą jest, iż nie ma na świecie osoby o dwóch jednakich połówkach twarzy… Lewa część zawsze nieznacznie różni się od prawej, co więcej, gdyby nawet stworzyć takie dzieło, nie będzie ono wiarygodne dla oka.

Król zamilkł na chwilę.

– A jeśli byś zniekształciła nieco tę część, którą boję się odsłonić?

– Chyba nie do końca rozumiem, Panie…

– Dlaczego takim problemem jest dla ciebie wykonanie mojego zlecenia? Ludziom, którym dane byłoby podziwiać mój wizerunek na tym płótnie, zależeć będzie wyłącznie na uchwyceniu konturu mojego ja, dla pewności, że JA w ogóle istniałem. Nie obchodzi mnie, zacna malarko, czy zadziwi ich nienaturalna symetria mojej twarzy. Wszak, poza tym doskonałość jest cechą boską, a komu bliżej do samych bóstw, jeśli nie mnie właśnie?!

Jokebed stała wpatrzona w ziemię. Malowała już wielu arystokratów, toteż czuła, co król zamierza ukryć.

– Jeśli, Panie, masz jakiś maleńki defekt natury zdrowotnej, to ja go po prostu nie uwiecznię na obrazie.

Stelaż ramion władcy urósł nagle pod napływem obszernej masy powietrza zaczerpniętej do płuc.

Zbyt długo zwlekałem. – To mówiąc powstał i opuścił komnatę rzemieślniczki. Drzwi domykały się za nim delikatnie i niemal niesłyszalnie.

– Jesteś nieroztropna! – Zazgrzytał posłannik.

Pomimo wyraźnego nieporozumienia z królem, do drzwi malarki nie wdarli się wkrótce uzbrojeni mężczyźni gotowi ją zabić, ani też żadna trucizna nie rozlała się w jej krwioobiegu od czasu nieowocnej rozmowy ze zleceniodawcą. Co zaskakujące, upłynął zaledwie tydzień, gdy do jej rąk dostarczono wiadomość.

Zacna Jokebed,

przystaję na twoje warunki. Obraz będzie wykonany wedle twego planu, jednakże cena twojej dyskrecji musi wzrosnąć. Przybędę do Ciebie jutro w samo południe. Będzie to czas rozpoczęcia pracy, a naszej największej tajemnicy. Spal ten list zaraz po przeczytaniu i poślij do mnie nowy z informacją o zmienionych warunkach należnej Ci zapłaty.

Król Gilgamesz

Gdy świetlistość powietrza zyskała największą siłę, na jaką było ją stać w ciągu doby, władca ponownie zjawił się w warsztacie. Wszedł prędko i pewnie, jednak gdy zasiadł na konstrukcji czegoś, co na potrzeby tworzenia udawało tron, posztywniał jak kukła. Jokebed musiała długo czekać, aż wykona pierwszy ruch.

– Może napijesz się wina, malarko? Słyszałem, że używki pomagają tworzyć.

– Nie mnie.

– Czemu?

– Malarstwo to geometria. Nie mogę sobie pozwolić na niedokładne pomiary rzeczywistości, którą mam uwiecznić.

– Doprawdy?

Ruchy jego było powolne i niezwykle wyważone. Pozbawiona mimiki, bo i zakryta, twarz przywodziła na myśl raczej ducha w obfitym odzieniu aniżeli młodego władcę. Kiedy mówił, poruszał z wolna głową, kiedy słuchał, nachylał ją nieco w przód, przekrzywiając na jedną stronę i tak zastygał.

Niewiele gestykulował, ale brało się to raczej z jego charakteru – silnej powściągliwości, dostojeństwa – aniżeli niechęci do rekompensaty dla skrywanej mimiki.

Znów zapanowała cisza.

– Pozwolisz, Panie, że skieruję na ciebie światło?

Wykonał serdeczny gest dłonią.

Kobieta weszła za drewnianą konstrukcję, na której szczycie siedział model, i pociągnęła jedną z lin. Węzeł zaczepił o wielką miedzianą tacę pod sufitem, kierując ciepły snop światła ze świec na postać króla.

– Nigdy nie używasz niebieskiego ognia?

– O ile maluję żywych, a tylko takie zlecenia otrzymuję, używam wyłącznie ciepłego, miękkiego światła tych świec.

– Nie otrzymałem od ciebie zwrotnej wiadomości. Pytam więc teraz, czego oczekujesz w zamian za ten dar.

– Podoba mi się całkiem to, co otrzymałam do tej pory.

– Całkiem? Nie znam cię na tyle dobrze, by mieć pewność, że ta forma zapłaty zasznuruje ci usta…

– Możesz być o to całkowicie spokojny, Królu.

– I naprawdę nic ponad to, co dostałaś dotychczas, nie przewyższyłoby tej ceny?

– Obawiam się, że to, czego w istocie pragnę, nie da się opłacić pieniądzem.

– Nic mi nie wiadomo o twojej rodzinie, co również utrudnia sprawę. I zapewne jej nie masz, bo moi ludzie odkryliby to dostatecznie wcześnie. Więc, może coś zza Wieczystej Toni, wynagrodziłoby…

– Nie.

Przystawiła sztalugę nieco bliżej.

– Czy już mogę cię prosić…

Począł obracać się na siedzeniu szurając drewnem po podeście.

– Nie jestem przekonany do tego krzesła. Możemy przynieść złocone...

– To tylko na niby, na obrazie namaluję tron.

Jego ciężka burgundowa szata przeszywana turkusową nicią spływała na podłogę, budząc wrażenie, jakby wypełniał ją sam zapach rozmarynu, goździków i ambry, nie – obite w skórę mięśnie, ścięgna, kości i tłuszcz. Głowę miał odchyloną nisko na bok, na niej nakrycie, z którego przedniej części spuszczony był jedwabny, biały woal. Przypominał jeńca, którego ktoś usadził pod pręgieżem.

– Już wieczór. Zaczynajmy.

Podniósłszy dłonie, które wyraźnie drgały (albo też światło świec wywoływało to złudzenie), władca odpiął powoli materiał znad twarzy.

Wieczysta Toń posiadała tę szczególną właściwość, że ilekroć mieszkaniec miasta próbował w nią wstąpić, woda nie śmiała tknąć jego cielesnej powłoki, zamykając go w powietrznej otoczce tak, że podczas próby powrotu na ląd wychodził on z morza zupełnie suchy. Oczywiście, było wielu śmiałków, których celem było przejście kilkuset stóp w głąb po dnie, jednakże powietrza, które tak oblekało ich postury, starczało na zaledwie kilkanaście prędkich kroków.

Jokebed nie wróciła do domu przerażona tłumem. Nie spotkała też żadnego dziecka, które mogłoby ją częściowo rozgrzeszyć ze strachu przed zarażeniem się czyimś nieszczęściem. Kiedy targ opustoszał, maleńkie przejście w malachitowym murze rozbłysło białym światłem piasku. Wybiegła na pustą plażę, padając na kolana pod ścianą wody. Setki ryb fruwały nad nią niczym sępy. Inne, nienazwane stworzenia podpływały badawczo, by za moment cofać się w przestrachu w głębiny. Obracając się w stronę miasta, zerknęła na swoje stopy. Zdjęła sandały, zsunęła materiał z czoła i zaczerpując wolno powietrza, wstąpiła w toń.

Woda odsuwała się od niej, jak gdyby cała była z oleju, piasek z dna, po którym stąpała, pozostawał suchy. Spoglądając przed siebie dostrzegła, że morze widziane z tej strony jest innej barwy, niż kiedy patrzyła na nie z lądu. Było w nim jasno, ale nie jak w promieniach słońca, lecz jak w najczystszym błękicie, o pigmencie tak mocnym, że niedającym się zakryć żadną inną barwą.

Biła z tej przestrzeni aura niepodobna do tej z najstarszych świątyń, raczej ze snów z których zradzają się pierwsze bóstwa. Czuła się tam bezpiecznie, cały czas jednak mając dziwne przeczucie, że ktoś wielki jak rodzic spogląda na nią badawczo.

Wielobarwne pąkle tkwiące na skale, przed którą stanęła, wpatrywały się w nią krągłymi wypukłościami. Miała ich dotknąć, ale wtedy kamienna masa ruszyła powoli jak wóz, którego koła

nie mają jeszcze dość siły do pełnego obrotu. Ciemny jak granit, największy na ziemi zwierz morski rozpędzał się, wprawiając w ruch całą przestrzeń wokół i zmieniając bieg drobinek niesionych prądami jak wiatrem.

Serce zabiło jej mocniej, a jednak nie przyspieszyła oddechu, dawkując go ostrożnie przy każdym stąpnięciu, zbliżającym ją z powrotem do plaży.

Odtąd jej dusza na zawsze miała zostać w tej wodzie.

Jedwabna chusta zleciała pod podest rzucona przeciągiem jak od machnięcia czyjejś nieprzychylnej dłoni.

– Vaa!

Widziała teraz dziesiątki pąkli koloru jego skóry, których pionowe cienie padały jak stopiona steryna na usta i dekolt lewej strony ciała. Nie miał połowy nosa. Serce poczęło bić szybciej. Poczuła mocniej woń perfum, tak że przez moment sparaliżował ją ten zapach, uwięził.

Mężczyzna skulił się w sobie, niby więzień zlękniony dziennego blasku. Jak ślepiec, któremu ktoś wytrącił laskę.

– Nie patrz na mnie kobieto! Va! Jak śmiałaś nie zasłonić okna!

Odwróciła się natychmiast. On tymczasem jęczał coś cicho, majaczył jak obłąkaniec.

Drzwi trzasnęły z hukiem.

Następnym razem odwiedził ją zupełnie odmieniony, zdawać by się mogło, nad wyraz spokojny. Tryskał z niego nerwowy optymizm.

– A gdybyś namalowała mnie z profilu? To takie proste, nic nie musiałabyś zmieniać!

Nie wchodziły tu w grę pieniądze czy konsekwencje niewykonania zlecenia. Nie miała odwagi mu odmówić, wiedząc, jak bardzo choroba zmieniła jego twarz i jak mocno on sam lęka się swojego odbicia. Kłamliwie wobec ich obojga, uznała to za jego pierwszą i ostatnią wolę, którą sama musi spełnić jako powiernik i ktoś najbardziej mu oddany.

– Oczywiście, Panie. Wedle twej woli.

– Mimo wszystko, proszę jednak, żebyś namalowała mnie w lustrzanym odbiciu. Takie jest moje życzenie.

– Tak też się stanie, Królu.

*

– Obawiam się, że dziś nie będziesz pochłonięta pracą – odparł Hermes docierając szminkę w palecie.

– Król źle się czuje? – Koszyczek szafranu spadł na ziemię niczym miniaturowy koralowiec trącony błękitnym rękawem.

– Czuje się znakomicie. – Usta podobne rybie z pałacowej fontanny utonęły w karminie za jednym muśnięciem kciuka. – Co zadziwiające, od czasu waszej współpracy nie jest taki smętny i marudny. Najwyższy Kapłan kazał mi cię poinformować, że znajdzie się specjalne miejsce dla ciebie u jego boku na dzisiejszej uczcie, albowiem pragnie się z tobą rozmówić.

– Kolejne zamówienie?

– Hmm. Nie wiem. Nie wiem, doprawdy.

– Nigdy nie byłam na uczcie. Nie znam się też na obrzędach, jeśli o to chodzi. Nie wyznaję…

– Wiem, wiem. O to nie musisz się martwić. To świecka uroczystość. Trochę interesów, trochę polityki, kilka ożenków i takich tam, potok wina.

– Hermesie…

– Hę? – Kończył czernić powieki węglem.

– Od jak dawna król jest chory?

– Och, byłyby jakieś dwa lata, lilijko. Od chwili gdy wody wstały pod niebo. – Zagryzł na moment dolną wargę, tak że barwnik ostał się na zębach. – Biedaczysko… a taki był cudny za zdrowych czasów!

– Widziałam jego twarz.

– Tak się domyśliłem. Upiorna.

Jokebed wyjrzała ponad mur tarasu łowiąc wzrokiem wielobarwne kłęby pary ścigające się ze sobą. Ukoił ją ten widok.

– Wieczorem odwiedzi cię służka. Zaplecie włosy, pomoże przyodziać szatę.

Dziwne ogniste światło zabłysnęło w toni.

– Nic mnie nie dotknie. – Kropelka soku toczyła się drwiąco po tłustej palecie jak rtęć.

*

– Za moment się zjawi… Och!

Wnieśli go na drewnianym tronie, wyłaniał się z ciemności jak duch, który raz na kilkaset lat schodzi na ziemię. Ubrani byli w niedopasowane stroje, według nich wyszukane wzory, grubo tkane lniane szaty zszywane z jedwabiem, krzywe jak zgniecione szmaty. Oczy co niektórych były maleńkie, czarne jak węgle, jedne jakby puste, inne jak zalane czarnym atramentem, ogromne i wyraźnie śliskie, bynajmniej nie od łez. Mieli dziwne nakrycia głowy, wysokie, szerokie, zakrzywione jak chorągwie. I chodzili tak zgarbieni, jakby posługiwanie się nogami było dla nich zupełnym novum.

Nieśli go niczym spętanego barana, który czeka, by go zgolić i upiec na rożnie. Głaskali jego strój, całowali palce u dłoni i stóp. Jedni drgali nieustannie, inni zaś zamierali w bezruchu oddychając z trudem przez szeroko otwarte usta. Kobiety poczęły zdejmować kolejno wierzchnie warstwy sukien, zaczęły jęczeć i zgrzytać, i wzdychać i piać, potem pokładać się kolejno na podłodze jak świece, które zalewają woskiem gnat w ostatnim tchnieniu.

Mimo tych znaków rychłej agonii, król jednak podniósł rękę z kielichem, następnie zstępując z tronu.

Dźwięki na moment zamarły. Gilgamesz ujął w dłoń swoją twarz i zdjął złocone oblicze. Następnie zstąpił na posadzkę i tak ukazując wyłącznie lewy policzek oraz skroń przeszedł przez salę, aż pochłonął go atrament nieoświetlonych miejsc.

Nikomu nie dane było dojrzeć jego chorej części ciała.

Lampiony rozbłysły budując ściany sali, a struny lir czarowały jakieś dziwne zaklęcia tak, że wszyscy trwali oderwani od siebie nawzajem. Była to muzyka, jakiej dziś się nie pamięta (precyzyjna jak ruchy dłoni tkaczy, nieprędka, jednostajna). Z pierwszym dźwiękiem nozdrza poczęło wypełniać suche, gorące powietrze, a za pomocą sztuczki nadwornego błazna powierzchnia przeciwległej do tarasu ściany oblała się czerwienią słonecznych promieni, których nie znały tutejsze dzieci, bo wodne sklepienie nad miastem kryło to ciało niebieskie.

Ci tak zwani ludzie obecni na sali, śmiali się do siebie, kokietowali nawzajem i droczyli, nigdy jednak nie patrząc sobie w oczy. Ich tęczówki kręciły się w obłędzie, albo też zagnieżdżały swoje spojrzenia w czołach rozmówców, brodach, stopach, czymkolwiek, co nie mieściło się między brwiami i nosami.

Były to bowiem morskie demony, przemienione w ludzi pozbawionych głębi.

Słynna malarka owinięta w ciężkie od srebrnej nici sukno opadła na krzesło tracąc na moment dech. Liry z każdym coraz boleśniejszym dla duszy dźwiękiem odsyłały ją w pustkę,

do takich snów, których wyłącznie smak czuje się z tyłu głowy po przebudzeniu, a których nie da się spisać w pamięci, bo jak można by pamiętać o każdym ziarnku piasku pustyni, tym rozgrzanym i tym chłodnym, ukrytym daleko w dole…

– Do stołu podano!

Ohydni dostojnicy stłoczyli się gwałtownie w rogu pomieszczenia i ruchem falistym niby jeden organizm oblali siedzenia swymi cielesnymi powłokami. Jedni oblizywali gęby, inni natomiast nie potrafili zamknąć idealnie okrągłych ust, języczki mając malutkie. Jeszcze inni bujali się w rytmie jakiejś niewidocznej, falującej materii. Pożerali rybie potrawy, zaczynając od głów, nie zostawiali choćby łuski. Niektórzy przywierali do twarzy innych jak glonojady, ścierając szorstkimi jęzorami ziarenka kawioru, maciupkie ości, niedojedzone kropelki tłuszczu z oślizgłych twarzyczek…

Instrumenty grały piękną historię o domach z rzecznego mułu, których nikt nie śmiał nazywać w czasach ich istnienia miastem, bo żadne wcześniej nie istniało. O dniu, który był pierwszym w dziejach i ostatnim, bo też nikt nie mógł odczytać, co było przed cywilizacją, a żaden mieszkaniec nie był na tyle dojrzały, by mieć ochotę opowiadać o swojej przeszłości, najstarszy zaś ze starców urodził się tak dawno, że zapomniał, iż był dzieckiem.

Na brzegu rzeki kołysały się łodzie. Nie było słychać kóz i krów. Wszyscy posnęli przed zmierzchem, a liry śpiewały na uczcie smak ich snu – cierpki, szemrzący w krtani od suszy, uchodzący spierzchniętymi wargami, wydmuchiwany z oddechem pozbawiony wilgoci – smak pierwszych cywilizowanych ludzi. Ale, zdawać by się mogło, tylko Jokebed słyszała tę muzykę, jak kobra kołysząc się ledwo zauważalnie w jej takt, roniła łzę nad paskudztwem zła, które wdarło się do samego serca pałacu Gilgamesza.

– Wina?

– Co?

Malarka ocknęła się z transu zwieszona nad pustą tacą.

– Smacznego. – Skwitował niski męski głos.

I na tabliczkę obleczoną ziołami ześliznęła się ryba o pyszczku pokrytym karminem. Była surowa i sprężyście obła, o płetwach wielkości skrzydeł ważki. Świeża. Na imię jej było Hermes.

*

Wczesnym rankiem, gdy w mieście robiło się jasno, a uliczne pochodnie płonęły ospale jak płatki nagietka wrzucone do mleka, Jokebed udała się na przechadzkę po pałacu.

Gdy dotarła do tarasu spojrzała w oczy dyszącej lwicy. Wielki kot ciężko ział, bacznie przyglądając się ludzkiej postaci. Dziewczyna pomyślała, że śni i w tej samej chwili zwierzę ruszyło

w jej stronę. Turkusowe szaty szurały po posadzce niczym pawi ogon i nim narastający puls biegu drapieżcy skłonił malarkę do odwrócenia głowy, tak żeby ten sen uśmiercić, obudzić się lub zamienić zabójcę w małe kocię, potężna łapa chwyciła za materiał. Kobieta wyrywała się jak opętana, tymczasem jedynym celem gońca było zdarcie odzienia, ażeby potem się nim bawić, suwać językiem po wypukłych zdobieniach, szurać miękkim uchem po gładziach.

Mimo iż była to tylko pewna wizja, pałac po którym się poruszała, był dosłownie identyczny z tym prawdziwym, tak że przemieszczanie się między jego ścianami rządziło się znaną logiką. I tak na przykład schody prowadziły ku górze, kiedy się na górę szło, a na dół, gdy chciało się znaleźć na dole. Tak samo okna widniały w ścianach zewnętrznych, a drzwi były osadzone tak, by po przekroczeniu progu nie wypaść z pałacu. Oczywiście obecność ogromnego kota na tarasie pozwalała na stwierdzenie pewnych niedorzeczności, jednak gdyby nie on, dziewczyna nie wiedziałaby, że śni.

Tym nieznanym sposobem Jokebed po raz pierwszy miała okazję do samotnej wędrówki po korytarzach swej jaźni. Wchodziła kolejno do komnat, w których nigdy dotąd nie gościła. Oglądała pościele, przyglądała się zbiorom biżuterii, stronom ksiąg i zwojom, których nie potrafiła czytać. Fascynował ją ten wytworny świat, w którym poniekąd sama egzystowała od kilku miesięcy. Zdziwiło ją jednak, że nie widzi w nim śpiących mieszkańców. Chciała również odwiedzić komnatę króla, ale jej drzwi były zamknięte...

Przemierzając kolejno pałacowe piętra od góry w dół, natrafiła w końcu na drzwi do łaźni i królewskich ogrodów skrytych pod jasnymi, przeźroczystymi witrażami w suficie. Między kolumnami wiły się splecione konary młodych drzew morelowych i wszelkich roślin o szerokim mięsistym listowiu, ociekającym słodką wodą, która prześlizgiwała się między zielenią jak wąż. Kobieta wdychała niezwykłą woń olbrzymich kwiatów, z głębokimi jak czasze kielichami, słuchając nieśmiałych pobrzękiwań owadów, rechotów żab i plusków wody…

Tuż pod figowcem znajdowała się jasna fontanna, której wydęte strumienie prześwietlało zachodzące za szybami słońce, takie jak z czasów, kiedy nikt nie śnił jeszcze o Wieczystej Toni.

Jokebed podeszła tam, zdumiona kolorami tęczy malującymi się w powietrzu nad taflą. Przysiadła na brzegu zbiornika dostrzegając w nim żywe srebro, które wykonując susy od ściany do ściany na sekundę zamierało, by za chwilę zaczerpnąć powietrza. „Skąd też maleńka rybka znalazła się w środku niewielkiej fontanny?!"

– Na imię jej Chalkis. Drobinka, prawda? Kto by przypuszczał, że to jedyne stworzenie, przed którym kłania się Lewiatan.

Malarka czym prędzej wyjęła z wody dłoń.

– Kim jesteś? – Spytała odwróciwszy głowę.

– Set. Najwyższy z kapłanów. – Rozmówca, nie wiedzieć kiedy, znikąd znalazł się po drugiej stronie rozbryzgu.

– Ha... Czułem, że tu jest nasz demon. Przeklęty sporysz uczepił się najbardziej złotego kłosa wśród naszych źdźbeł. Samego króla, azzz… Kogoś zgubiła tam w morzu, dziewczyno? Ojca? Matkę? Strażnicy winni byli cię zabić, za to że wychodzisz za mur. Traf chciał, że pośród bijącej od ciebie biedy i głodu, który starasz się tłumić mimo pustki w żołądku, kwili w tobie coś jeszcze, coś na modłę, jak to powiadają „talentu". Co ciebie trzyma na ziemi, dziecko? Bo jeśli powiesz mi, że zapłonęła w tobie sympatia do trędowatego króla, to moje metafory o tym, żeś zmora, nie stracą na wartości…

Jokebed nie drgnęła.

– „O Bogowie! Trucizna! Kusicielka śmierci! Azzz…. Panie, pozwól mi to unicestwić…". – Nawet nie wiesz, jak te słowa cisną mi się na usta, gdy tylko go widzę. Niefortunnie dla mej żądzy rozrywki, nie mogę pomóc w usunięciu cię z tej planszy, od tak. Zaspokoić muszę się wyłącznie tym, że sprawa rozwiąże się sama…

– Co masz na myśli?

– Dwie rzeczy. Pierwsza: nie ukończysz tego obrazu, dziewczyno.

– Ponieważ?

– Zbyt wiele niuansów, których sama nie jesteś w pełni świadoma, odwodzi cię od tej misji. Szkoda by było rozstać się z pałacem, to musiałby być cios… Dla tak kruchej ptaszyny ta klatka okazuje się jedyną bezpieczną przestrzenią, izoluje cię od tych żarłocznych bestii, krwiopijców, obłąkańców z ciemnych kątów. Tych ostatnich lękasz się najmocniej.

Jokebed słuchała, pewnie wpatrując się w węża.

– Drugi zaś powód to to, że zbyt mocno przywiązałaś się do swego jedynego słuchacza. Jedynego śmiertelnika, który traktuje cię tutaj z większym szacunkiem. Nie potrafisz zdecydować, w jakim świetle go namalować, dziennym, przejrzystym czy wieczornym, rozmazanym. Nie wiesz także, który z grymasów jego twarzy wybrać – krnąbrny i pyszny czy zdruzgotany, dziecięcy, niewinny, żałosny. A na żadne z tych pytań nie potrafisz odpowiedzieć, bo każde jego oblicze miłujesz ze względów nieznanych, sobie wyłącznie ujawnianych w głębokich snach, które dopiero nadejdą, albo też nie możesz ich dziś spamiętać. Mimo kalectwa, szkaradnej choroby, która skalała jego lico. Odrażającą powłokę porastającą jego niegdyś piękną twarz, przywołujesz w myślach jako pierwszy obraz po przebudzeniu. Kochasz się w przekleństwie, podniecasz widokiem trędowatego młokosa, co tylko dowodzi, jak obłąkaną istotą jesteś ty sama! Oby z chwilą podpalenia sandałowego stosu, spłonęło i twoje zboczenie…

Nie wiedzieć kiedy, rozległy ucisk wokół czaszki, na której spoczywała dłoń ociemniałego, pozbawił malarkę wzroku. Pod powiekami jawiły jej się teraz wyłącznie wielobarwne plamy i echo dźwięczących jak setki dzwonków słów, o paraliżującej treści.

Jakaś ryba uderzała głową w konwulsjach, jakiś magnes szarpał jej skronie ku kamiennej posadzce pałacowego korytarza. Światło dobiegające z komnaty raz buchające oranżem, zaraz znowu błękitem, wypluwało świetlne głoski, które nie układały się w żadne zdanie czy słowo. Zmierzała do tych błysków, nęcona pragnieniem utraty zmysłów na rzecz pustego snu bez początku i kresu. Chyba nigdy nie poczuła niczego tak dosadnie, piękno nie tkwiło tu bowiem w rodzaju zjawisk, które malowała wokół niej jedna z tych najstraszliwszych nocy życia, lecz zawierało się w najdoskonalszym odzwierciedleniu stanu jej ducha, perfekcyjnie oddanych kształtach i liniach uczuć, których oblicze przez tyle lat było zamazane. Czuła, że umiera.

Kiedy się ocknęła, nie była już w oranżeriach pałacu obok fontanny, lecz we własnym łożu. Oszołomiona, przekonana, że wszystko, co wspominała sprzed chwili, było tylko marą, wstała powoli, kuszona widokiem wody w krysztale. Po chwili ocknęła się jak od uderzenia kamieniem w głowę. Srebrny strój, który miała na sobie podczas uczty, był mokry, dzban połyskiwał dziesiątkami odłamków mrugających z posadzki, a spierzchnięte wargi łykały powietrze miast wody.

Mary senne niczym nie różnią się od wspomnień. Wyschnięte, spękane obrazy pełne upiorów i ludzkich portretów zajmują tę samą ścianę danego z chwilą narodzenia każdemu człowiekowi korytarza.

Odwróciła się plecami do Gilgamesza, wyjmując z mosiężnej szkatułki ząb znaleziony kilka miesięcy wcześniej na plaży. Gładki jak perła i biały jak mleko, spragniony możliwości miażdżenia orzechów, rozcierania upartych w swej strukturze mięsnych włókien, zaciskania nerwów w imadle przypadkowości – siły tej samej, która teraz była epitafium jego natury… Do czasu.

Ostatni cios, bolesny jak upadek na marmurową posadzkę, zmiażdżył szkliwo i kość na okruchy. Co za ból dla uszu! Jokebed ucierała w moździerzu swój skarb, który następnie spalony na popiół, miał jej dać ostatni niezbędny do ukończenia portretu kolor.

– Pozostaje mi już tylko namalować biel na twoim oku, Panie.

– Nie zapomnij o tęczówkach, malarko.

– Prawdziwi wizjonerzy posiadają oczy okryte bielmem, Panie

– Nie jestem starcem, droga mi Jokebed.

– Sądzę, że będziesz.

– Są dwie rzeczy, których nie pragnę najbardziej na świecie, i z całą pewnością należy do nich doczekanie podeszłego wieku bez nosa.

Malarka nie odwzajemniła śmiechu.

– Dobrze się czułaś na wczorajszej uczcie?

– Tak, Panie. Nigdy nie widziałam tylu potraw.

– Podobno nic nie zjadłaś, Jokebed.

Właśnie wtedy zobaczyła przed oczami rybę umazaną karminem.

– Niekiedy woń perfum osłabia mój apetyt... Najadałam się widokiem najwytworniej odzianych kobiet i dziewcząt, jakie kiedykolwiek przyszło mi zobaczyć. Czy Hermes żyje?

– Czy żyje? Dlaczegóż by nie miał?

Chociaż pytanie to było dziwne, król nie zatrwożył się ani trochę.

– Ach…

– Wiesz o czymś?

– Ja? Nie, zwyczajnie, nawiedziły mnie ostatnio dziwne sny i cały czas czuję ich gorycz. To tylko takie głupie mary.

– Mhm. Też dręczyły mnie niegdyś takie koszmary, ale Set udzielił mi pomocy. Potrafi swoją mocą koić ludzkie nastroje. Na pewno już o nim słyszałaś, to najwyższy kapłan. Możesz spróbować mi to objaśnić? Te barwy?

Nie mogła wyjawić królowi, ilu ludzi poszło na pożarcie tamtego wieczoru.

Ilu z nich straciło włosy i płuca, na rzecz łusek i skrzeli.

– Cóż, człowiek, kiedy maluje, kolekcjonuje różne kolorystyczne zestawienia i łączy w pamięci z pejzażami, które chociaż zbudowane z tych samym barw i bliźniaczych plam, tak naprawdę są wizerunkami czego innego…

– Przykład?

Pomyślała wtedy o wielkim Lewiatanie, żywej skale, której faktura zatopiona w błękicie wód wyglądała bliźniaczo podobnie do obarczonej trądem królewskiej twarzy. Lazurowego popiersia patrzącego teraz hen ponad dachy miasta. Uśmiechnęła się blado.

– Kiedy patrzyłam na ciebie na tronie, wyglądałeś jak gwiazda z wielkim błyszczącym ogonem na tle nieoświetlonej ściany. Wtedy nie byłeś królem. Byłeś smugą złota nałożonego płatkami na czarne płótno.

Gilgamesz posmutniał tak niepostrzeżenie, jak z nieba zniknęło kiedyś słońce..

– Dawno temu marzyłem o tej wojnie. O setkach oddziałów czekających na jedno moje polecenie. O tłumach skandujących moje imię, mdlejących kobietach na czele z moją rozpłakaną ze wzruszenia matką i siostrami. O widoku mężczyzny, który klęka przed własnym synem, stającym

się jego królem. Wyobrażałem sobie pierwsze stronnice kronik opisujących moje triumfy... Nawet monety przetapiane na nowe, zdobione moim profilem… Pomniki, wyższe od najwyższych wież, z moją twarzą. – Westchnął cicho. – Wybacz mi, proszę, tamte negocjacje dotyczące zapłaty za twą usługę. Z góry należała ci się najwyższa stawka za obcowanie w jednym pokoju z człowiekiem w fazie rozkładu.

Jokebed zabolały te słowa. Nie odrywała teraz wzroku od obrazu, który zdawał się mówić do niej cały ten czas, gdy dotykała jego gładzi. Jak matka starająca się tchnąć w niemowlę życie, musnęła mokrym różem po jego policzku. Robiło się coraz ciemniej i wszelkie próby pociągnięcia pędzlem mogły wpływać destrukcyjnie na kunszt jej przyszłego dzieła. Odłożyła narzędzia.

– Moich poddanych nie zabije głód, wiesz o tym? Zniszczy ich własna ślepota na grzechy, którym hołdowali za życia. Kara za modlitwy o śmierć braci w błękitnych togach zesłana przez boga, który stał na czele ich armii. Sam ich zabiłem. Co do jednego. My wszyscy w tej wodzie jesteśmy już martwi.

– Czy to o spaleniu, to prawda?

– Tak.

Malarka zasiadła pod oknem tonąc w wysokim po kosmos horyzoncie. Robiło się ciemno, tak ciemno, jak gdyby niebieski dym spowił całą przestrzeń wokół, jednocześnie pozwalając dostrzegać każdy najmniejszy element rzeczywistości, jakby światło przestało istnieć, a jednak wszystko widniało dostatecznie, by wyczuć kształty chabrowo-mlecznych linii.

– Widzisz tę klepsydrę, Jokebed? – Odwrócił przedmiot na ławie. – Wyobraź sobie, że tobie dane będzie ją obracać jeszcze przez dziesiątki lat. Mi natomiast nie. Możliwe jest nawet to, że moje życie upłynie, zanim ten piasek przesypie się do końca. Set pragnie posłać mnie na śmierć. I ja mu daję pełne przyzwolenie. Nie ma świętości, gdy więcej ludu umiera, by przy życiu pozostała garstka. Moje życie tyle jest tu warte, co ziarnko piasku. Jeśli więc wróżba kapłana się spełni, i ogień, który mnie strawi, przywróci brzegowi dawny kształt, odsłaniając słońce, to dzięki boskiej przychylności, zła będzie mniej na ziemi. O całe to ziarnko piasku.

– To tyle co nic, Panie.

– Najdroższa mi Jokebed, w moim królestwie to bardzo wiele.

– Chyba bardzo tego pragniesz, Panie. Izolacji. – Obserwowała właśnie maleńkiego człowieka w jedynym oświetlonym oknie budowli. – Nie chce mi się wierzyć, że w królestwie, które zyskało największą przychylność bogów spośród wszystkich na świecie, nie było ratunku dla twego zdrowia.

– A co innego mi zostało? Największa komnata w leprozorium do końca życia, z tacą daktyli podawanych maleńkim otworem? Otoczony księgami, dławiący się dymem kadzideł? Owszem,

śmierć jest izolacją, ale bez wszystkich cielesnych utrapień. To zawieszenie w pustce, która ponosi cię bez ustanku, mimo że nie czujesz ruchu, bo nie ma tam wiatru i dźwięków podobnych ludzkiemu zgiełkowi, nie czujesz tam ciężaru własnego ciała… Więzienie dla kogoś, kto z okien widzi wolnych ludzi mu poddanych, nieświadomych zguby, która czeka ich z winy tego, któremu bezgranicznie ufali, jest torturą, gorszą od samej śmierci. Wierzę, że po śmierci znów przyjdzie mi oglądać gwiazdy. Marzę o tym co było.

W latach, kiedy z ziemi widać było gwiazdy, a pastuszkowie posypiali między skałami pustyni jak zwinięte kwiaty, astrolodzy i astronomowie wzbogacali się dzięki swoim licznym obserwacjom, tak cenionym w tamtych czasach. Połać nieba mrugała zza granic poznania, regularnie zmieniając położenie swych oczu na czarnej twarzy, dawała znać rolnikom, kiedy nadejdzie czas na siew, kiedy na żniwa, chorym sugerowała datę śmierci, a zakochanym wręczała lub odbierała sierp do przecięcia bądź odcięcia czyjegoś serca jak owocu.

Jokebed, chociaż była bardzo młoda, udało się dożyć świadomego, na wpół dorosłego wieku kobiety w Erze Słońca.

Któregoś dnia do pracowni Ażi zapukał młody człowiek o grubych plecionych włosach sięgających pasa. Nie był tamtejszy. Był jakimś wędrowcem, ale niewiele o sobie mówił. Zlecił wiedźmie wykonanie obrazu psa, jako znaku dla swojego nowopowstałego bractwa, któremu pragnął zapewnić pomyślność.

– Kiego psa?! Nie maluję zwierząt! Szkoda mi barwników na takie głupstwa!

– Sowicie zapłacę.

– Ach, oczywiście, że pies będzie, ale gdybym miała namalować ciebie, młodzieńcze, byłoby mi o wiele przyjemniej na duszy!

Wtedy w drzwiach warsztatu stanęła uczennica starej malarki. Opierając się o framugę wgryzła zęby w brzoskwinię. Zlustrowała klienta, ponownie znikając w mroku korytarza prowadzącego na piętro. Ze schodów sturlał się lekko nadgryziony owoc.

Innego dnia, to ów urokliwy młodzieniec bestialsko nadgryzł miękki owoc, któremu bliżej było do świeżo zerwanej moreli niż jakiejś twardej brzoskwini. Wyrzucił ogryzek wprost do rynsztoka pod domem starej wiedźmy. Zalana łzami dziewczyna dopiero po kilku dniach od tego zajścia dostała ataku histerii. Wijąc się po podłodze w swoim pokoju jęczała jak obłąkana, doprowadzając staruchę do szaleństwa.

Któregoś ranka, gdy Ażi wyszła z domu w poszukiwaniu składników, młodziutka malarka potajemnie wrzuciła do kotła garść czerwi, które zebrała ze starego gnijącego w kącie ogryzka. Robactwo sztywniało we wrzątku, unosząc się na pianie wywaru. Z tej substancji uczyniła esencję,

którą następnie dodała do pomarańczowej farby. Nakładała ją później warstwami, bardzo powoli i ostrożnie zabarwiając źrenicę kundla.

– Głupia dziewucho! Jeszcze mi nie zapłacił! – Lamentowała wiedźma na widok tłustej larwy wielkości stołu, wijącej się gwałtownie w spiżarni.

– Zapłacił.

Oczy malarki stały się szkliste.

– Oooch, chyba nie będziesz tęsknić za królem, którego sama uśmierciłaś błękitnym światłem świec? – Zaśmiał się władca.

Istotnie, ostatni niebieski płomień dopalał się na glinianej tabliczce.

Spojrzała lękliwie wokoło na pokój, który opalizował niczym ksenon, tknięta wstydem i poczuciem porażki, mimo że spojrzenie Gilgamesza pełne było uroku i ciepła, nie gniewu. Spojrzenie oczu tak pięknych i symetrycznie ciążących ku dołowi pod naporem wyrazistych łuków brwiowych, wąskich portali źrenic zawieszonych nad jarzmowymi kośćmi niby bramy na wzgórzach. Między nimi ostro złamany nos, wąski i lekko krzywy, dalej niezbyt duże usta, tak jędrne i gładkie jak skóra na policzkach.

Jokebed zamarła zerkając na płótno, na którym dosychała już biała farba. Nie wiedząc, czy pomyliła tego dnia zaklęcia, czy być może niebieskie światło wywołało ten efekt, zakryła prędko obraz, na którym świeciła biel.

– Jokebed? Źle się poczułaś? Zasiedziałem się dziś wyjątkowo, wybacz.

– Zdaje mi się Panie, że to nie ty spłoniesz na stosie. Nie możesz.

Tylko ja.

Istniała wszak jeszcze nadzieja... Cień szansy wyjaśnienia tego zawiłego toku jej myśli o odwróconych biegunach, choćby w tej konkretnej chwili... Możliwość opisania mapy upiornych rozważań, snów, które być może snami wcale nie były. Ale oczy jego patrzyły z taką mądrością, rzucając pełne błysku spojrzenia, które jak szabla przecinały pergamin wszystkich spisanych między jej skrońmi niewypowiedzianych koszmarów. Wiedziała, że jej nie zrozumie.

– Brzydzisz się mnie, malarko? Czy to najtrudniejsze ze zleceń, jakie kiedykolwiek przyszło ci wykonać?

– Nie, Panie…

– Nie odstręcza cię moja skóra? Nie boisz się zarażenia tym świństwem?

Starając się przyswoić to, co przed chwilą zobaczyła, w dalekiej pamięci, schowała twarz w dłoniach.

– Są dwie rzeczy których boję się naprawdę. Chorób umysłu i ludzi, którzy z takimi się borykają – odrzekła.

– Mówisz o chorobach duszy?

– Najpewniej tak.

– W tej chwili także odczuwasz lęk?

– Nie wiem

– Kiedy ostatnio się bałaś?

– Gdy skorpion zataczał kręgi w słoju bez ustanku, a gąsienica motyla okazała się czerwiem.

*

– Co robisz? – spytała dziewczynka

– Zaraz zobaczysz największe czary, jakich może dokonać kobieta. Przynieś mi zasuszony skalp.

– Wrzuć.

Kępa włosów wpadła do kotła.

– Teraz mieszaj.

Jokebed chodziła wokół gara, z całych sił dociskając do piersi wielką, miedzianą chochlę. Wyglądała jak osiołek zaprzęgnięty do pracy w młynie.

– Jaki to da kolor, Ażi?

– Żaden da. Potrzebna nam będzie tylko ta woda. Nie wszystkie składniki obrazu mają dać kolor Jokebed. Wyjątkiem są kości.

– Jakie kości?

– Różne. Oj, różne bardzo. Na przykład, jak przyjdzie do ciebie kobieta, która nie może zajść w ciążę, wymieszasz kolory do namalowania jej skóry z białą farbą. Ta farba będzie z popiołu ze spalonej kości białej klaczy. Tylko nic jej nie mów, z czego te farby! Ludzie, którzy przychodzą do tej pracowni, myślą że jesteśmy cudotwórczyniami. Że niby zwykłym barwnikiem przywracamy do żywych, uzdrawiamy, zapładniamy, uśmiercamy i takie tam. W ogóle nic nie opowiadaj. Najlepiej udawaj że jesteś niemową.

– A kości ludzi?

– Hę… – Wiedźma zagryzła dolną wargę, tak że stała się żółtosina.

– Chodź tu. – Z całej siły przycisnęła głowę dziecka do swego polika. – Ajjj, to jest siła największa, najmocniejsza i najniebezpieczniejsza! – Wywracała oczami w obłędzie, Joki nigdy jej takiej nie widziała. – Ludzkie kości mogą zabić albo przywrócić do życia! Wszystko zależy od dawki i tego, co nimi namalujesz. Poza tym, trudno je pozyskać, gdyby ktoś cię przyłapał – ojojoj… Teraz jest trochę łatwiej, bo na ulicach pełno trupów!

Jokebed pomyślała wtedy o matce konającej na bruku. Tego dnia poprzysięgła sobie, że nigdy nie użyje ludzkich kości do wyrabiania farb.

*

– Och, witaj, Wielebny! Cóż to za radość widzieć cię w moich progach! Ach! Jest i nasza czarodziejka! Słynna na całe królestwo nadworna malarka! Czy to prawda, że nie uczysz nikogo młodszego swego fachu? Czyżbyś uważała się za nieśmiertelną? Niezastąpioną?! Ha!

Szeroki niemal na całą twarz uśmiech kapłana, odsłonił wielkie jak u pawiana kły.

– Najwyższy, przyprowadziłem do ciebie moją przyjaciółkę, byś pomógł jej uporać się z szeroko rozumianą bezsennością.

Jokebed czuła metaliczny odór rozchodzący się po pomieszczeniu. Był to zapach ryby.

Od czasu feralnej nocy pełnej demonów i promieni słońca, czuła go wyjątkowo często.

– Oczywiście, zajmę się twoją przyjaciółką, Panie! Najpierw jednak, kolejnością porządku, poproszę ciebie, Wielki Królu, o zdjęcie okrycia z głowy. Chciałbym obejrzeć stan twojej skóry i zalecić ci nową maść. Potem dam jakieś ziółka dla naszej czarodziejki.

Gilgamesz posłusznie odkrył twarz, jednak zdawał się wstydzić obecności malarki. Zupełnie, jakby nie znała jego sekretu.

– Wyjdź, dziewczyno, na jakiś czas. Nie jesteśmy już w twojej pracowni. – Rzucił oschle Set.

Jokebed wyczekiwała wezwania w świątynnym korytarzu. Tuż przed wrotami do komnaty kapłana, na wielkiej jak skała ścianie, połyskiwała mozaika pełna wodnych stworzeń, od morskich koników, przez wijące się w jamach raf węgorze, po ślepe stułbie. Ach! Mogłaby przysiąc, że jeszcze niedawno w królestwie z tynków mrugały do niej wyłącznie zwierzęta lądowe: lwy, słonie, stada wielobarwnych koni, wizerunki ozdobnych kaczek i gęsi, pawi, bawołów zaprzęgniętych do pługa, nad wszystkim rozciągała się pustynia tak złota, jak wschód, i wiele, wiele drzew. Teraz skamieniałe polipy i pokryte perłową masą wizerunki ośmiornic żywiły się resztkami jej pamięci.

Wszystko jest nie tak!

Lico władcy ponownie znikało skutkiem trądu, mimo że ostatniej nocy wyraźnie było widać zdrową skórę króla. Wspomnienia z uczty przeplatały się ze snami, nie dając odróżnić, co w istocie było prawdą, a co złudzeniem, zaś cel, jaki przyświecał sługom Gilgamesza w chwili przyjęcia do pracy malarki, stał się niewiadomą.

Pewne było to, że sam kapłan w całej swojej dumie, lęka się potężnych skutków pracy dziewczyny. Również Hermes nazywał ją przecież czarodziejką. To oznaczało, że jej moce były uznane i musiało być na rzeczy coś, co zmuszało otoczenie króla, do wyboru właśnie jej do tego zadania. Z drugiej jednak strony zarówno Hermes, jak i Set byli pewni rychłej śmierci władcy z powodu chorób jego ciała i duszy. Różnica tkwiła w tym, że najwyższy kapłan wierzył w jej moce, natomiast nie w talent.

*

Któżby przewidział, że Wieczysta Toń nie wyparuje w magiczny sposób, nie rozpłynie się delikatnie okalając królestwo jak wyspę. Nikt nie śmiał pomyśleć, że cały ten ciężar niezbadanej wielkiej wody spadnie jak głaz na miasto razem z rybami i morskimi ssakami.

Zapytasz, czy malarka przeżyła i w jaki sposób mogłoby jej się to udać? Gdy morskie sklepienie zaczęło się opuszczać, wyglądało z początku jak przechylone naczynie z rozgrzaną stearyną, która ostudzona podmuchem nie jest pewna, czy wolno jej opaść na podłogę. Z każdą minutą ciecz przypominała bardziej miód, aż wreszcie poddała się prawom grawitacji, należytym jej jako tej właściwej materii, jaką jest woda.

Niektórzy ludzie nie uciekali, myśląc że fale rozstąpią się na dwie strony. Inni, chociaż przezornie wołano ich, by się pochowali w budynkach, stali jak wbite w bruk pale, zahipnotyzowani przez błękit. Jeszcze inni wznosili ręce ku górze, licząc na jakieś niewyjaśnione błogosławieństwo, zaś pozostali uciekali w popłochu, niby wszy z szat przysypanych piaskiem, kłębili się ku najwyższym kondygnacjom królestwa, myśląc, że tam woda utrzyma się najkrócej, spływając na place, uliczki, wreszcie do piwnic.

W pałacu rozległy się krzyki. Król dawno już spłonął i swąd paleniska wypełniał przestrzeń dziedzińca. Odór przybierał na sile, bo wzmagała go narastająca w powietrzu wilgoć. Jokebed próbowała wywołać Gilgamesza z obrazu, ale nawet jego oczy nie próbowały dać sygnału z płótna. Cóż za udręka! Tyle pracy na marne! Lud nigdy nie ujrzy podobizny swojego nieśmiertelnego władcy, niesionej w kwiecistym pochodzie ulicami miasta… Nikt nie wybije monet z jego popiersiem… Rodzina nie złoży pokłonów... A ona? Czy ona by go kochała? To kwestia

przyzwyczajenia… Kiedyś widziała, jak suka tuliła poduszkę wypchaną słomą. Próbowała ją nawet karmić. Matka wytrzymuje te męki codziennie, a ona nie może znieść ułamka chwili na zatłoczonym rynku, skrawka momentu, świadomości, że mijał ją boski pomazaniec, naturalny błąd… Ona jest nieśmiertelnie młoda. Jeszcze wolno jej odwlekać te myśli. Tylko ona mając w posiadaniu obraz, mogła skazać się na wieczne oglądanie kogoś, po kim nie ostał się już nawet szkielet. Jak mogło do tego dojść?! Bez króla nie było miasta. Nie było wojny między dwiema stronami, nie było śmierci jej matki, nie było nauk pobieranych u wiedźmy. Nie było nawet chorego chłopca w ciele obłąkanego mężczyzny.

Rozległy się uderzenia dzwonów. Czarodziejka pochwyciła czym prędzej swe dzieło i owinęła je w pościel. Następnie najostrożniej, jak tylko człowiek potrafi w czasie zagłady, ułożyła podobiznę władcy w wielkim ratanowym koszu. Ostatni jeszcze raz załkała nad swoim dzieckiem, by zaraz szczelnie otulić pierzyną jego policzek. Zamknęła szczelnie plecioną trumienkę i wybiegła z komnaty.

Zbiegała w dół, po drodze napotykając lamentujących po kątach niewolników.

Teraz dławiła się swoją swobodą, stojąc wbita w ścianę; ubytki w skale zapełniały się miękką fakturą jej szat i sprężystej skóry. Jak dobrze, że nie miała ojca, który dawno wydałby ją za mąż za jakiegoś starca! I oni wpychają się w nią jak kara. Wielka ławica wpływa z prądem strachu wprost do paszczy Lewiatana. Ich pot to teraz jej pot. Jakkolwiek głośno by łkała – to na nic. Za moment otworzą bramy pałacu, tłum ruszy i zostanie sama.

Gdy seria grzmotów niepodobnych największej burzy zmroziła dech mieszkańców, malarka przewróciła do góry nogami olbrzymi kufer i schowała się pod nim jak mysz…

Rok później nikt nie wspominał już wielkiej wody. Miasto było solidnie wyczyszczone ze wszystkich ludzi starych, kalekich i obłożnie chorych, a także niemowląt, bowiem i one nie miały prawa znieść trudów, jakich przysporzył ten potop. Królestwo niczym wielką piętrzącą się spiczasto ku niebu górę otaczała słona woda. Pustynne piaski stały się bezkresnym dnem morskim. Nieużywane od lat wielkie łodzie z drewna akacjowego wpłynęły na drgające fale, a kusze, którymi do niedawna łowiono większe ryby, zastąpiły sieci i harpuny.

Również demony nie ukazywały się od tej pory w mieście. Chociaż rychłe wstąpienie na tron nowego władcy było nieuniknione, mieszkańcy żyli ze sobą bez sporów i w ładzie, jakby próbując w ten sposób dziękować bogom za powrót słońca.

*

Pewnego dnia, jedna z wielu wówczas bezdomnych istot, wpatrywała się w jasny zakurzony żwir na krańcu targowiska. Dopatrywała się w nim maleńkich skruszonych kości, tych ostrych, i tych wygładzonych wodą. Czasami jakieś dziecko rzuciło w nią kamieniem albo przebiegało po jej tylko znanych maleńkich stertach pogrupowanych według kształtu, mineralnych okruszków. Nie mogła znieść tych małych potworów, które z takim samym zamiłowaniem, z jakim zjadały wędzone ryby, rzucając niedbale ich ości na ziemię, mogły prędzej czy później uznać za wspaniałą zabawę zbieranie ludzkich, wapiennych szczątków.

Mąciła dłonią w białym piasku, gdy wtem wyczuła coś śliskiego jak perła, lecz nie tak okrągłego, z czymś w rodzaju czterech rogów. Już miała przybliżyć do twarzy swój skarb, lecz właśnie wtedy w jej polu widzenia ukazał się potwór wielkości pięści. Skorpion poruszał się sztywno, robił kilka niewielkich kroków, po czym zastygał.

– Witaj.

Kobiecie zdawało się, że to zwierzę do niej przemówiło męskim głosem. Właśnie wtedy duża dłoń pochwyciła ogon potwora i uniosła w górę.

– Ty jesteś tą czarownicą Ażi?

Słońce znad głowy przybysza świeciło tak jasno, że jego twarz była czarna jak węgiel od cienia.

– Nie. Jestem Jokebed. Uczyłam się u niej malować. Już tego nie praktykuję.

– W takim razie miło mi cię poznać, Joki.

Choć była tak młoda, ilość godzin spędzonych w słońcu na ulicach, zmarszczyła i opaliła jej twarz do barwy nieobranego migdała.

– Czego chcesz? Kimkolwiek jesteś.

Mężczyzna przykucnął i odwiązując sakiewkę wyjął z niej niewielkie drewniane pudełko z otworami, do którego następnie schował skorpiona.

– Hm. – Zamilkł na dłuższą chwilę, raz wpatrując się w piasek pod nogami, raz spoglądając na dziewczynę, która jak wściekły, zlękniony kot wbijała usilnie wzrok gdzieś w bok.

Kupcy powoli zamykali szczelnie wszystkie swoje beczki, zakrywali płótnami owoce, które przypłynęły na statkach z dalekich stron, wnosili na wozy wielkie stągwie z winem.

– Hm. Pragnę, byś namalowała swój portret.

Jokebed rozwarła szeroko oczy.

– A co ty sobie wyobrażasz? Już powiedziałam, ja nie maluję.

Poza tym, nawet gdyby, to nie byłoby cię stać. Jestem nadworną malarką.

– Och, doprawdy? I kogo udało ci się do tej pory namalować?

Jokebed uśmiechnęła się, jak staruszka na wspomnienia młodości.

– Samego króla. Wielkiego Gilgamesza. Był obarczony trądem, ale udało mi się uzdrowić jego twarz. Użyłam do tego popiołu po spalonym zębie, który znalazłam wychodząc po kryjomu na plażę pod ścianę Wieczystej Toni.

– Czy był to ten sam ząb, który teraz trzymasz w dłoni?

Jokebed spojrzała na swój skarb, który istotnie, był tym samym zębem, który utarła w moździerzu, a następnie spaliła.

– Nic nie rozumiem… – Ogarnęło ją przerażenie. – Musiał mi wypaść z kieszeni! Cały czas był w kieszeni! Musiałam go wtedy pomylić z kością jakiegoś zwierzęcia, to dlatego obraz zmarł! Muszę go odnaleźć i zamalować tamtą biel oczu nową!

– Zaczekaj! Powoli. – Złapał ją twardo za ramiona i zapytał spokojnie. – Gdzie jest teraz ten obraz?

– W mojej komnacie o tam wysoko! – Wskazała palcem na najwyższą kondygnację.

– Możemy tam teraz iść. Zgadzasz się?

Jokebed biegła w górę miasta ciągnąc za rękę nieznajomego. Jej serce poczynała wypełniać jakaś nieopisana radość. Znała na pamięć labirynt miasta, prześlizgując się najwęższymi uliczkami, dotarła do pałacu, by później plątaniną korytarzy wspiąć się wreszcie po schodach do komnaty w najwyższej wieży, zawieszonej nad miastem jak ul.

Towarzysz pomógł otworzyć jej wielkie ciężkie drzwi. Tuż pod ogromnym półokrągłym oknem pozbawionym szyby stał wielki ratanowy kosz. Kilka mew czyszczących sobie na nim pióra poderwało się do lotu.

Malarka skradała się do skarbu, jak do śpiącego dziecka. Młody mężczyzna usiadł tymczasem na łożu opierając głowę na ramieniu. Był jakiś smutny i patrzył na nią jak na źrebię, które prawie potrafi już chodzić. Zdawało się, że dokładnie wiedział, co nastąpi w tym pokoju, chwila po chwili.

Jokebed podniosła wieko kosza i wyciągając ramiona, ściągnęła delikatnie pierzynę z obrazu.

Rozległ się krzyk. Wkrótce potem szloch.

Ogromne łzy spadały słono niczym Wieczysta Toń, gwałtem usiłując zniszczyć cały świat. Słone kropelki migotały na policzkach dostojnej kobiety uwiecznionej na płótnie, jak odbicie w lustrze. Na obrazie widniała twarz samej malarki w bogato zdobionych srebrnych jak rybia łuska szatach.

Zapadła kompletna cisza.

Spędzili tak całe popołudnie, aż płótno poczęło ciemnieć w mroku wieczoru rozmazując rysy twarzy. Wreszcie oblicze z obrazu przemówiło, odwracając się, ukazało pół swego lica nieznajomemu

– A ty kim jesteś? – spytała.

– Przyjacielem – odparł potwór z pudełka.

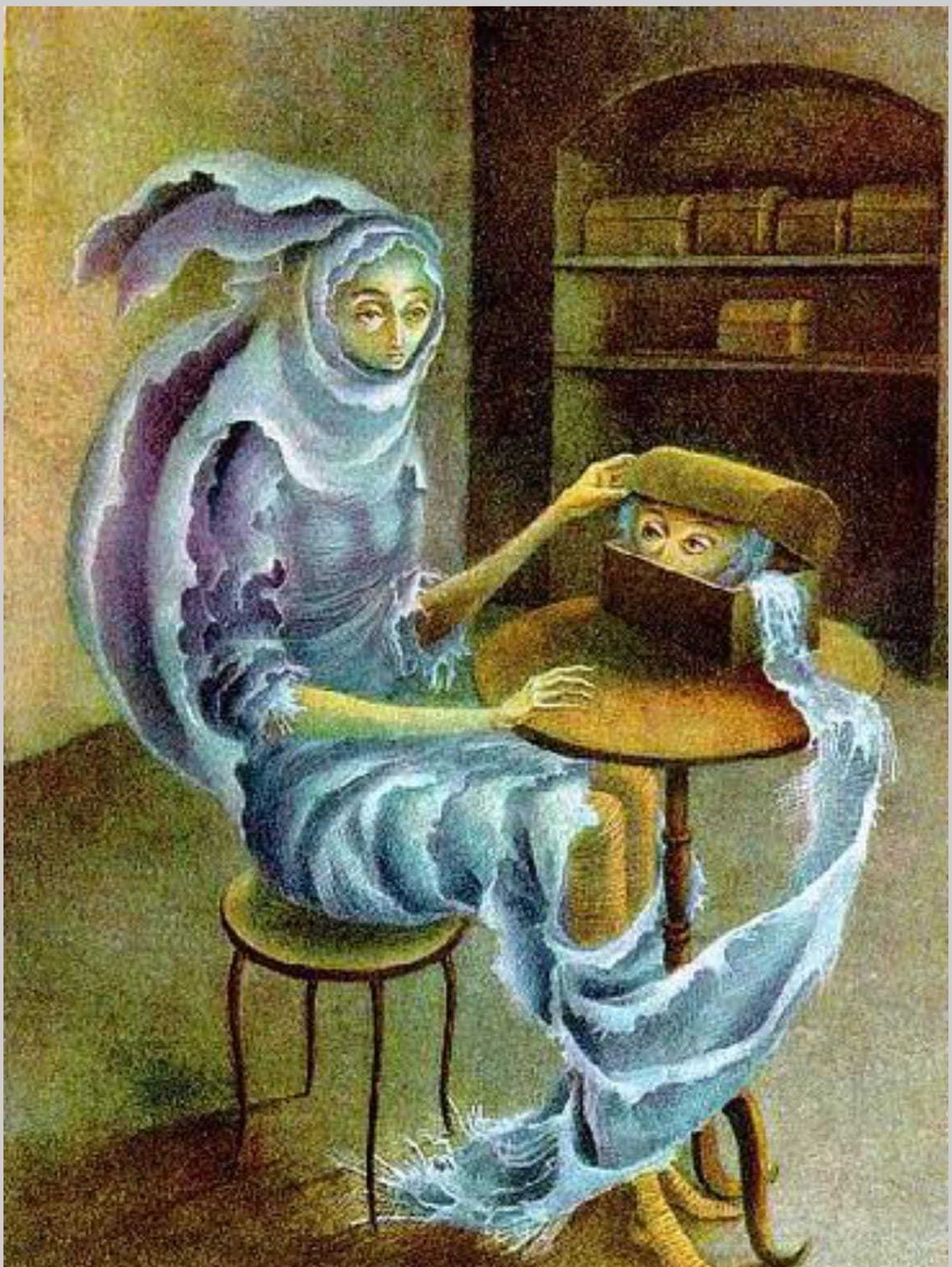

Remedios Varo, *Encuentro* (1959)

[illegible]

[illegible]
[illegible]

Dominika Firyn

Walka bliźniąt [fragment]

Burza zbliżała się w zatrważającym tempie. Krople deszczu jeszcze nie uderzyły w ziemię, jednak było już czuć napięcie w powietrzu, mały prąd tańczący na skórze. Ulice szybko pustoszały, ludzie uciekali do swoich domów i kryjówek, przepychając się pomiędzy sobą, nie zwracając uwagi na twarze wokół.

Hilal skorzystał z ostatniej okazji na złapanie dodatkowej monety, zanim i on ruszył w swoją stronę. Powietrze na obrzeżach miasta było jeszcze cięższe niż to w jego centrum. Chłopak westchnął ciężko, ostrożnie przemykając zacienionymi uliczkami. Nie zamierzał ryzykować swojego bezpieczeństwa… oraz swojego łupu. Po kilku minutach dotarł do zapuszczonego, zapomnianego placyku, gdzie stał ich „dom".

Wysoki, pusty szkielet budynku niemal chwiał się w silnych podmuchach wiatru. Razem z Shamsem żył tam tak wiele lat, a jednak dopiero niedawno zauważył, jak chłodne bywały te ściany, jak wiele dziur powstało w dachu. Hilal podszedł bliżej i oparł się o framugę dawno wyrwanych drzwi. Szczątki mebli, które posiadali, wyglądały tak samo żałośnie jak zawsze. Posłania wydawały się być zimne i niewygodne… Dokładnie takie, jakie były. Obrzucił wzrokiem poszarpane schody, po których skakał z bratem latami. Wyglądały, jakby miały zapaść się same z siebie. Jak mogli być ich tacy pewni, kiedy biegali po nich w górę i w dół? Jakim cudem nie zabili się, łażąc po zszarzałych belkach pod sufitem? Nawet ze swojego miejsca przy wejściu słyszał ciche jęki drewna. Białowłosy wzdrygnął się delikatnie. Dlaczego dopiero teraz zauważył to zimno, tę pustkę, dlaczego dopiero teraz poczuł siłę wiatru, który wdzierał się do środka?

Pamiętał to wszystko inaczej. Nawet podczas najgorszych burz i zamieci nigdy nie czuł takiego zimna, ich dom nigdy nie wydawał się być tak niebezpieczny. Żyli tu tak długo. Nieraz odczuli tu głód, ale… Mieli tu kiedyś szczęście. Kiedyś… Zawsze było tu ciepło. Lepiej.

Ten budynek nie był już jego domem.

Hilal skrzywił się paskudnie i wszedł w końcu do środka. Zrzucił plecak na spróchniałą ławę, na którą po chwili zaczął wykładać swój łup. Kolczyki, łańcuszki, sakiewki, monety, śliczne pierścionki… W myślach planował, gdzie i kiedy sprzedać drobiazgi, co kupić, co było potrzebne, żeby przeżyć następne kilka dni. Był zmęczony. Nie tylko tym dniem. Każdy kolejny dokładał się do wycieńczenia, jakie powoli go zjadało. Po co wracał? Dlaczego nie poszukał nowego miejsca?

Takiego, gdzie deszcz nie lałby mu się na głowę, a ściany nie groziły zawaleniem. Czy to miejsce było tego warte? I tak czekała na niego tylko cisza…

– Co to ma być?.

Ach, racja. Jeszcze on.

Białowłosy zacisnął zęby i wyłożył ostatni pierścień na ławę. Odwrócił się do brata i zmierzył go wzrokiem. W chwilach takich jak ta, zaskakiwało go, że nadal mieli tą samą twarz. Gdyby nie włosy, wciąż można by ich ze sobą pomylić. Nawet mimo treningów Shamsa, mimo zmiany trybu życia Hilala, ich ciała nadal wyglądały identycznie.

A przecież zmienili się. Czasami nawet nie rozpoznawał bruneta. W dobre dni, kiedy świeciło słońce, kiedy oboje byli najedzeni, mógł udawać, że znów są małymi chłopcami. Kiedy byli ze sobą blisko, kiedy byli pewni, że będą braćmi, przyjaciółmi na zawsze… Ale ledwie niebo zaczynało się chmurzyć, iluzja znikała. Nastawała kolejna burza, taka jak ta, która rozpętała się na zewnątrz. Coraz trudniej było mu wierzyć, że wszystko będzie tak jak dawniej. Coraz trudniej było ufać, że nadal był jego bratem, że nadal go kochał. Może… Może musiał się z tym pogodzić. Shams był dla niego jak obcy. Coś lodowatego zalęgło mu się w piersi, zmusiło do odwrócenia wzroku. Spojrzał znów na swój łup i zaczął przeliczać pieniądze.

– Pożyczyłem na jedzenie.

– Ukradłeś to!

Hilal spiął mięśnie. Po co w ogóle zadawał pytanie, skoro znał odpowiedź? Gdzie były czasy, kiedy mu to nie przeszkadzało? Gdzie ten wygłodzony chłopiec, który tak samo jak on marzył o pełnym brzuchu i spokojnej nocy? Nie potrafił już go zrozumieć. Po co mu ten przeklęty honor? Może wierzył, że prawo i strażnicy wiecznie będą się nim bawić? Że będą go karmić, jakkolwiek chronić? Zabawne.

– Hilal. Kazałem ci przestać. Ile razy muszę to powtarzać?

Białowłosy jedynie prychnął pogardliwie.

– Mówię poważnie. Musisz przestać. Nie będę wiecznie robił ci pleców!

Chłopak zacisnął oczy i zignorował brata. Nie chciał kolejnej kłótni. Wszystkie zaczynały się tak samo, były takie same i kończyły się tak samo. Później pozostawało jedynie rozgoryczenie i echo obrzydzenia. Do siebie i do niego.

– Hilal, na wycie Wilka! Posłuchaj mnie w końcu!

Na zewnątrz zagrzmiało. Złodziej nagle zesztywniał, jakby to w niego trafił piorun. Cisza zaczęła się przedłużać, póki ociężałe krople deszczu nie odważyły się wybrzmieć. Ledwie słyszalny szum, oddech niespokojnej burzy. Dopiero po dłuższej chwili Shams usłyszał wątły głos brata.

– Wycie… Wilka?

Czarnowłosy wzdrygnął się, jakby jego własne przekleństwo właśnie go spoliczkowało. Wilk? Nie zamierzał tego powiedzieć, ale nie mógł teraz zaprzeczyć, nawet kiedy poczuł na sobie wzrok Hilala. Już od dawna nie uznawał Jelenia za swojego opiekuna. Nie pamiętał, kiedy przeszedł pod opiekę Wilka... Pewnego dnia… Po prostu się stało. Zmienił się.

Spojrzał w oczy brata. Próbował samym spojrzeniem powiedzieć mu wszystko, czego teraz nie potrafił wyrazić słowami. Sprawić, żeby zrozumiał… Hilal zrozumiał. Niestety, nie w ten sposób, na jaki Shams liczył.

Burza ponownie zagrzmiała, niemal w tym samym momencie, w którym na usta Hilala wypłynął gorzki uśmiech.

– Jasne. To dużo tłumaczy.

Chłopak odepchnął się od ławy, która zachwiała się w niemym proteście, zrzucając kilka ze skarbów na ziemię. Nawet brzęk monet nie odwrócił uwagi braci. Hilal próbował odejść, zanim pieczenie pod powiekami zrodziłoby prawdziwe łzy, zanim zacząłby wrzeszczeć, zanim powiedziałby coś, czego naprawdę mógłby żałować. Same myśli w jego głowie wydawały się zbyt jadowite. Złodziej wbiegł na pokruszone schody, desperacko szukając ucieczki.

– O co ci chodzi?!

Słyszał kroki brata za sobą. Dlaczego nie mógł odpuścić ten jeden raz? Nie widział zmęczenia Hilala? Był ślepy, czy naprawdę nie zauważał, jak bardzo ich kłótnie go raniły?

– Hilal! Poczekaj!

Nie chciał czekać. Nawet słuchanie jego głosu, świadomość, że był tak blisko, zwiększała ciężar w jego piersi. Dlatego szedł wyżej.

– O co chodzi Hilal?! Należę do Wilka, ale to niczego nie zmienia! W czym to przeszkadza?!

Zacisnął zęby. Błagał w myślach, żeby Shams w końcu się zamknął, dał mu trochę przestrzeni do zebrania myśli. Zamiast tego go ścigał. Byli już na pierwszym piętrze. Wiatr wdzierał się do środka licznymi szczelinami, tak samo jak deszcz, który starał się sięgnąć braci. Shams był tuż za plecami białowłosego, chłopak potrzebował dostać się wyżej. Z dala od tego głosu.

– Stój! Zaczekaj… Nie możesz wiecznie uciekać!

– To patrz – warknął złodziej.

Kolejne kilka schodów. Błyskawica oświetliła na chwilkę braci, wszystkie kłębiące się tuż pod powierzchnią emocje. Furię, zranienie, zdradę i strach. Wściekłe szpony wiatru w końcu dosięgły ich ubrań, szarpiąc, popychając coraz dalej.

– Hilal, czekaj! Stój… Na wycie, mogę się przecież nami zająć! Ty uparty ośle! Nie musimy już kraść! Hilal, wracaj!

– Zamknij się, kundlu!

Białowłosy zakrył swoje usta. Nie chciał tego powiedzieć, nie chciał się kłócić… Nie mógł stracić Shamsa, a wiedział, że jego słowa, te jadowite myśli w jego głowie, mogą zniszczyć resztkę relacji, jaka ich jeszcze łączyła. Nie mógł. Mieli tylko siebie! Czy… to naprawdę nic nie znaczyło?

– Coś ty powiedział?!

Hilal poczuł coś gorącego na policzkach. Odwrócił się i wbiegł na kolejne schody, na trzecie piętro. Wyżej. Musiał uciec. Tylko na dzisiaj, byle nie widzieć twarzy bruneta, żeby nie zniszczyć wszystkiego. Nawet jeśli coś zaczynało rozrywać go od środka.

– Wracaj tu!

Nie mógł dalej uciekać. Schody na czwarte piętro zawaliły się już dawno temu, a to, co z nich zostało, nie utrzymałoby jego wagi. Pogoń zakończyła się na pustym piętrze, gdzie nawet ściany miały w sobie więcej dziur niż kamienia. Hilal objął się rękoma, desperacko próbując utrzymać w sobie każdą emocję i słowo, jakie starało się wyrwać na świat. Jeszcze nie teraz. Ulewa natychmiast przemoczyła obu chłopców, niemalże nic nie chroniło ich od pasji żywiołów.

– Hilal!

– Co?!

Chłopak otarł łzy i odwrócił do Shamsa. Tak długo uciekał. Starał się być dobry, próbował nadal być jego bratem, wspierać go i cieszyć się razem z nim. Nie mógł jednak wiecznie czepiać się złudnej nadziei. W końcu… musiał podjąć walkę. Nadszedł czas i nawet jeśli nie był gotowy na konsekwencje, nie wolno było tego więcej odwlekać. Nie byli już braćmi, nie byli przyjaciółmi. Z każdym dniem coraz bardziej się ranili. Musiał w końcu to zaakceptować i spojrzeć prawdzie w oczy… I w końcu odpowiedzieć Shamsowi.

– Czego ode mnie chcesz? Czego tak naprawdę chcesz, Shams? Obietnicy? Żebym stanął przed tobą i obiecał, że nigdy więcej nie zajrzę nikomu do kieszeni? Że zgodzę się czekać aż łaskawie wrócisz i sypniesz mi pieniędzmi od Straży? Czego ode mnie chcesz do… – Hilal zamilkł.

Czuł się jakby sekundy dzieliły go od rozpadnięcia się na kawałki, a gardło zostało miał ściśnięte czyś zimnym, obrzydliwym. Nie był w pełni sobą. To tak jakby stał naprzeciw brata, a jednocześnie dryfował gdzieś bardzo daleko od własnego ciała. Jak inaczej wytłumaczyć to poczucie nierealności? Wiedział, że stali na piętrze swojego „domu". Wokół szalała burza, wiatr starał się porwać ich słowa, a gromy – zagłuszyć. Oboje byli przemoczeni do suchej nitki. Wiedział, że było zimno. A jednak nie potrafił w pełni tego poczuć. Nawet gorąco na policzkach wydawało się być fałszywe. Dlaczego w końcu miałby płakać?

– Chcesz, żebym obiecał, Shams? – wydusił cicho.

– Tak...

– Więc chcesz kłamstwa.

Huk piorunu przerwał na chwilkę kłótnię. Jak na komendę, deszcz lunął z pełną mocą, a wiatr wydał z siebie potężne wycie.

Czarnowłosy wzdrygnął się. To… nie miało tak wyglądać. Coś się zmieniło i ta zmiana nie podobała się młodemu strażnikowi. Nigdy wcześniej nie musiał się obawiać, że Hilal kiedykolwiek go zostawi. Zawsze mógł mu zaufać… Ale to najwidoczniej się skończyło. Widział to wyraźnie w szklistych oczach brata – Hilal nie miałby już oporów, żeby łgać mu w twarz. Czarnowłosy nieświadomie obnażył zęby.

– Co się z tobą dzieje?! Co się, do wycia, stało?! Nigdy… Nigdy taki nie byłeś!

– Kiedy?!

Hilal podszedł bliżej brata i zacisnął pięści.

– Kiedy taki nie byłem?! Wczoraj? Miesiąc temu? Kilka lat temu? Kiedy kradłem tylko jabłuszka i bułeczki? Wtedy jakoś mój styl bycia ci nie przeszkadzał! A może jeszcze wcześniej taki nie byłem? Jeszcze wtedy, kiedy mi pomagałeś?!

Żaden zdawał się już nie dostrzegać burzy i piorunów błyskających z każdym wrzaskiem coraz bliżej. Gdyby choć na chwilkę ocknęli się ze swojego żalu i furii i spojrzeli ku niebu, dostrzegliby, że centrum nawałnicy zawisło tuż nad ich „domem".

– Kradliśmy, żeby przeżyć! Musieliśmy…!

– Ja nadal muszę! Muszę mieć co jeść! Muszę mieć ubrania i wodę, muszę żyć, ty cholerny hipokryto!

– Mogę się nami zająć!

Czarnowłosy potrząsnął głową.

– Gdybyś mnie tylko w końcu posłuchał, przeklęty idioto! Wszystkim się zajmę!

Shams rozejrzał się bezradnie po piętrze. Dlaczego stali tutaj, wystawieni na lodowaty deszcz i szpony wiatru? Dlaczego… dlaczego się kłócili?

– Przecież… Przecież obaj możemy przejść przez trening!

To było dobre rozwiązanie. Gdyby razem stanęli do służby, Hilal nie musiałby już kraść. Nie miałby czasu, żeby iść i kusić los, a jednocześnie miałby co jeść. Czy nie o to chodziło? Żeby być bezpiecznym? Chłopak przeczesał mokre włosy. Uśmiechnął się słabo w stronę brata.

– Możemy… razem wejść do Straży.

Bogowie, jak głupia była ta kłótnia!. Atakował Hilala bez sensu. Gdyby tylko wcześniej zauważył, co tak naprawdę gnębiło brata, może mogliby tego uniknąć. Ale to nic, prawda? Bo znalazł rozwiązanie. Teraz wszystko będzie dobrze. Jasne, mnóstwo między nimi się zmieniło, nie byli już dziećmi, ale nadal byli braćmi. Co by po nich zostało, gdyby te więzy zostały zerwane…?

Shams westchnął cicho i wyciągnął rękę do brata. To nie mogło się tak skończyć.

– Chodźmy stąd. Wiem, przesadziłem, ale… Heh. Jest za zimno, żeby się kłócić, nie sądzisz? Chodźmy na dół.

Przez kilka sekund naprawdę wierzył, że wszystko się ułoży. Hilal przyjąłby jego rękę, zeszliby na dół, ogrzali się, zjedli cokolwiek i poszli spać, blisko siebie, jak kiedyś. Jutro mogli spędzić cały dzień razem, do pazurów, z jednym treningiem. Mogli pójść do centrum i poobserwować stragany, pobiegać po dachach, podrażnić jakiegoś starego pryka, który by się o to prosił. Shams mógł kupić ciastka, które zjedliby wygrzewając się na słońcu. Po burzy zawsze wychodziło takie piękne słońce. Prawda? Nie musieli się kłócić. Mogli nadal sobie ufać.

Hilal popatrzył na dłoń brata. Coś w nim desperacko błagało, żeby ją przyjąć. To byłoby tak łatwe, nadal udawać, tańczyć wokół prawdy, która czekała na jeden fałszywy krok. Mogli nadal być braćmi.

Chłopak uśmiechnął się, powoli i gorzko. Spojrzał w oczy Shamsa z pełną żalu kpiną. Czarnowłosy niepewnie opuścił dłoń. Hilal nie chciał dłużej udawać. Nie potrafił nadal się wykrwawiać dla relacji, która niemalże już nie istniała. Ostatnia łza spłynęła mu po policzku.

– Ty nadal nie rozumiesz, prawda?

Białowłosy odsunął się o krok.

– Nie widzisz… Ha. Shams… Nie widzisz, że wychowałeś Węża we własnym domu?

Przestrzeń między nimi natychmiast wypełniła się śmiertelnym chłodem. Wiedział. Wiedział, że tak się stanie. Z dziwnym, pustym zainteresowaniem obserwował, jak twarz Shamsa blednie, jak w ciągu ułamka sekundy przez jego oczy przebiega każda emocja. Szok, poczucie zdrady, obrzydzenie, złość, wściekłość, furia. Po policzkach Hilala ponownie pociekły łzy. Nie spodziewał się wybuchu radości w odpowiedzi na tę rewelację, ale nadal odczuwał tępy ból. Oczywiście, że Wilk nie zaakceptuje Węża. Czuł nieziemskie wręcz wyczerpanie. Rozpadał się od środka i nie miał sił, żeby to powstrzymać, był po prostu zły, zrozpaczony i tak cholernie zagubiony. Kochał Shamsa. Kiedyś oddałby za niego życie, był tego pewien. Chciał dla niego jak najlepiej, nawet kosztem siebie samego. A teraz? Co z tego wszystkiego pozostało? Jedyne, co nadal ich łączyło, to jednakowe twarze.

Wybuchnął histerycznym śmiechem.

– No co?! Potrafisz jednak nie szczekać?! Nie masz niczego do powiedzenia?!

Zimno wokół nagle przestało istnieć. Nic wokół się nie liczyło. Chciał wyrzucić z siebie wszystko. Nie – musiał to zrobić. Każdą prawdę i każdą obelgę. Wszystko, co gromadziło się w nim już kilka lat. Chciał go zranić, tak samo jak brat ranił jego. Hilal zamierzał się od niego uwolnić. Odciąć się… i może nareszcie zacząć oddychać.

– Naprawdę nie wiedziałeś? Nie widziałeś?

Hilal potrząsnął głową. Uśmiechnął się szerzej, nie przejmując już się nawet łzami, które nadal leciały mu z oczu.

– A to dobre… Wielki, potężny, prawy Wilk… Ma za brata śliskiego Węża!

Wszystko było tak tragiczne, a on nie mógł przestać się śmiać.

– Wiesz… Ciekawi mnie, co by powiedzieli twoi przełożeni.

– Zamknij się.

Makabryczny uśmiech jedynie się poszerzył w odpowiedzi.

– Albo twoi koledzy? Wszystkie Wilczątka z prawych domów. Jestem pewien, że oni nigdy nie musieli kraść jedzenia.

– Zamknij się!

– Teraz?! O nie Shams, za późno. To nie ja chciałem tej kłótni, pamiętasz?! To ty za mną pobiegłeś! To ty tego chciałeś!

Shams zatrząsł się. To wszystko nie tak. To nie miało tak wyglądać. Wszystko…

– Błagałem, żebyś się zamknął. I to nie tylko dzisiaj! Sprawiało ci to radość? Czy może naprawdę tak wyprali ci mózg, żebyś widział tylko „dobre i złe”? Próbowałem się zamknąć! Próbowałem to utrzymać, Shams! Ile miałem to jeszcze znosić? Miałem czekać, aż pewnego dnia wtrącisz mnie do więzienia? Tego chciałeś? Odezwij się!

Hilal podszedł do bruneta i szarpnął go za kołnierz przemoczonej koszuli.

– Siedziałem już cicho. To ty zawsze drążyłeś, naciskałeś, chciałeś moich obietnic i tłumaczeń… A teraz… To koniec.

Wygiął usta w pogardliwym uśmieszku i puścił materiał. Nie czekał już na odpowiedź.

– To koniec braciszku!

Nim mógł postawić choć krok w kierunku schodów, upadł od ciosu czarnowłosego. Z wściekłym syknięciem skoczył na nogi, gotów do kontrataku. Wiedział, że nie był tak silny jak Shams, nie po treningach, ale był szybszy. To musiało wystarczyć. Walka wybuchła z siłą niemal równą burzy, która rwała resztkę dachu z budynku. Ciosy spadały równo z każdym gromem i hukiem pioruna wokół. Shams buchał wściekłością i nowo odkrytą nienawiścią. Potrafił walczyć, by powalić. Hilal oddawał każdy cios z siłą rozpaczy i bólu zdrady. Nie znał technik, jakich nauczono Shamsa, ale podczas gdy czarnowłosy oddawał się szkoleniom, Hilal obracał się w coraz ciemniejszym towarzystwie. Wiedział, gdzie uderzyć, żeby zabolało, jak uszkodzić przeciwnika, by przestał być zagrożeniem.

Było za późno, żeby się zatrzymać. Za późno, żeby się pogodzić czy uciec. W trakcie tej nawałnicy stali się czempionami swoich bogów. Jeden musiał wygrać.

Piorun uderzył w „dom” braci. Jeden z nich się zatrzymał, osłonił twarz przed kawałkami kamienia. Drugi zaatakował jeszcze jeden, ostatni raz. Jeden cios wystarczył.

– Nie!!!

Hilal spróbował złapać wyciągniętą rękę Shamsa, ale ten stał za daleko. Sekunda, w której zrozumieli, co się stało, co się stanie, była sekundą, w której nie mogli już nic zrobić. Kolejny błysk światła pozwolił chłopakowi zobaczyć poznaczoną łzami twarz brata, nim ten runął w dół.

– Hilal!!!

Czarnowłosy dopadł do krawędzi i spojrzał z przerażeniem ku brukowi, jednak jego wzrok nie mógł przebić się przez ciemność.

– Hilal, odezwij się!

I chociaż czekał, nie było odpowiedzi. Burza ucichła, zostawiając za sobą rzęsisty deszcz.

Tak oto Wilk wygrał.

– Hilal!!!

Nie potrafił zejść na dół. Co, jeśli go zabił? Musiałby zabrać jego ciało i zakopać gdzieś jak psa? A jeśli… przeżył? Po takim upadku, w jakim stanie by go zastał? Czy musiałby przy nim czekać aż… Nie. Nie potrafił. Dlatego, kiedy ocknął się z szoku, Shams uciekł, nie oglądając się za siebie. Tej nocy stracił brata, dom i wszystko, co kiedykolwiek łączyło go z Jeleniem.

Nie miał niczego i takiego siebie oddał w całości Wilkowi.

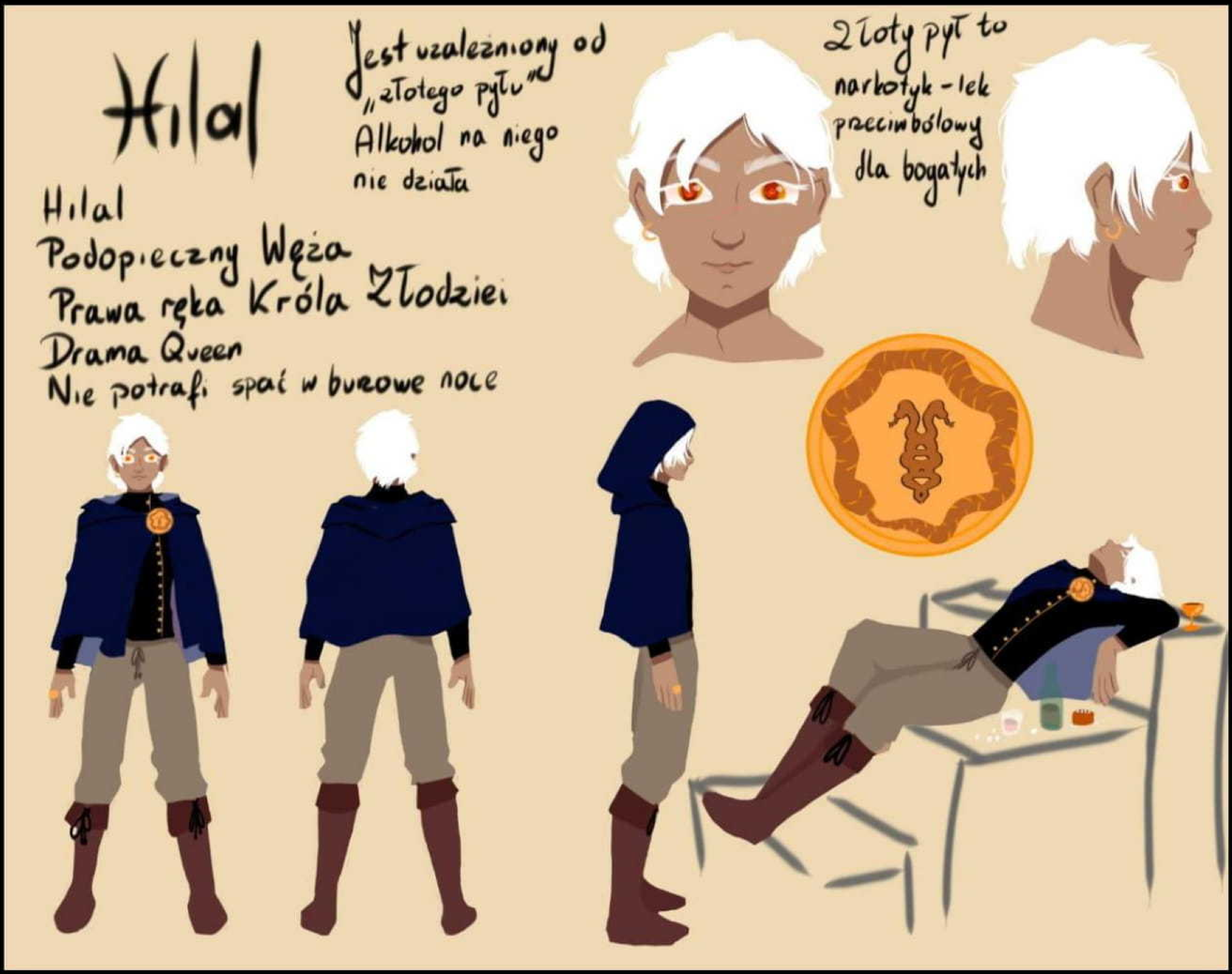
Hilal
Jest uzależniony od
„złotego pyłu"
Alkohol na niego
nie działa
Złoty pył to
narkotyk - lek
przeciwbólowy
dla bogatych
Hilal
Podopieczny Węża
Prawa ręka Króla Złodziei
Drama Queen
Nie potrafi spać w burowe noce

Shams
Często się upija
„Oddechem Anioła"
„Oddech Anioła" -
silny alkohol
połączony z
środkami
uspokajającymi
Shams
Podopieczny Wilka
Prawa ręka Króla Prawa
Sadysta
Jego samopoczucie znacznie się pogarsza podczas
burzy

Urszula Sikora

Morowe Dziewice

Chude kobiety ubrane w biel jeżdżą od wsi do wsi na szkielecie konia. Są dwie – Kania i Hania. Trzymają się za ręce, kiedy umierają ludzie we wsi. Pierzyny są brudne od krwi i potu. Nad sztywnymi ciałami latają muchy. Gdy zrobią robotę, jadą dalej. Żywią się ciałem, światłem Gwiazdy Polarnej i wodą z bagien. Lubią zaplatać sobie włosy w warkocze i na końcach zalepiać je błotem.

Ludzie rzucali w nie kamieniami. Jeden ranił Hanię siekierą, ale wnet padł bez tchu u jej stóp. Jej siostra oczyściła ranę mchem i zawiązała paprocią. Gdy wszyscy już umarli, podpaliły chaty i nad ogniem upiekły sobie strawę – najtłustszego we wsi mężczyznę. Zjadły całe ciało, a potem cztery dni i cztery noce leżały z wielkimi brzuchami na trawie.

Piątego dnia urodziły dziecko. Było połową Hani i połową Kani – nazwały je Haka. Nie wiedziały, jak się nim zajmować. Położyły je na ziemi i patrzyły, jak płacze. Gdy wzeszła gwiazda polarna, próbowały karmić je światłem, ale nie chciało jeść. Wiło się i krzyczało. Nie mogły tego wytrzymać, więc oddaliły się i zatopiły siebie w bagnie, żeby tego nie słyszeć.

Wróciły po dziecko nad ranem, ale już nie żyło. Oczyściły sobie uszy z błota. Spojrzały na siebie i płakały, żeby zapomnieć. Małe ciałko puściły z nurtem rzeki, która powstała z ich łez. Potem złapały się za ręce i poszły do kolejnej wsi, szerzyć zarazę.

Ta wieś była wyjątkowo biedna. Słomiane dachy rozwiewał wiatr, wszystkie zwierzęta padły. Dzieciom wystawały żebra i kręgosłupy. Spadł wtedy pierwszy śnieg, zapowiedź srogiej zimy. Gdy ludzie zobaczyli Morowe Dziewice, przybiegli do nich.

– Wyzwólcie nas – prosili. – Zabierzcie nas wszystkich, bylebyśmy razem odeszli.

Były zdziwione, ale spełniły ich życzenie. Tchnęły im zarazę w usta, nosy i uszy. Robiło się coraz ciszej. Płatki śniegu osiadały na ubraniach.

Od tyłu zaszedł je Janek, najsilniejszy we wsi, którego zaraza jeszcze nie zjadła. On wcale nie chciał umierać, chociaż z nosa kapała mu już krew.

– Kaniu, Haniu, Haniu, Kaniu, czemu ludziom to robicie? Czemu morowe powietrze sprowadzacie?

Jego głos był twardy, ale spojrzenie miękkie. Siostry spojrzały po sobie. W końcu Hania zrozumiała:

– Chyba nikt nam nigdy nie pokazał inaczej.

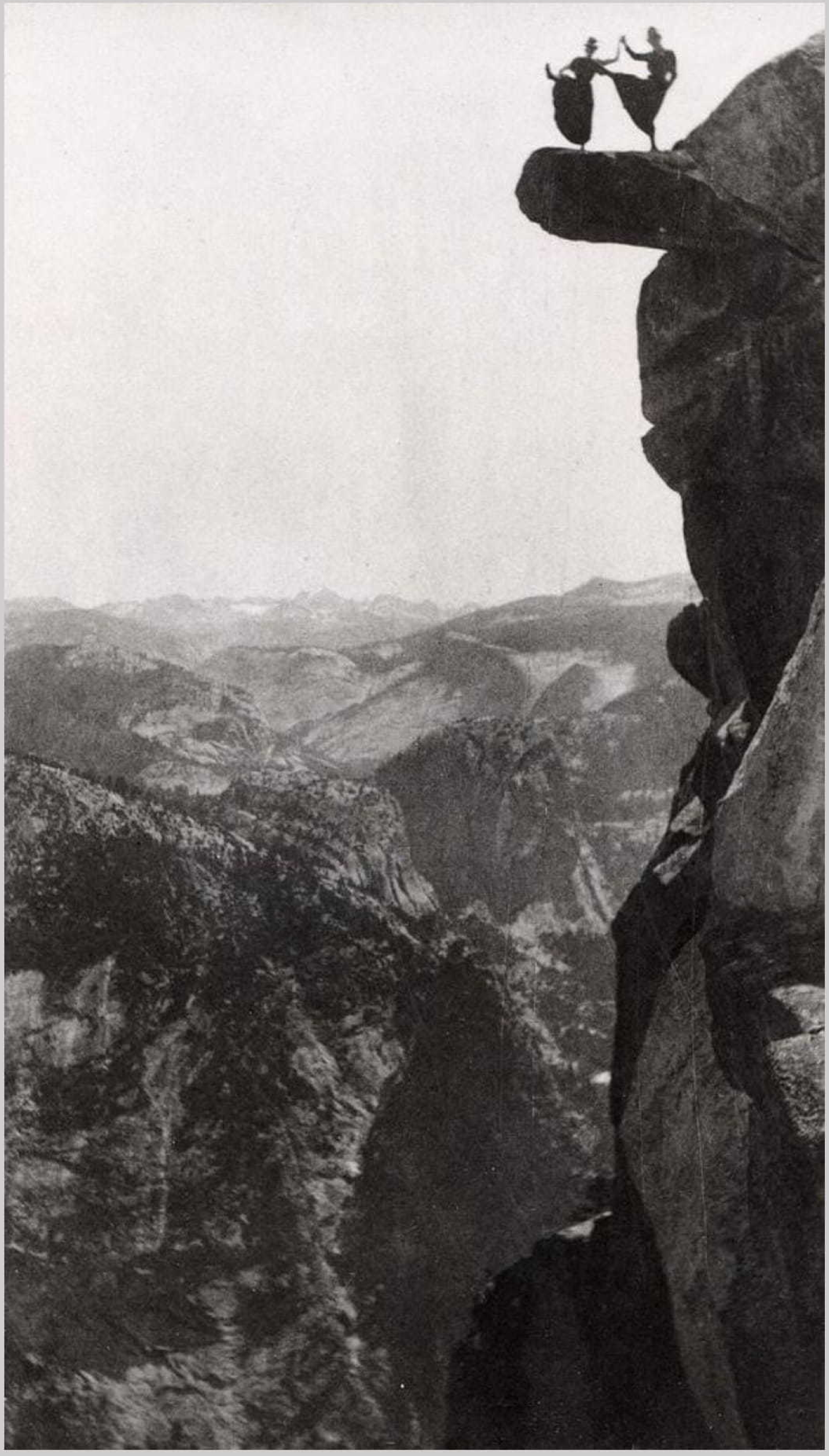

NN, *Two ladies do high kicks while posing atop Overhanging Rock at Glacier Point in the Yosemite National Park* (1900)

Kim są Morowe Dziewice? W czasach, kiedy zarazę powodowało morowe powietrze i dziewczyna przynosiła chorobę do wsi na końcu warkocza, to właśnie One jeździły po świecie i rozpoczynały epidemie. Mówiono o nich, że są brzydkie, chude, ubrane w białe płachty, a od wsi do wsi jeżdżą na szkielecie konia lub drewnianym wózku.

Pojawienie się Morowej Dziewicy we wsi powodowało chaos i strach. Ludzie dopuszczali się rozbojów i kradzieży. Czasem miały miejsce bardzo okrutne praktyki zapobiegawcze: w 1831 roku mieszkańcy wsi Lubiszczyce, aby uchronić się przed zarazą, zakopali żywcem kobietę wraz z kogutem i wroną.

Informacje z *Polskiej Demonologii Ludowej* Leonarda Pełki i cyklu wykładów *Rodzimowierstwo* na festiwalu *Wibracje*.

Powyższy tekst prezentowany był na Piątych Ogólnopolskich Mistrzostwach Slamu Poetyckiego w Poznaniu 22 sierpnia 2021 r.

ᛚᚩᛉᛁᛐᛁᚴᛧ ᚴᛁᛁᚦᛐ
ᚠᛧᛐᛐᚦ ᛉᚩᛁᚩᚴᛧ

Antoni Majewski

Torlof

ROZDZIAŁ 1

Dzień był paskudny. Ulewny deszcz, wichura i dojmujący chłód, były w stanie zrazić każdego wędrowca, który zechciałby wyjść z domu. Mimo to na drodze prowadzącej do osady odźwierny zobaczył krępą postać. Zaskoczyło go to, ponieważ w tych czasach rzadko ktokolwiek docierał do Ivengrim.

Dawniej osada znajdowała się na szlaku handlowym łączącym znajdujące się w Górach Północy królestwa krasnoludów z krajami ludzi na południowym wschodzie kontynentu. Jednak po wojnie krasnoludów z mrocznymi elfami ich państwa upadły, a szlak opustoszał.

Tym, co bardziej niż samo pojawienie się wędrowca zdziwiło odźwiernego, była jego rasa, ponieważ oczom mężczyzny ukazał się brodaty krasnolud. Wspierał się na pięknie zdobionym kosturze. Odziany był w płaszcz podróżny z szerokim i nasuniętym na oczy, tak by nie było ich widać, kapturem. Znad ramienia wystawała rękojeść miecza. Podobnie jak kostur, głowica i jelec były ozdobione runami. Sam trzon obity był nieznanym strażnikowi materiałem. Oprócz miecza na plecach podróżny niósł jeszcze mały tobołek, zapewne z dobytkiem. Zatrzymał się dopiero przy samej bramie, kiedy został okrzyknięty:

– Kogo licho niesie?

– Nazywam się Torlof i jestem, jak pewnie się domyślasz, krasnoludem.

Głos miał niski i głęboki. Od razu było czuć, że rozmawia się z kimś, kogo lepiej nie lekceważyć.

– Czego tu szukasz?

– Noclegu i gorącej strawy.

– Nie chcemy tu obcych. To porządna i spokojna osada, a nie zbójecka kryjówka.

– Nie szukam kłopotów i normalnie szedłbym dalej, ale w taką pogodę nie sposób.

– No dobra, wejdź. Ale jeśli zobaczę, że szwendasz się, robisz coś, czego nie powinieneś, to cię stąd wywalę na zbity pysk. A, i zostaw tu miecz, żeby cię nie kusiło.

Przybysz niechętnie odpiął pas przecinający mu pierś, oddał miecz i wszedł przez niskie, wycięte w bramie drzwi.

Karczma Pod Rozdartą Harpią dawno już miała za sobą lata świetności. Nad drzwiami wisiał zużyty, niegdyś złocony szyld, przedstawiający niemal w całości rozdartą szkaradną, uskrzydloną kobietę. Liczbę pięter budynku określały dwa rzędy okien. Te na parterze wypuszczały na ulicę snopy światła, dając uczucie ciepła i kusząc do wejścia.

Kiedy Torlof otworzył drzwi, gwar w karczmie ucichł. Jak zawsze, wchodząc do zamkniętego pomieszczenia, obiegł wzrokiem całą salę. To pozwoliło mu odnotować, że oczy wszystkich gości gospody zwróciły się w jego stronę. Takiej reakcji na swoją osobę spodziewał się już po rozmowie z odźwiernym. Zdjął kaptur i wolno ruszył w stronę kontuaru. W ciszy, która wciąż trwała, słychać było tylko dudnienie okutych butów Torlofa i ledwo słyszalny stukot kostura.

Przy ladzie zagadnął karczmarza:

– Izby na nocleg szukam.

– Nie ma – odpowiedział karczmarz.

– Płacę złotem. – I jakby na potwierdzenie swoich słów wyciągnął zza pazuchy złotą monetę, którą położył na ladzie.

Mężczyznę zdecydowanie ta oferta zainteresowała, a w jego oku można było dostrzec błysk, tak charakterystyczny w tego typu sytuacjach, zwłaszcza u ludzi jego profesji.

– To co? Znajdzie się coś? – kontynuował krasnolud.

– A znajdzie się, panie. I strawa się znajdzie.

Torlof natychmiast wychwycił zmianę tonu głosu gospodarza, z obojętnego, wręcz szorstkiego, na przymilny. A także fakt, że gwar gospody ponowne ucichł.

Poszedł do jedynego wolnego stołu. Ku jego zadowoleniu stał on w słabo oświetlonym kącie sali. Oparł kostur o ścianę, płaszcz przewiesił przez oparcie krzesła i usiadł tak, by móc widzieć całe pomieszczenie. Ukradkiem wymruczał zaklęcie, przez co pierścień na jego palcu, delikatnie zalśnił bladym światłem. Był to prosty czar, który wyostrzył słuch krasnoluda. Dzięki niemu mógł słyszeć wszystkie rozmowy i wychwytywać nawet najcichsze dźwięki. Chciał wiedzieć, co ludzie mówią.

Torlof mimowolnie uśmiechnął się na widok zawartości postawionych przed nim naczyń. Karczemna klasyka, czyli kasza z grochem, suto okraszona słoniną, swojski chleb i kufel ciemnego piwa, były w stanie zadowolić każdego podróżnego. Lubił to jedzenie. Proste, sycące i smaczne.

Po zjedzeniu kilku łyżek sięgnął po kufel, odchylił się na krześle i zaczął słuchać. Większość ludzi rozmawiała o dość przyziemnych z perspektywy Torlofa sprawach. Jeden narzekał na pogodę, inny opowiadał swojemu lekko już wstawionemu kompanowi, że planuje ożenić się z córką

piekarza. Kontynuując posiłek postanowił posłuchać najciekawszej osoby wśród obecnych – karczmarza. I jak zawsze w takich sytuacjach, nie zawiódł się.

Gospodarz rozmawiał ze zdecydowanie nietypowym dla takich miejsc osobnikiem. Wygląd mężczyzny jednoznacznie wskazywał, że nie jest on chłopem. Ogorzała od wichru pustkowi twarz, znoszony strój podróżny i brak jednego oka, zaciekawiły krasnoluda.

– Co o nim sądzisz? – spytał gospodarz.

– Takich jak on, nie widuje się już w tych stronach. Kiedy ostatni z nich wyniósł się z północy? Sto lat temu? To musi coś znaczyć.

– Musi, nie musi. Ale dla naszego wspólnego dobra, powinniśmy się czegoś o nim dowiedzieć.

– Racja, tylko bądźmy ostrożni. To nie pierwszy lepszy trep, lecz ćwik. Od kiedy wszedł, bacznie obserwuje całą salę, a fakt, że tamten stół akurat był wolny, jak sądzę, bardzo mu odpowiada.

– Myślisz, że powinniśmy wysłać wiadomość do Niego?

– Nie, na razie nie ma potrzeby informować naszego „czcigodnego" władcy. A zresztą, dziesięć minut temu wyszedł stąd jeden z jego podstawionych ludzi i On już pewnie wie o wszystkim. Dobrze wiesz, że oni bardzo szybko przesyłają sobie informacje. Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś odwiedził nas jutro rano.

Torlofa zaciekawił ton jakim nieznajomy wypowiedział słowo „czcigodny". Wyrażało ono nie tylko niechęć, ale wręcz swego rodzaju nienawiść do osoby tutejszego władcy, kimkolwiek był.

– Skończmy już tę rozmowę. Nie chcę, żeby nasz brodaty przyjaciel zwrócił na nas uwagę – powiedział karczmarz.

– Słusznie, przyjdę jutro. – Mężczyzna odwrócił się i poszedł w stronę drzwi, które po chwili się za nim zamknęły.

ROZDZIAŁ 2

Ze snu wyrwał go hałas. Krzyki ludzi, huk i pochłaniający wszystko chaos. Pierwszym, co przeszło mu przez myśl, była potrzeba poznania źródła tego zamieszania. Już podbiegając do okna dostrzegł łunę pożaru. Jak się okazało, płonął postawiony naprzeciwko karczmy magazyn węgla i innych dość łatwopalnych surowców użytku codziennego. To również pożar był źródłem huku. Uspokoiło to Torlofa. Pożary magazynów się zdarzają, zwłaszcza, jeśli są w nich składowane tak podatne na ogień materiały.

Szybko jednak został wyrwany z tego złudzenia. Zobaczył bowiem sylwetki ludzi biegających we wszystkie strony. Nie z powodu pożaru, ale z powodu goniących ich, uzbrojonych, nienaturalnie wysokich cieni. Widział, jak raz po raz jakiś człowiek przewracał się, by zostać przybitym do ziemi ciosem miecza, topora czy włóczni.

Krasnolud szybko wrzucił do tobołka, to co z niego uprzednio wyciągnął, narzucił płaszcz, porwał stojący w koncie kostur i wybiegł z pomieszczenia. W głównej sali gospody nie było nikogo z biesiadników, na podłodze walały się tylko poprzewracane krzesła. W kącie, oparty o ścianę stał zakapturzony mężczyzna. Torlof od razu go rozpoznał. To on rozmawiał z karczmarzem, kiedy krasnolud podsłuchiwał.

– Niezłego piwa naważyłeś – powiedział nieznajomy.

– Co tu się dzieje? – krzyknął Torlof.

– Jak to co?! Przyszli po ciebie, idioto, ale ponieważ są potworami, nie zadawali pytań od razu, tylko postanowili wprowadzić trochę chaosu i wymordować pół Ivengrim. Resztę ludności wezmą do kopalni w ramach kary za ukrywanie krasnoluda.

– O czym ty mówisz?!

– Tak się dzieje, kiedy łamie się prawo ustanowione przez Ciemnego Lorda. Palą wioski, miasta, wszystko, ludność niewolą albo mordują – ciągnął dalej mężczyzna.

Torlof zauważył, że kiedy mówił o paleniu wiosek i mordowaniu ludności, mężczyźnie niemal niezauważalnie drgnęła powieka.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał spokojnie wędrowiec.

– Nie jesteś zwykłym krasnoludem. Wiem, że podsłuchiwałeś moją rozmowę z karczmarzem. Naturalnie nie masz tak czułego słuchu, więc musisz być jednym z tych legendarnych krasnoludzkich magów bojowych... Więc rusz dupę i pomóż mi walczyć z tymi demonami.

– Nie wiem, skąd o tym wszystkim wiesz, ale wyjaśnimy to później – odpowiedział, lekko oszołomiony wiedzą mężczyzny, Torlof. – Chodźmy.

Na placu przed karczmą stało kilka czarnych, lekko rozmytych, jakby przesłoniętych dymem, postaci. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi napastnicy odwrócili i spojrzeli wprost na Torlofa. Jeden z nich krzyknął potwornym, ochrypłym głosem. W tym momencie mężczyzna stojący obok rozchylił płaszcz, wyciągnął spod niego miecz i podał go Torlofowi. Krasnolud od razu go rozpoznał. To był pięknie zdobiony starożytny miecz z Dornkart. Jego miecz. Przepasał go sobie na plecach, ruchem ręki z pierścieniem zdematerializował kostur, chwycił za rękojeść i wyciągnął brzeszczot. Kuta w pradawnych górskich kuźniach klinga zabłysła jakby własnym, bladym

światłem, tak innym od barwy ognia. Runy, którymi gęsto pokryta była niemal cała jej długość, świeciły zimnym, niebieskim blaskiem.

Torlof zakręcił mieczem młyńca i przybrał pozycję. Kątem oka spojrzał na swojego towarzysza: on też dobył miecza, bił od niego taki spokój i opanowanie, że krasnolud zdziwił się, że człowiek tak potrafi. Jednak najbardziej zszokowało go oko towarzysza. Zobaczył w nim płomień. Znał go, to był czarny płomień gniewu, żądzy zemsty i woli śmierci.

Ruszyli sprężystym, szybkim krokiem. Napastnicy jakby tylko na to czekali. Rzucili się na nich z wrzaskiem. Było ich siedmiu, czterech zwróciło się w stronę krasnoluda. Zaatakowali umykającymi oku cięciami czarnych mieczy. Parada. Odskok. Unik. Cięcie. Piruet. Odskok. Parada. Błysk miecza. Unik. Unik. Błysk. Ból. Zrobił o jeden unik za mało. Ostrze miecza jednego z przeciwników dosięgło jego boku. Torlof krzyknął z bólu, otoczył się szerokim młyńcem, wolną ręką nakreślił runę i wykrzyczał zaklęcie. Napastnicy zamarli zaskoczeni w teatralnych wręcz pozach. Jego oczy zalśniły. W dwóch skokach znalazł się między nimi i zaczął zabijać. Upadając nawet nie wiedzieli, że już nie żyją. Zaklęcie znacznie przyspieszyło ruchy krasnoluda. Obejrzał się za swoim towarzyszem. Stał on spokojnie na środku placu przyglądając się Torlofowi, jego wrogowie leżeli martwi dookoła. „Szybki jest", pomyślał krasnolud.

– Mogłeś mi pomóc, skoro tak szybko się z nimi uporałeś – powiedział do mężczyzny.

– Radziłeś sobie. Kusiło mnie, żeby się wtrącić, kiedy cię trafili, ale twoje zaklęcie wystarczyło.

– Zanim pójdziemy dalej walczyć z naszymi rozmazanymi przyjaciółmi, powiedz mi, jak cię zwą – spytał Torlof.

– Ugrufil – odpowiedział spokojnie mężczyzna i wyciągnął dłoń w stronę krasnoluda.

– Ja jestem Torlof – przedstawił się, ściskając dłoń towarzysza. – Chodźmy, chcę znaleźć ich dowódcę.

Pobiegli w kierunku najgłośniejszych wrzasków.

ROZDZIAŁ 3

Krzyki dobiegały z placu przed ratuszem. Stłoczonych tam było na oko sześćdziesiąt osób. Byli to zwykli cywile. Dokoła tłumu stało mniej więcej tyle samo ciemnych, zamazanych postaci. Pośród nich – demon. Wielki, czarniejszy od nocy. Torlofowi zdawało się wręcz, że jego sylwetka pochłania światło. W ręce dzierżył ognistą włócznię długą na niemal cztery metry. Dla kogoś wzrostu zwykłego człowieka byłaby zdecydowanie za długa

o ile nie walczyłby w zwartym szyku, lecz demon ze swoimi trzema metrami wzrostu mógł nią władać bez większych problemów.

Na widok tej postaci Torlof zamarł. Znał go. Wiedział, kim jest, skąd pochodzi i kto jest jego panem. To był Nargamir. Mroczny elf wysokiego rodu. Podwładny Kortisa, władcy mrocznych elfów, który przeprowadził inwazję na wszystkie państwa krasnoludów w Górach Północy.

Torlof chciał dalej biec za Ugrufilem, ale strach, który nim owładnął na widok Nargamira, nie pozwalał mu ruszyć się z miejsca. Ugrufil stanął i odwrócił się.

– Co się stało? – zapytał.

– N… Nic – wystękał Torlof. – To znaczy, znam tego demona. Wiem, skąd przybył, i wiem, że szuka tu właśnie mnie.

– Tego się spodziewałem. Ale ja też go poznaję.

– Obawiam się, że nie uratujemy ludności tego miasteczka. Sami wojownicy nie byliby może największym kłopotem, ale Nargamir sam w sobie stanowi ogromy problem, a wespół z Wojownikami Cienia – wręcz zabójczą kombinację. Nawet z moim mistrzem nie daliśmy rady temu połączeniu, a z całym szacunkiem dla ciebie, jesteś od niego o wiele słabszy. Dlatego proponuję się wycofać.

– Dobrze. Nie wiem, kim był twój mistrz, ale widziałem w akcji i ciebie, i Nargamira, i dochodzę do wniosku, że jest dla nas za silny.

Właśnie mieli się wycofać, kiedy demon odwrócił się w stronę uliczki, w której stali. Błysk czerwonych ślepi był dla jego ludzi jak rozkaz. Rzucili się w ich kierunku krzycząc i wywijając czarnymi ostrzami.

Torlof wiedział, że nie mają szansy uciec, lecz Ugrufil nawet nie próbował. Stał dumny i wyprostowany, niczym posąg bohaterów w komnatach krasnoludzkich królów z czasów, kiedy plemię elfów dopiero raczkowało, a jedynym wrogiem krasnoludów były smoki i góry, którym wyrywali bogactwa surowców. Jego oko lśniło od żądzy mordu. Widząc to, Torlof nagle odzyskał spokój. Wiedział, co musi zrobić. Jedyną szansą na przeżycie było wprowadzenie się w trans bojowy. Technika ta znana tylko magom bojowym jego plemienia, sprawiała że trzykrotnie zwiększały się prędkość, siła i wytrzymałość wojownika. Problem stanowił czas. Żeby wprowadzić się w trans, potrzeba było wykrzyczeć inkantację. Trwała trzy minuty, a tylu Torlof nie miał.

– Daj mi trzy minuty, a pokonam tych wojowników – rzekł do towarzysza.

– Ile?! – odkrzyknął Ugrufil.

– Trzy. Wprowadzę się w trans bojowy, ale muszę mieć trzy minut spokoju.

– Dobrze. Postaram się.

Torlof zaczął krzyczeć.

Potężny głos krasnoluda powoli wypełniał przestrzeń dookoła. Mimo to napastnicy nie zwolnili. Ugrufil ruszył w ich stronę. Spokojny jak zwykle. Torlof kolejny już raz stwierdził, że w tym człowieku jest coś niezwykłego. Widywał już ludzkich wojowników, ale żaden nie przypominał mu jego przypadkowego towarzysza. Wszyscy byli zbyt lekkomyślni, umierali głupio, w walce z wrogami o wiele silniejszymi od nich, nie przemyślawszy, czy mają jakiekolwiek szanse. Daleko im było do potężnych krasnoludów z czasów młodości Torlofa. Ugrufil poruszał się jak wściekła żmija. Kolejni przeciwnicy padali pod jego ciosami. Atakował, zwijał się w uniku, wirował w piruecie, ale bez przerwy atakował. Nie dawał przeciwnikom wytchnienia. Ciasna uliczka była doskonałym miejscem do walki, ale prędkość, z jaką zabijał wrogów, i fakt, że teraz to on napierał, sprawiły, że po zabiciu dwunastu znalazł się na placu. Byłoby po nim, gdyby nie zaczął wirować jak fryga. Wywijał się spod kolejnych cięć i odgryzał się tym samym. Torlof był pod wrażeniem jego prędkości.

Krzyk krasnoluda zaczynał wprawiać powietrze dookoła niego w drżenie. W tym momencie jeden z ciosów dosięgnął w końcu wojownika. Sztych miecza zahaczył o ramię Ugrufila. To wystarczyło, by wytrącić go z tanecznego rytmu walki. Kolejny cios trafił go w nogę. Mężczyzna krzyknął, jednak dźwięk utonął w o wiele potężniejszym krzyku krasnoluda. Inkantacja Torlofa była już tak potężna, że mający zadać śmiertelne cięcia wrogowie odwrócili się.

Ostatnie słowa i jest. Trans bojowy krasnoludzkiego maga się rozpoczął.

Efekt zaklęcia przerósł jego najśmielsze oczekiwania. Wpadł między nich jak błyskawica. Siekąc swoim mieczem na prawo i lewo. Żaden z wrogów nie mógł go trafić. Nie w tym stanie. Robił z nimi, co chciał, a każde cięcie akcentował krzykiem. Nie stanowili dla niego żadnego wyzwania. Odskakując przed uderzeniem przeciwnika, zasiekł dwóch kolejnych. Wojownik, który się na niego zamierzył, padł pod ciosem miecza Ugrufila. Teraz walczyli ramię w ramię, ich miecze wznosiły się i opadały. Wrogów ubywało. Jednak oddział na placu nie był jedynym atakującym wioskę. Z uliczki wypadło kolejnych trzydziestu napastników. Na ten widok Torlof zawahał się.

– Nie wiem, czy damy im radę, mój trans potrwa jeszcze trzydzieści sekund, a ty jesteś ranny – powiedział do towarzysza.

– Faktycznie. Ich liczba nie daje nam perspektyw zwycięstwa... Cóż. Warto było próbować – odpowiedział z uśmiechem Ugrufil.

– Zabijmy jeszcze tylu, ilu damy radę, a potem niech wali się świat – odpowiedział krasnolud, kładąc trupem następnych trzech napastników.

W tym samym momencie napastnicy zamarli. To Nargamir krzykiem powstrzymał swoich podwładnych. Część z nich rozstąpiła się, by go przepuścić. Stanął on naprzeciwko krasnoluda i rzekł potwornym głosem:

– Walczyłeś dzielnie, Torlofie, lecz tutaj jest kres twojego życia i twojej walki. Chciałeś pomścić Geleba. Szukałeś mnie i mojego pana, ale to my odnaleźliśmy cię pierwsi. Twoja głowa zostanie zatknięta na mojej włóczni, a potem przybita nad wrotami Dornkartu obok głów wszystkich innych krasnoludów, których wyłapałem po tym, jak wyrżnęliśmy wasze królestwa. Pięknie będzie tam wyglądała. Wiesz, przybiję przy niej tabliczkę z napisem „Ostatni zasrany krasnolud". Będzie to piękne epitafium dla waszej rasy. Mógłbym kazać wykończyć was moim ludziom, ale też chcę mieć dzisiaj trochę przyjemności. Co powiesz na epicką walkę jako zakończenie istnienia waszej plugawej nacji? Obiecuję, że potem ułożę o tym pieśń.

– I tak chciałem cię zabić, więc co mi szkodzi – odpowiedział krasnolud. – Stawaj!

I ruszyli ku sobie, dwaj wrogowie. Jeden niski, krępy i zdecydowany. Zdecydowany zabić swojego wroga, demona, który uśmiercił jego mistrza, wybił rodzinę i przyjaciół, i wypędził z rodzinnego domu. Chciał jednego. Zemsty.

Drugi. Demon z odległej krainy mrocznych elfów, największy z przybocznych Wielkiego Ciemnego Lorda, co zabił niezliczoną liczbę krasnoludów, gnomów i innych stworzeń, których istnienie uważał za zbędne.

Ich starcie było straszne. Walczyli jak opętani. Miecz krasnoluda świstał i migotał jak błyskawica, ognista włócznia mrocznego elfa wznosiła się i opadała, niczym czerwona wstęga, wirowała w jego rękach. Każdy z nich szukał szczeliny w paradach drugiego. Liczyło się tylko, kto popełni błąd, który da przeciwnikowi szansę zadania śmiertelnego ciosu.

Obaj raz po raz wymykali się śmierci unikając, dosłownie o milimetry, ostrza broni tego drugiego. Jednak to Nargamir przystąpił do pojedynku świeży, niezmęczony walką. To nie on miał ranę w boku, powierzchowną, ale nadal ranę. W pewnym momencie płomień demonicznej włóczni liznął nieokryte odzieniem przedramię krasnoluda. Ogień, gorący niczym samo piekło, wywołał dojmujący ból w ręce Torlofa. Ranny krzyknął wstrząśnięty tym, że popełnił błąd. Euforia pojedynku zamieniła się w przerażenie. Wiedział, że to szczegół, który może zaważyć na jego życiu. Jego kolejny cios zadzwonił o paradę tak silną, że aż go odrzuciło. Przykląkł pod naporem ciosów śmiertelnego wroga. Miał już tylko jedno wyjście. Magia. Nie runiczna, do tego potrzebowałby czasu na wyrysowanie w powietrzu symboli. Musiał wykrzyczeć zaklęcie, uformować w mieczu dech smoczego ognia.

– AR ZARAGH NA ERGANIO! – Słowa zaklęcia wybrzmiały w ciszy placu boju.

Miecz zalśnił żywym ogniem. Włócznia demona pękła pod ciosem magicznej klingi. Kolejny cios odrąbał rękę elfa. Demon zawył z bólu. Skowyt gorszy od wycia ranionego wilka przeraził wszystkich świadków sceny. I został zagłuszony przez ryk triumfu wściekłego krasnoluda, kiedy potężnym ciosem zza głowy rozłupał potworny łeb swego wroga.

Torlof upadł na kolana. Był zmęczony walką. Pozostali wrogowie rozbiegli się przerażeni śmiercią wodza. Część z nich padła pod ciosami miecza Ugrufila, choć nie wszyscy.

Spojrzeli na siebie. Oni, mimowolni towarzysze broni. Mężczyzna pomógł się podnieść krasnoludowi. W tym momencie podbiegł do nich lekko otyły, wyglądający na zarządcę Ivengrim, człowiek.

– Cóżeście uczynili?! – krzyczał. – Teraz przyjdzie ich więcej, będą chcieli pomścić upadek jednego ze swoich wodzów. Z pewnością już się o tym dowiedział.

– Z pewnością – odrzekł Torlof. – Do tego czasu nas już tu jednak nie będzie, a przynajmniej mnie, bo nie wiem, co zrobi Ugrufil.

– Pójdę z tobą. Polubiłem cię i chcę zobaczyć, jak to się wszystko skończy – zaśmiał się Ugrufil. – Poza tym, ja też mam na pieńku z mrocznymi elfami, a z tobą będę mógł zrealizować i swoje plany.

– Zatem chodźmy – rzekł z uśmiechem Torlof. – Zaraz wyleczę sobie rany, a w drodze z chęcią poznam twoją historię, przyjacielu.

Jednym ruchem dłoni zmaterializował kostur, drugim zregenerował sobie obrażenia ręki i zatamował krwawienie z boku.

– Ale najpierw chodźmy napić się piwa – rzucił ze śmiechem krasnolud.

Autor nieznany, *Krasnoludzkie pełne – raz!* (2020)

TORLOF

Maciej Lipa

Skrzydła zlepione krwią

Pierwszy śnieg leniwie topił się na jego skroni. Popadł w letarg. Dwie dekady po przewrocie Akaisawa chyliła się ku upadkowi. Utracił wszystko, co miał, tego, który nie pozwolił zdechnąć mu za młodu jak nędzny pies, oraz Smoczego Potomka, za którego przysiągł oddać życie.

– Shinobi, przebudź się. On czeka na ciebie. Odnajdź wieżę skąpaną w świetle księżyca, bądź ostrożny.

Zerwał się gwałtownie. Obok niego nie było żywego ducha, choć pewien był, że delikatny kobiecy głos szeptał mu do ucha. Otrzepał z siebie warstwę śniegu, która zdążyła okryć go jak miękki koc. Był zdezorientowany, nie pamiętał, jak znalazł się w tym miejscu. Musiała to być część ruin starego zamczyska. Przez szeroki otwór przedostawało się przyćmione światło. Z trudnością się podniósł. W pełni sił podjąłby się wspinaczki, lecz wycieńczony i przemarznięty mógł zapomnieć o jakichkolwiek akrobacjach, których nauczył się przez lata treningów. Kątem oka dostrzegł przejście, przez które zdołał się przecisnąć.

Wygaszone pochodnie na ścianach uspokoiły go. Od przynajmniej kilku godzin nikogo tu nie było, a on sam nie potrzebował wiele światła, by świetnie widzieć. Ciemność sprzyjała takim jak on, a zwłaszcza teraz, gdy zabrakło mu jego ostrza. Kodeks shinobi wyraźnie stwierdza, że utrata miecza, to jakby utrata duszy. Nie zaprzątał sobie tym teraz głowy, chciał wydostać się z tej przeklętej dziury. Bezskutecznie próbował odtworzyć wydarzenia, które doprowadziły go w to miejsce. Wiedział jedno – przysiągł chronić Arai, a nie miał pojęcia, gdzie teraz przebywa jego pan. Wraz z kolejnymi krokami ciasne przejście stawało się coraz jaśniejsze – zbliżał się do wyjścia. Jego oczom ukazały się ośnieżone mury, a pod nimi rozległa przepaść, której dno wypełniała woda, służąca jako rezerwuar dla zamkowego kompleksu Akaisawy. Zza murów unosił się siwy dym rozpalonych ognisk. Shinobi ostrożnie przedostał się na drugą stronę, idąc po wąskiej półce skalnej: przedsięwzięcie, które dla zwykłych ludzi oznaczałoby rychłą śmierć.

Musiał być teraz bardziej ostrożny. Dziedziniec roił się od straży. Uważnie rozpoznał swoje otoczenie. Gęsta trawa, która nie zdążyła jeszcze opaść na zimę, stała się jego jedynym sprzymierzeńcem. Szybkim przewrotem spod muru znalazł się w gąszczu, który osłaniał go przed niepożądanym wzrokiem. Przed nim, na wyciągnięcie ręki, stało trzech najemników.

– Ten shinobi który leży w studni, czemu nie kazano nam go zabić? Nawet go nie związaliśmy, nikogo to nie martwi? – rzekł jeden niepewnym tonem.

– Kogo to interesuje, był nieprzytomny. Teraz pewnie zamarzł na kość. Polej mi sake.

Shinobi poruszał się cicho jak mysz. Powoli zaczął przedzierać się przez zarośla, które rozciągały się aż po nieduży budynek na drugim końcu dziedzińca. Bezgłośnie przeszedł wśród traw, po czym wślizgnął się pod podłogę zaniedbanej wartowni wzniesionej na drewnianych palach. Od niebezpieczeństwa dzieliły go cienkie, uginające się pod ciężarem strażników deski podłogowe. Zamarł w bezruchu i zaczął nasłuchiwać.

– Żal mi trochę Smoczego Potomka. To tylko dzieciak, a oni zamknęli go w wieży.

– Jest potulny jak baranek. Znowu rozpalił lampę, pewnie czyta.

– Wydaje się bystry. Ciekawe, dlaczego generałowi Genichiro tak na nim zależy.

Shinobi przeczołgał się na drugi koniec budynku, przez szczeliny spróchniałego drewna prześwitywała skąpana w świetle księżycowej pełni spiczasta konstrukcja. Wydostał się spod wartowni. Wieża była na wyciągnięcie ręki, gdyby tylko mógł się ukazać i wyrżnąć wszystkich po kolei. Zaczął się wspinać po surowej grani, pozostając z dala od ludzkiego wzroku. Pokryte lodem ostre skały kaleczyły jego dłonie, które szybko pokryły się krwią. Był jednak coraz bliżej szczytu, na którym więziony był Smoczy Potomek. Shinobi podciągnął się na wystających z wieży belkach, kilka metrów nad nim znajdowało się otwarte okno. Dzięki kilku zwinnym ruchom znalazł się na górze.

Na rozłożonej macie siedział Arai, zaczytany w książce. Jego twarz przysłonięta była włosami, które nosił do ramion. Szybko zorientował się, że nie przebywał już w wieży sam.

– Motylu! Myślałem, że nigdy cię już nie zobaczę. – rzekł aksamitnym głosem Smoczy Potomek

– Wybacz mi, mój panie. Zawiodłem cię.

– Wyglądasz okropnie. Napij się tego. Emma przygotowała ten wywar specjalnie dla mnie, ale tobie przyda się bardziej.

Arai podał mu tykwę z płynem, którego ziołowy aromat natychmiast wypełnił całe pomieszczenie. Motyl wziął z niej dwa duże łyki, chwilę później cieknąca krew przybrała błękitną barwę, a jego rany samoistnie zaczęły się zamykać. Shinobi poczuł przypływ tak bardzo potrzebnych mu sił.

– Emma pracowała nad recepturą przez długi czas. Chodź za mną, wydaje mi się, że mam coś, co należy do ciebie.

Arai pobiegł na drugie piętro wieży. Na małym stoliku leżał starannie owinięty w czerwony jedwab podłużny przedmiot. Shinobi domyślał się, czym może być. Arai zbliżył się do stołu i ostrożnie zaczął odwijać tkaninę.

– Shinobi bez swojego ostrza jest jak bez ręki, a może nawet gorzej – rzekł Smoczy Potomek

– Bez wątpienia, mój panie.

Jego oczom ukazała się lśniąca klinga, zaraz potem wysadzana kamieniami rękojeść. Benihime, Karmazynowa Księżniczka, która ścięła już niejedną głowę, wróciła do prawowitego właściciela. Smukłe ostrze wykute przez najzdolniejszych rzemieślników Akaisawy, lekkie i wytrzymałe jednocześnie. Motyl schował ostrze do pochwy i przypiął ją do swojego boku. W końcu mógł na chwilę odetchnąć. Cieszył się, że Arai był w dobrej formie. Pomimo tego, że był więźniem generała Genichiro, traktowano go z dużym szacunkiem.

– Byłem przekonany, że pochłonęły cię płomienie. Tak jak wszystkich. – powiedział Arai.

– Było piekielnie gorąco. Przedostałem się do twojej komnaty, lecz ciebie już tam nie było. Gdy wybiegłem na zewnątrz, pamiętam tylko jedno. Ktoś uderzył mnie w tył głowy. Obudziłem się w dziurze, przykryty śniegiem.

– Obawiam się, że zostaliśmy sami. Powinniśmy się stąd wydostać. Shinobi, pamiętasz most przy którym bawiłem się, gdy byłem mały? Ten niedaleko rezerwuaru.

– Oczywiście, mój panie.

– Niedaleko niego skonstruowano przejście, o którym wie tylko garstka osób. Powinno nam się udać. Musisz tylko…

– Pozbyć się strażników, rozumiem – wtrącił shinobi.

– Zagwiżdż, gdy droga będzie wolna.

Motyl wziął jeszcze jeden łyk leczniczej mikstury i zwinnie przedostał się na dach wieży. Przyodziany w lekki, skórzany pancerz miał dużą swobodę ruchu i bez problemu poruszał się w miejscach trudno dostępnych dla innych. Skryty pod osłoną nocy bez większych kłopotów określił najkrótszą drogę do miejsca, które wskazał mu Arai. Ze szczytu widać było, że po drodze znajduje się jeden strażniczy posterunek. Nie czuł strachu. Teraz pewien był swoich możliwości, a obecność Smoczego Potomka rozbudziła w nim wolę działania. Dla takich momentów przez wiele lat przygotowywał go jego mistrz.

Shinobi rozpoznał teren i ruszył przed siebie. Bram wieży chronił tylko jeden, miernej postury, najemnik. Ogrzewał ręce przy palenisku przechylając co chwilę dzban pełen sake. Chwiał się z jednej strony na drugą, ledwo trzymając się na nogach, mamrocząc coś pod nosem. W mgnieniu oka strażnik leżał już przebity mieczem, a dłoń Motyla sprawnie uniemożliwiła mu

krzyk. Oparł ciało o ścianę, a tuż obok postawił dzban. Strażnik zapadł w wieczny sen. Motyl wyciągnął drewnianą belkę, która blokowała od zewnątrz drzwi, teraz Arai swobodnie mógł je otworzyć. Motyl powoli szedł w dół po kamiennych stopniach, nie tracił czasu nawet na otarcie swego ostrza z krwi. Wiedział, że zaraz znowu będzie musiał zabić. Pozostawiał za sobą czerwone ślady, jakby chciał przekazać wiadomość, że tędy właśnie szedł. Posuwał się w głąb kompleksu zamkowego, zbliżał się do kolejnego dziedzińca. Ten otoczony był wysokim murem, który uniemożliwiał wspinaczkę. Z oddali słychać było co najmniej trzy różne głosy. Ostrożnie wychylił się zza ściany, w oku mignęło mu dwóch ciężko uzbrojonych we włócznie osiłków. Był przekonany, że gdzieś jest i trzeci, ten jednak musiał być poza polem jego widzenia. Nie miał wyboru. Wziął głęboki wdech i stanął na środku przejścia. W prawej dłoni pewnie trzymał miecz. Jeden ze strażników podniósł się.

– Co tu robisz, nędzny psie? Już dawno miały cię rozszarpać kruki.

– Nażarły się waszym kolegą.

– Zabijemy cię, bezużyteczna sieroto. A zaraz potem dzieciaka.

W oczach Motyla błysnęła wściekłość. Przypomniał sobie o czasach, kiedy żebrał na ulicy o miskę ryżu. O wszystkich momentach, kiedy pomiatano nim jak szmacianą lalką. W samotności pielęgnował gniew. Nauczył się jednak gniew zamieniać w siłę nie do zatrzymania.

Dwóch ludzi uzbrojonych w długie glewie ruszyło w jego stronę. Nie ruszył się z miejsca. Cierpliwie czekał. Wiedział, że w przypadku takich starć wystarczyło tylko czekać na błąd przeciwnika. Jego ostrze nie było zresztą wystarczająco długie, by ich dosięgnąć. W jego stronę zaczęły docierać pierwsze pchnięcia. Były zbyt wolne, by ugodzić jego smukła sylwetkę. Uniknął ich wykonując szybki piruet, który pozwolił mu na postawienie kroku w przód. Szybkim cięciem podciął ścięgna u nogi jednego z napastników, wytrącając go z równowagi. W tym samym momencie schylił się, a kilka centymetrów nad jego głową mignęło drugie ostrze. Zraniony strażnik nie mógł wstać. W mgnieniu oka Motyl stał już za jego plecami, a Benihime wgryzła się w odsłonięty kawałek szyi. Krew trysnęła obficie na zbroję drugiego strażnika, w którym powoli rodziła się panika. Pod wpływem strachu jego ręce zaczęły się trząść. Niedokładne pchnięcie glewią: zbyt nisko, przy ziemi. Shinobi natychmiast wykorzystał to, stąpając na długą rękojeść. Odbił się od niej i powalił wojownika na ziemię. Strażnik wił się jak węgorz wyciągnięty z wody, pełny przerażenia.

– Litości! – krzyknął żałośnie.

Dla takich jednak Motyl nie miał litości. Przebite serce przestało bić, a wokół zapadła głucha cisza.

Był jednak pewien, że było ich trzech. Tuż za sobą, w pobliskich zaroślach usłyszał szelest. Stanął w bezruchu, starając się namierzyć skąd dochodzi dźwięk. Ponownie dobył ostrza i cisnął je nagle i pewnie w krzaki. Wydobył się stamtąd cichy jęk. Shinobi wyciągnął swój miecz z kolejnego trupa i ruszył naprzód. Gałęzie na pobliskich drzewach coraz bardziej uginały się pod ciężarem czarnego ptactwa.

Most, o którym mówił mu Arai, był już bardzo blisko. Wielopoziomowy, skonstruowany wiele lat temu po to, aby konserwatorzy mogli dbać o rezerwuar zamczyska. Zbiornik zasilany przez pobliskie górskie potoki nie wymagał zbyt dużo uwagi. W czasach niepokoju i wszechobecnego chaosu nie było zresztą komu tego nadzorować. Wojska generała Genichiro zjawiły się tu tylko w jednym celu – porwać Smoczego Potomka. Z jakiegoś powodu nie interesował ich los tych ziem, choć były bardzo bogate. Akaisawa była niegdyś centrum, które przyciągało najzdolniejszych alchemików i naukowców. Przełomowi wynalazcy zawsze mogli odnaleźć tu wsparcie i miejsce dla swoich eksperymentów. Te czasy już jednak przeminęły. Most był pozostawiony bez straży, prowadził w końcu z pozoru tylko do zbiornika wodnego. Motyl przeszedł na jego drugą stronę, upewniając się, że wokół jest bezpiecznie. Zagwizdał z całych sił, dźwięk rozniósł się szerokim echem. Chwilę później u jego boku stał Arai. Wspólnym wysiłkiem odsłonili kamienną płytę, za którą ukryte było przejście. Wnętrze tunelu obrośnięte było porostami. Wysoka wilgotność sprawiała, że skały były śliskie, a powietrze sprawiało wrażenie wyjątkowo ciężkiego. Świetnie widzący w ciemności Motyl prowadził za rękę Smoczego Potomka.

– Powinniśmy ruszyć na północ. W Mudanhai będziesz bezpieczny, panie – powiedział Motyl.

– Genichiro nie spocznie, póki nie zdobędzie mojej krwi. Jestem ostatnim elementem jego układanki.

– Przysiągłem chronić cię, choćbym zapłacił za to życiem.

– Nawet dziesięciu shinobi nie będzie w stanie go zatrzymać, jeśli zwęszy miejsce mojego pobytu.

Smoczy Potomek miał rację. Najbardziej przerażający człowiek to ten, który nie ma nic do stracenia. Generał Genichiro ostatkami swoich sił najechał na pogrążoną w kryzysie Akaisawę z nadzieją na to, że wykorzysta boskiego pochodzenia Arai. Według przekazów starożytnych legend jego krew była najpotężniejszym narzędziem wojny w całym królestwie. Jedna jej kropla zdołałaby wskrzesić armię tysięcy zagubionych dusz. Nikt nie był przygotowany na zatrzymanie takiej siły.

Zbliżali się do końca ukrytego przejścia. Wydrążony tunel przeprowadził ich na drugą stronę pasma górskiego.

Ich oczom ukazała się rozległa polana. Delikatny wiatr kołysał wysoką po kolana trawą, niby fale na oceanie. W oddali unosił się dym wciąż dopalających się konstrukcji. Droga do odizolowanego Mudanhai prowadziła przez dolinę rzeki Yoshino. Niegdyś dość często uczęszczany szlak handlowy, teraz zawalony był spróchniałym drewnem i zarośnięty. Co jakiś czas dawała o sobie znać wataha wilków, która koncertowała podczas pełni księżyca. Dwójka samotnych podróżników wzbudziła na opuszczonym szlaku duże zamieszanie.

– Zatrzymajmy się tu na noc. Wyruszymy stąd o świcie. Musisz być zmęczony – powiedział Motyl.

– Padam z nóg.

Noc nie była najmroźniejsza, choć z pewnością dało się w kościach odczuć chłód. Motyl zebrał kilka większych gałęzi, by rozpalić ogień.

– Jesteś pewien, że ognisko nie zdradzi naszej pozycji? – zapytał Arai.

– Pamiętasz technikę, którą pokazywał ci Wielki Mistrz? Ani jeden kłąb dymu nie uniesie się ponad koronę drzew.

Motyl wykopał w ziemi płytkie zagłębienie, które obłożył głazami. Starannie ułożył suchą podpałkę, która zajęła się po pierwszym uderzeniu krzesiwa. Stopniowo dołożył drewna, pilnując, aby płomień nie wymknął się spod kontroli. Niegroźny był im chłód i żaden wilk.

Skoro świt wyruszyli w dalszą podróż. Od Mudanhai dzielił ich tylko jeden dzień marszu. W miarę, jak posuwali się w głąb szlaku, gęsty las powoli przestawał jednak przypominać coś, co kiedykolwiek widziały ludzkie oczy. Tabliczka mówiąca „Zawróć, idzie śmierć" nie mogła być dobrym znakiem. Wyglądała na świeżo wymalowaną. Zielone wcześniej świerki i sosny zastępowały ogołocone pnie pokryte klejącą mazią.

– Boję się. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, nawet w książkach – rzekł Arai.

– Lasy czasem chorują, po to aby zachować balans w naturze, choć faktycznie, nie przypomina to niczego, co wcześniej widziałem. Tak czy siak, nie mamy wyboru. Musimy iść naprzód.

Z godziny na godzinę las stawał się coraz bardziej opustoszały. Dzięki temu pierwsze zabudowy Mudanhai stały się widoczne. Wykute w litej skale miasto stanowiło fortecę nie do zdobycia, przygotowaną w każdej chwili na długie okresy oblężeń. Przedmieścia wydawały się opustoszałe. Z żadnych kominów nie unosił się dym, nie spotkali po drodze ani jednej żywej duszy.

Im bliżej Mudanhai, tym bardziej przerażająca była pustka. Co kilkaset kroków Motyl i Arai mijali kolejne gnijące truchło. Nie byli w stanie stwierdzić, czy był to człowiek czy zwierzę. Ciała pokryte były śmierdzącym śluzem, a szkielety zdeformowane.

– To nie wygląda na dzieło ludzkie – rzekł Smoczy Potomek.

– Miej oczy dookoła głowy – odpowiedział Motyl.

Nie dawał tego po sobie poznać, lecz zaczął odczuwać niepokój. Ich schronienie mogło okazać się miejscem niebezpiecznym dla Smoczego Potomka. Ciemny w środku dom nagle zaczął delikatnie rozświetlać się na czerwono. Z okna patrzyła na nich para rubinowych ślepi. Motyl dobył ostrza.

– Arai, trzymaj się za mną.

Drzwi domu wyleciały z ogromną siłą. W ich stronę ruszyła nieokreślonego kształtu kreatura, której oczy świeciły niczym piekielne ognie. Reszta ciała miała kolor najciemniejszej nocy. Stwór unosił się nad ziemią, targany silnym wiatrem. Motyl odepchnął od siebie Arai i gwałtownym sztychem przeszył stwora na wylot. Kreatura wydobyła z siebie wysoki, okropny dla uszu krzyk, lecz nie wydawała się zbyt przejęta raną, która momentalnie się zrosła. Głośny wisk przebudził dziesiątki jej podobnych, które zaczęły wypełzać z ziemi. Motyl wykonał kolejne cięcie: pozbawił stwora oczu. Nieoczekiwanie ten natychmiast zniknął, a na ziemie upadły momentalnie dwa czerwone kamienie. W podobny sposób shinobi uporał się z kolejnymi, lecz ich zastępy stale rosły. Otoczeni przez setki unoszących się zjaw byli w pułapce.

– Rzuć mi swój miecz! – wykrzyczał Arai.

– Z całym szacunkiem, panie, nie byłeś szkolony po to, by walczyć.

– Zaufaj mi!

Motyl rzucił Smoczemu Potomkowi Benihime. Arai wziął głęboki wdech i wbił ostrze we własne ciało. Jego dusza z ogromną mocą poszybowała ku górze, by chwilę później wrócić na ziemię. Tuż za nią pojawiły się znikąd tysiące błyskawic, które kolejno uderzały w tłumnie zbierające się nad nimi obrzydliwe kreatury. Motyla i Arai zasypywało coraz więcej czerwonych kamieni, a błyskawice z hukiem waliły w ziemię.

Wkrótce zapadła cisza, a Motyl wygrzebał spod kamieni ciało Smoczego Potomka. Łza spływająca po jego policzku spadła na ranę, którą pozostawiło ostrze. Nad ciałem zebrała się substancja przypominająca dym, która wniknęła w ciało Arai. Smoczy Potomek zaczął oddychać.

– To nie czas, żebym umierał. Nie wiesz o mnie jeszcze wielu rzeczy, Motylu.

Utagawa Kuniyoshi, 相馬の古内裏 (ok. 1844)

Utagawa Kuniyoshi, 平知盛の幽霊と溺死した錨、そして戦死した兵士の顔をしたヘイケガニ(1851)

Wiktoria Łukaszewicz

Gdańscy piraci

Szelest leniwie powiewających na masztach żagli przeplata się z gwarem kupców i handlarzy, rozbrzmiewającym między rdzawymi kamienicami, na fasadach których osadzają się pierwsze promienie słońca. W powietrzu unosi się słony zapach morskiej wody, przemieszany z niezbyt przyjemną wonią surowych ryb. Kilka godzin wcześniej przystań, jeszcze skostniała od nocnego chłodu burzy morskiej, była ostoją dla mew, które teraz powoli wzbijają się ku niebu, wyprowadzając pierwsze statki na głęboką toń.

Pod jedną z kruszejących, popielatych fasad stoi postać odziana w skórzane spodnie, ciemną kamizelkę podszytą aksamitem i przyozdobiony plecionką dublet. Twarz skrywa w cieniu dużego, kasztanowego kapelusza, spod którego wyłaniają się połyskujące złote kolczyki.

Schyla się i przemykając między przechodniami skręca w obskurną alejkę, by po cichu zakraść się do tylnego wejścia prowadzącego prosto do Wściekłej Węgorzycy.

Choćby dopiero pierwsze dzwony wybijały wczesne poranne godziny, tawerna nieustannie wypełniona jest nadmorskim półświatkiem, począwszy od kupców obracających nielegalnym towarem, przez marynarzy-degeneratów, po najgorszych rzezimieszków i rozbójników.

Postać zasiada przy barze i nie zdejmując kapelusza prosi o oliwską gorzałkę. Karczmarz łypie na nią spode łba, przecierając kieliszki.

— Z kim mam przyjemność? — pyta, polewając. — Wolę zapamiętać, kogo obsługuję, panie…

— Rozalia. Rozalia Karc.

Dłoń karczmarza zastyga w powietrzu. Z jego płuc wydobywa się powolny świst.

— Wiele o tobie słyszałem. Podobno szukasz załogi — mówi, przesuwając w jej stronę kieliszek, który kobieta opróżnia jednym haustem.

— Wobec tego słyszałeś pewnie, w jakim celu jej poszukuję — odpowiada, ściągając kapelusz. Jej oczy świdrują go spojrzeniem, mieniąc się w blasku świec niczym bursztyny zatopione w kolii.

— Nie godzę się na to. Nie zabierzesz mi chłopców na Wyspy.

Rozalia uśmiecha się, nabijając tytoniem fajkę.

— Zapewne zaznajomiony jesteś z legendami. Skarby, złoto leżące na wybrzeżu, diabelskie głazy, na których harcują wiedźmy i syreny…

— A jeszcze dalej mroczne elfy i trolle! — mówi karczmarz, uderzając pięścią w ladę. — Tak, słyszałem, o czym opowiadasz. Im dalej w morze, tym gorsze widma i zmory. Wielu łasi się na takie skarbnice, ale ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Rozalia przekrzywia głowę, nie wydając się być speszoną jego słowami.

— Zbyt wielu ich straciliśmy, zbyt wielu młodych braci, którzy mogli się jeszcze wykazać. — Po tych słowach karczmarz wpycha jej w dłonie do połowy opróżnioną flaszkę i odwraca się, dodając — Wynoś się stąd. Szukaj sobie załogi w porcie, na okrawkach, gdzie chcesz, ale nie w mojej karczmie. Tutaj wolimy obdzierać ze złota cudzoziemców i ich floty, a nie poszukiwać go na wyspach, z których nie ma powrotu.

Rozalia wkłada kapelusz na głowę i opuszcza lokal bez słowa, kierując się w stronę przystani.

Przechodząc między staruszkami oferującymi śledzie leżące na turkoczących wózkach, a marynarzami szykującymi się do wejścia na pokłady okrętów, zauważa młodą kobietę w długiej, bordowej sukni i jasnej koszuli z bufiastymi rękawami. Rozgląda się ona dookoła, biegając od jednego statku do drugiego, żywiołowo dyskutując z żeglarzami wykładającymi towary na brzeg.

— … proszę, tylko do portu w Gotlandii, zapłacę wam po zejściu na ląd!

Rozalia wchodzi na pomost i opiera się o beczki z winem, w dalszym ciągu nie spuszczając wzroku z kobiety. Wreszcie ich spojrzenia się spotykają, a nieznajoma wytrzeszcza oczy, powoli kierując kroki w kierunku Rozalii.

— Dlaczego mi się przyglądasz? — pyta, krzyżując ramiona na piersi. Jej długie jasne włosy wdzięcznie falują na wietrze, dodając jej młodzieńczego uroku.

Rozalia wreszcie zapala wcześniej nabitą fajkę i wypuszcza w jej stronę obłoczki dymu.

— Znam cię — odpowiada. — Anna Maria Złotoszabla, powszechniej znana jako Kurt Złotoszably.

— Ann-Marie Gyldensabel, jeśli łaska.

— Tak tak. — Rozalia macha z niecierpliwieniem ręką. — Aż dziwne, że jeszcze nie wyparłaś się swoich szwedzkich korzeni. Przecież jesteś kaprem! Na naszej rodzimej służbie u…

— Nie — przerywa jej Ann-Marie. — Nie mówmy o tym. Lepiej ty się przedstaw.

— Och, moje imię nie odgrywa tu większej roli. Bardziej powinnaś być zainteresowana tym, co mam ci do zaoferowania.

Rozalia siada na krawędzi pomostu i gestem zachęca Ann-Marie do zrobienia tego samego. Ta wywraca oczami, ale dołącza do niej, podciągając suknię, aby nie zamoczyć jej w wodzie.

— Dlaczego w ogóle się do mnie zwróciłaś? — pyta. — W końcu piraci pałają żywą nienawiścią do kaprów.

— Po prostu dla mnie robota pod jakąkolwiek inną banderą niż moja własna, a już szczególnie pod taką, co należy do króla, jest zwykłym skorumpowanym plugastwem.

— Postaram się tego nie odebrać osobiście — mruczy Ann-Marie. — W takim razie zamieniam się w słuch. Chociaż nie sądzę, aby taki obszarpaniec jak ty miał mi coś do zaoferowania.

— Okręt na przykład?

Ann-Marie ponownie czuje przypływ energii, a z jej piersi wydobywa się drżące westchnienie.

— Naprawdę? Posiadasz własny? — pyta z lekkim niedowierzaniem w głosie, ale w środku rozpiera ją ekscytacja.

— Oczywiście, i to pod moimi wyłącznie rozkazami — Rozalia wysuwa rękę z kieszeni, pokazując sygnety wysadzane rubinami. — Myślisz, że byle jakiego majtka byłoby na to stać?

Ann-Marie chwyta jej dłoń i mocno ją ściska, uśmiechając się szeroko.

— Dziękuję, dziękuję ci z całego serca, nawet nie wiesz, jak się…

Dopiero teraz zauważa spojrzenie Rozalii, która wykrzywia usta w czymś, co można uznać za wyrachowany uśmiech.

— Racja. — Ann-Marie chwyta rąbek spódnicy i nerwowo go skubie. — Chcesz czegoś w zamian, prawda? Nie mam ci nic do zaoferowania, przykro mi.

Zaczyna się podnosić, ale Rozalia chwyta ją za rękę i przytrzymuje w miejscu.

— Teraz to ja zadam ci parę pytań, więc siadaj.

Anna-Marie milczy przez chwilę. Rozalia nie ponagla jej, ale nie może pozbyć się poczucia narastającego lęku.

— Nie musisz mówić więcej, niż potrzebuję. Przysięgam. Chcę tobie pomóc tak bardzo, jak ty będziesz chciała pomóc mnie — mówi szybko, wiedząc, że to ostatnia szansa na zatrzymanie rozmówczyni. — Proszę.

Ann-Marie wzdycha, ale ponownie siada obok niej, zanurzając nogi w wodzie. Rozalia wyciąga z kieszeni pomiętą, zabrudzoną mapę, która musiała już przejść przez tysiące innych, lepkich od trunków, paluchów piratów.

— Spójrz. — Rozciąga ją na kolanach. — Z łatwością mogę cię odstawić do domu. Pod jednym warunkiem.

— Jakim?

Rozalia spogląda na nią i szczerzy zęby w uśmiechu.

— Posiadasz załogę i olbrzymią ilość map, kochana. Jako jedna z królewskich kaprów, masz dostęp do niezawodnych informacji, które będą mi niezbędne do osiągnięcia celu.

— A jest nim?

— Skarb na Wyspach Faroe.

Ann-Marie spogląda na nią z ukosa.

— Chyba nie sądzisz, że on istnieje?

— Ja to wiem — odpowiada Rozalia, chowając mapę z powrotem do kieszeni dubletu. — Zastanawia mnie tylko jedna rzecz, a mianowicie, gdzie się podział twój zjawiskowy galeon?

Widzi, że pytanie boleśnie ją uderza. Oczy Ann-Marie ciemnieją, a usta zaciskają się w pionową linię.

— Moja flota już dawno się rozpadła — cedzi. — Już nie służę pysznym władcom i ich bałamutnym podwładnym. Obnażyli mnie. Pewnej nocy jeden z bosmanów tak się schlał, że wpadł do mojej kajuty i ujrzał mnie bez koszuli, kiedy akurat zdejmowałam chustę z piersi. Oczywiście rozszczekał wszystkim, a wieść ta dotarła aż do samych uszu króla. Kara została mi darowana za porządne lata służby, ale pozbawiono mnie floty i własnego okrętu.

Rozalia milczy, próbując znaleźć należyte słowa otuchy. Twarz Ann-Marie łagodnieje, gdy widzi, jak kobieta boryka się z odpowiedzią.

— Zastanawiam się, skąd ty wiedziałaś, że ja to Kurt — mówi.

Rozalia śmieje się, spoglądając na nią.

— Półświatek od dawna wiedział, że ten młody, o delikatnej urodzie kaper to tak naprawdę kobieta. Fakt faktem, że umiejętność kamuflażu opanowałaś perfekcyjnie.

— Najwyraźniej nie tak perfekcyjnie, jakbym chciała — wzdycha Ann-Marie. — Wiem, że u was to tak nie działa. Możecie służyć u boku mężczyzn, a nawet się z nimi równać.

— A nawet ich przewyższać — dodaje piratka, wyciągając w jej kierunku rękę. — Rozalia Karc, kapitan Płaczącej Wilczycy.

Ann-Marie podskakuje w miejscu, prawie ześlizgując się z pomostu.

— Nie wierzę, że z tobą rozmawiam! — mówi, ściskając mocno jej dłoń. — Kiedyś pewnie próbowałabym wpakować kulkę w twoją piracką banię, ale teraz nawet nie wyobrażasz sobie, jaki to dla mnie zaszczyt.

— Jak już wspomniałam wcześniej, uczucie to jest raczej nieodwzajemnione — wtrąca Rozalia, klepiąc ją po ramieniu. — A teraz do rzeczy.

Ann-Marie przysuwa się bliżej, próbując wychwycić wszystkie szeptane słowa zagłuszane przez nadmorski szkwał. Rozalia wpatruje się w nią przez chwilę, zastanawiając się, czy może jej

zaufać. Naturalnie nigdy by się do tego nie posunęła, ale miesiące żmudnej kwerendy nie zadowoliły jej. Żaden kupiec ani wilk morski napotkany na jej drodze nie posiadał wskazówek, dzięki którym można byłoby dostać się na Wyspy.

— Potrzebuję map — mówi cicho, rozglądając się nerwowo dookoła. — A dokładniej, mapy szlaku na Faroe.

— Nie wiem, czy tutaj taką posiadam — zastanawia się Ann-Marie. — Na pewno nie mam jej ze sobą, ale bardzo możliwe, że odnalazłaby się w moich zbiorach na Gotlandii. Co jak co, ale są dosyć pokaźne.

— A jak wygląda sytuacja z załogą? Mam paru ludzi czekających na pokładzie na redzie, ale to za mało, aby wyruszyć.

— Paru kamratów się ostało. Tych, którzy w dalszym ciągu pozostali mi wierni. Mogę ich zwołać.

— W takim razie nie ma chwili do stracenia.

Rozalia zrywa się na nogi i nakłada kapelusz, a Ann-Marie chwyta za dłoń, pomagając jej wstać.

— Czyli mustruję się na twój statek, tak? — pyta Ann-Marie, otrzepując suknię z kurzu. Rozalia ponownie nabija fajkę tytoniem i uśmiecha się pod nosem.

— Mądry kapitan dotrzymuje towarzystwa tylko swemu śmierdzącemu bosmanowi i urodnemu korsarzowi — odpowiada jej.

*

Wypłynęli pod osłoną nocy, kiedy morze było łagodnie wzburzone. Fale wstrzemięźliwie obmywały burtę Płaczącej Wilczycy, jakby trwożąc się na samą myśl o tym, że mogłyby jej się narazić.

Rozalia stoi w milczeniu przy sterze. Wie, że ta matczyna pobłażliwość morza nie potrwa długo; gdy tylko skierują kurs na Faroe, wiatr stanie się ich przewodnikiem, ale i największym nieprzyjacielem, a głęboki, acz kojący, szum fal przemieni się w lament. Mija już kilkanaście godzin względnie spokojnego rejsu. Rozalia przez cały ten czas zastanawiała się, czy powinna porozmawiać z Ann-Marie, ale ta pewnie smacznie śpi w kajucie.

— Kapitanie? — słyszy z dołu głos Janka, młodego majtka, którego przyjęła na pokład tylko dlatego, że miała u jego matki dług wdzięczności. — Powoli zbliżamy się do Gotlandii. Może kapitana zmienić? Czy mam kogoś zawołać?

— Nie — odpowiada, zaciskając mocniej na sterze czerwieniejące z zimna knykcie. — Ale zawołaj Ann-Marie — dodaje. — Chcę jej coś pokazać.

*

Obie otulają się szczelniej dubletami i prostują kołnierze, chroniąc karki od wiatru. Rozalia zauważa, że Ann-Marie wygląda zupełnie inaczej niż wtedy, gdy wypływały z portu. Włosy upięła w niedbały kok, a suknię zamieniła na wygodniejsze bryczesy. Także w jej spojrzeniu jest coś niepokojącego, bardziej zaciętego.

— Tęskniłam za tym — mówi, zauważając lustrujące spojrzenie Rozalii. — Ile bym oddała, aby ponownie stanąć za sterem i poczuć opływający mnie wiatr.

— Dlaczego nie znalazłaś innej roboty? W ojczyźnie świetnie sprawiłabyś się w roli skalda — śmieje się Rozalia. Ann-Marie uśmiecha się pobłażliwie.

— Wiesz dobrze, że skaldowie już nie istnieją. Teraz poezję się spisuje.

— Och, nie wiedziałam, że jesteście aż tak do przodu.

Ann-Marie wywraca oczami, podchodząc bliżej. Rozalia spogląda na nią kątem oka, po raz pierwszy dostrzegając pomniejsze piegi na jej nosie. Brwi ma równie jasne co włosy, nieokrzesane, dodające surowości jej delikatnej twarzy. Jak to możliwe, że taka piękna i delikatna kobieta dowodziła niegdyś najsilniejszą jednostką na morzu, prowadząc zaciekłe wojny?

Rozalia nikomu nie ufa na tyle, by oddać Wilczycę, a już szczególnie osobie, która w innych okolicznościach z wielką chęcią pozbawiłaby ją życia. Swoją drogą Ann-Marie przedstawia się zupełnie inaczej, niż przypuszczała.

— Rozalio…

— Tak?

— Zawołałaś mnie po coś.

— Ach tak — zbita z pantałyku próbuje uzbierać odpowiednie słowa. — Słuchaj, dobrze wiemy, że nasz rodzaj porozumienia obejmuje mnie wyrzucającą cię na brzegu, a ciebie przekazującą mi mapy. Nic więcej.

— Czarująco to ujęłaś, ale tak. Do czego zmierzasz?

Rozalia wyjmuje z kieszeni małą, oprawioną w ciemną skórę książkę. Na okładce widnieje przetarta pieczęć, z której nic nie da się wyczytać.

— To średniowieczny bestiariusz — wyjaśnia Rozalia, zauważając jej pytający wzrok. — Znalazłam go kiedyś, grabiąc śródziemnomorski okręt. Podobno waszą wyspę zamieszkują trolle, chowając się między wyrwami nadmorskich klifów.

Rozalia przekartkowuje książkę, natrafiając na rycinę przedstawiającą smukłe, odziane w ciemne szaty postacie.

— A to są mroczne elfy. To właśnie spotkania z nimi najbardziej boję się na Faroe. Podobno są kurewsko silne i inteligentne. O, a spójrz tutaj — wskazuje palcem na ogromną bestię przypominającą hybrydę kraba i ośmiornicy. — To właśnie kraken strzeże skarbów, które zamierzam odnaleźć.

Ann-Marie przez ten cały czas nie wypowiada ani jednego słowa. W końcu spogląda na stężałą z powagi twarz Rozalii i wybucha śmiechem. Rozalia marszczy brwi.

— Nie wierzysz mi — stwierdza, zamykając książkę i ponownie wbijając wzrok w rozgwieżdżony horyzont. Ann-Marie splata dłonie na brzuchu i opiera się o drewnianą balustradę.

— Nie sądziłam, że ktoś taki jak ty wierzy w wymysły nudzących się marynarzy. Rozalio, naprawdę?

Rozalia zaciska zęby i cedzi:

— Dla ciebie: „Kapitanie Karc".

Ann-Marie otwiera usta, by coś powiedzieć, gdy nagle do ich uszu dobiega wdzięczna melodia, jakby wyłaniająca się z otwartego morza.

Rozalia spogląda w niebo i dostrzega gromadzące się na nim pierwsze popielate chmury. Wiatr przybiera na sile, smagając twarze ostrymi kroplami, kolebiąc okrętem z boku na bok, wprawiając w ruch coraz to cięższe elementy takielunku.

— Co się dzieje? — pyta Ann-Marie, przykładając dłoń do czoła i próbując uchwycić wzrokiem cokolwiek, co może znajdować się na horyzoncie. — Skąd ta nagła zmiana pogody?

Rozalia zaciska usta, puszczając ster, i powolnymi krokami zbliża ku dziobowi okrętu. Z największą ostrożnością wyciąga zza pazuchy pistolet i chowa się za nim, pochylając się, aby zerknąć co znajduje się pod nimi.

Fale narastają, uderzając głucho o kadłub, a woda w oddali robi się niespokojna, tak jakby coś zbierało się pod jej powierzchnią. Rozalia zaciska palce na broni, próbując opanować przyspieszający oddech. Ann-Marie chwyta ją za ramię.

— Możesz mi to wyjaśnić? — pyta, a w jej głosie słychać oskarżycielski ton. — Jeszcze nigdy, przez tyle lat swojej kariery, nie widziałam czegoś takiego.

Rozalia spogląda na nią, a Ann-Marie dostrzega w jej oczach strach.

— Zaraz sama się przekonasz — mówi cicho. Wtem zrywa się na nogi i zbiega na pokład, gdzie jej ludzie jeszcze nie zdają sobie sprawy z zagrożenia.

— Przygotować szalupę! — krzyczy, wciskając broń za pazuchę. — Potrzebuję trzech śmiałków, którzy staną oko w oko z prawdziwymi morskimi stworami.

Ann-Marie zbiega za nią i szarpie ją za rękę.

— Zwariowałaś?! Chcesz narazić niewinnych członków załogi?

Rozalia wyrywa się z jej uścisku, chwytając linę przymocowaną do niewielkiej łódki.

— Ty, ty i ty! — Wskazuje palcem na Janka oraz dwóch majtków z załogi Ann-Marie. — Do szalupy, już. Macie popłynąć przed statek.

Burza narasta, a pierwsze błyskawice przeszywają niebo. Ann-Marie wzdryga się, czując, jak jej okrycie robi się coraz cięższe od deszczu. Nawet nie chce myśleć, co czują marynarze, większość z nich wykonująca swoje obowiązki w luźnych, lnianych koszulach.

— Ale k-kapitanie — duka Janek. — My nawet n-nie wiemy, co tam jest!

— On ma rację — mówi Ann-Marie, stając przed nim i zmuszając Rozalię do spojrzenia na nią. — Wystawiasz ich na niebezpieczeństwo, nie chcąc nawet zdradzić, z czym będą musieli się zmierzyć! To nieludzkie!

Rozalia podchodzi do niej i spycha ją z drogi.

— Gdyby wiedzieli, wywołaliby bunt — cedzi, szarpiąc innego mężczyznę za koszulę i kierując go w stronę szalupy.

— Proszę, kapitanie! — Słyszy cichy głos Janka. — Co tam jest?

Rozalia oddycha ciężko, patrząc na ich przerażone, sine z zimna twarze. Ponownie wychwytuje z powietrza słodki, perlisty dźwięk, tak czysty, jakby przemykał między odgłosami burzy, chcąc wyprowadzić ich okręt prosto na niezmąconą taflę morza.

— Co to? Słyszeliście to? — zaczynają szeptać między sobą marynarze.

— To syreny.

Rozalia odwraca się w stronę Ann-Marie, która ściska w dłoni jej bestiariusz.

— „Ich twarze okrągłe, pełne wigoru, o zębach równo ułożonych. Włosy długie i śliskie, a dłonie nie różniące się niczym od naszych, prócz ostro zakończonych szponów" — czyta, krążąc po pokładzie. — „Ludzka sylwetka zanika przy biodrach, łuski pokrywają ostatnie fragmenty ciała, przechodząc w gruby, rybi ogon długości prawie trzech stóp. Głos ich miesza w zmysłach, wysoki i przenikliwy. Żaden marynarz nie jest w stanie się im oprzeć".

Ann-Marie unosi wzrok znad książki i zatrzaskuje ją.

— Chcesz ich tam wysłać? Wiedząc, że nie mają szans na powrót?

— Kapitanie — odzywa się jeden z marynarzy. — Ich śpiew nie działa na kobiety.

Rozalia wpatruje się w nich, nie wypowiadając ani jednego słowa. Wreszcie podchodzi do jednej z beczek i wyciąga z niej pistolety, które wsuwa do kabury u spodni. Ann-Marie zauważa błysk szabli, gdy Rozalia przywdziewa dublet.

— A kaper Gyldensabel? — rozlega się głos Janka. — Dlaczego ona nie może wypłynąć?

— Nie!

Wszystkie głowy odwracają się w stronę Rozalii, która wchodzi do szalupy. Ta, nie patrząc na Ann-Marie, mówi:

— Ona nie poradziłaby sobie z nimi. Zresztą, jak ma je zobaczyć, skoro w nie nie wierzy.

Rozalia uśmiecha się.

— Dalej — mówi, odbezpieczając pistolety. — Zaraz zbierze się tu cała ławica, jeśli się nie pospieszymy. Może uda mi się je opóźnić.

*

Rozalia powoli oddala się od okrętu, zostawiając w tyle oko cyklonu. Jakkolwiek upiorna burza i deszcz nie uspokajają się, tutaj wiatr ucichł, wprawiając wodę w spokojne, senne usposobienie. Błyszczące oko księżyca odbija się wdzięcznie na tafli, a w jego świetle udaje się dostrzec niewyczuwalne dla łodzi drgania, tak jakby coś się skrywało pod powierzchnią, czekając na odpowiedni moment, by się ujawnić.

Ponownie słyszy zawodzenie, tym razem jednak wyraźniejsze, bliższe niż kiedykolwiek. Pieśń jest czarująca, lecz słowa utkane są z żalu i rozpaczy, a melodia muska najgłębsze odmęty duszy.

Pewnego dnia o brzasku, poczułam fali dreszcz
U brzegu przy przystani, marynarz mój tam jest.

Rozalia kładzie dłoń na kaburze, rozglądając się dookoła. Wydaje je się, że jednym uchem wyłapuje cichy plusk, tuż przy rufie.

Dysputę z nią prowadzę, toż to cierpi, klnąc na los...

Rozalia rzuca się na drugi koniec szalupy, z przerażeniem obserwując, jak na samej krawędzi opiera się piękna istota o długich, oplatających jej nagie ramiona białych włosach. Jej blade palce

zakończone są długimi paznokciami, a złociste oczy lśnią na tle gładkiej, wilgotnej skóry. Rozalia przez ułamek sekundy czuje w powietrzu woń morskich odmętów, szlamu zmieszanego z fetorem ryb, który po chwili zostaje zastąpiony świeżą bryzą i rześkim zapachem soli.

Syrena uśmiecha się do niej, ukazując jasne, proste zęby. Rozalia zaciska powieki, ale to już nie wydaje się być wystarczające. Gdy je otwiera, istota jest bliżej, tuż przy niej, podbródek opiera na dłoni, a z jej piersi wydobywa się pieśń.

Mówi: luba ma, trwoga mnie żre, to będzie dla mnie cios.

Rozalia nabiera powietrza do płuc i nawet nie zauważając, że nie trzyma ręki na kaburze, powoli przesuwa się w stronę krawędzi łodzi.

Kosmyki poskręcane, jej oczy lśnią jak miód,
Niech szczęście z nią podąża, przez wodę krocząc w bród.

Obie nie spuszczają siebie z oczu, gdy Rozalia ostrożnie wyciąga drżące palce, aby musnąć jej lśniącą skórę. Nie cofa się, gdy syrena unosi się lekko, odsłaniając nagą pierś.

Od portu aż po głębię, będę błądzić, ronić łzy,
Czekając na jej powrót i tkając o niej sny.

— Jesteś taka, taka... — Rozalia szepce, nie mogąc odnaleźć w głowie odpowiednich słów.

— Zjawiskowa? — pyta syrena, a jej głos wydaje się być otulony aksamitem. — Olśniewająca?

— Tak — odpowiada tylko, sunąc dłonią po jej przedramieniu.

— Jeszcze nigdy nie spotkałam tu kogoś takiego, jak ty — mówi syrena, przykładając lodowatą dłoń do rozpalonego policzka Rozalii. — Czy jesteś moim marynarzem?

— Mogę nim być — odpowiada Rozalia, lgnąc do jej dłoni i przymykając oczy.

Więc chodźcie piękne dziewki, kochające śmiałków tych,
Co orać wody srogie chcą, by dotknąć żywych ich.

Rozalia ponownie słyszy jęki, ale tym razem sama czuje, jakby słuchała ich, tkwiąc pod wodą. Są one rozmyte, nie może określić, z której strony nadchodzą. Jej głowa robi się ciężka, ogarnia ją

poczucie błogości tak silne, jakby wypaliła za dużo opium. Kątem oka dostrzega inne kształty, które rysują się przy krawędzi szalupy.

— Jesteś taka, jak my — dociera do niej głos syreny. — Jakżebym chciała cię poczuć, nie tak jak tych wszystkich odrażających, zaśmierdłych…

Rozalia kiwa głową, wychylając się za burtę. Chłodne, śliskie dłonie muskają jej szyję, a po chwili czuje inne, wsuwające się w jej włosy, pod kołnierz koszuli, między mankiety. Któraś zdejmuje jej kapelusz, inna rozplątuje bandanę.

Ten sztorm rozdziera we mnie, poczucie braku twe,
Perunie, klnę byś pomógł jej odnaleźć kurs ku mnie.

— To zaszczyt, dryfować jak równa pośród was…

Szalupa przechyla się, a lodowata woda zalewa nogi Rozalii, która w jednej chwili potrząsa głową, jakby wybudzona z sennego paraliżu. Próbuje się cofnąć, ale silne ramiona syren skutecznie jej to uniemożliwiają.

— Kryj się! — Słyszy krzyk, gdzieś za sobą. Przyciska głowę do piersi i czuje, jak coś obok niej zdziera gardło, czy to z bólu, czy z wściekłości. Momentalnie odzyskuje oddech, a jej myśli powracają do rzeczywistości.

Podnosi się gwałtownie, brodząc w na wpół zanurzonej w wodzie szalupie. Kolejna syrena chwyta ją za nogę, wywracając ją na plecy. Rozalia szamocze się, jednocześnie próbując wyciągnąć broń. Kątem oka dostrzega Ann-Marie oraz Janka, którzy walczą z resztą potworów.

Syrena wbija ostre paznokcie w jej biodro, a inne uderzają ogonami o dno łódki, próbując ją wywrócić. Rozalia dopiero teraz widzi, jakie są masywne i długie, o poszarpanych płetwach i mieniących się łuskach. Jej obserwacje nie trwają jednak długo, kolejna syrena rzuca się na nią i wciąga ją do wody.

Ann-Marie uderza lufą strzelby w twarz syreny, a Janek próbuje spychać je wiosłem.

— Podaj mi szablę, szybko! — krzyczy kobieta, mocując się z kolejnym potworem, który wyskoczył z wody prosto na nią. — SZYBKO!

Słyszy krzyk Rozalii. Nie zastanawiając się dłużej, przestrzeliwuje syrenie brzuch, wykorzystując przedostatni nabój. Prędko podnosi szablę i bez ostrzeżenia przesuwa ostrze po gardle kolejnej. Wypływa z niego zielonkawa ciecz.

W kłębowisku piany próbuje dostrzec Rozalię. Wreszcie znajduje ją wzrokiem, przygniecioną przez jedną syrenę ogonem, starającą się wyswobodzić ze śmiertelnego uścisku drugiej.

Ann-Marie próbuje wycelować w głowę syreny, która w odmętach ciemnej wody jest ledwo widoczna. Palce na szyi Rozalii zaciskają się coraz mocniej, a ta wierzga nogami, próbując pozbyć się drugiej syreny. Ann-Marie wie, że posyłając kulkę w dłonie potwora, może przestrzelić Rozalii gardło. Jej ręce drżą.

— Na smród wiadra z pęcherza, zastrzel to cholerne ścierwo!

Strzał roznosi się hukiem po morzu, a skrzek przemienia się w rozdzierające jęki reszty syren. Rozalia łyka szybko powietrze, sięgając po oba pistolety i celuje w znajdujący się na jej nogach ogon. Kule rozdzierają perliste łuski, a z poranionego ciała unosi się woń zgnilizny.

— Dalej, dalej! — krzyczy Ann-Marie, podając jej rękę i pomagając wejść na ich szalupę. Janek w dalszym ciągu siłuje się z ostatnią rozwścieczoną syreną, ale kobiety zauważają, że reszta odpływa w głąb morza.

— To był siarczysty pojedynek. — Rozalia oddycha ciężko, masując pokrytą sińcami szyję. — Dziękuję, że po mnie przypłynęliście. Gdyby nie wy, to…

— Nie ma o czym mówić — odpowiada Ann-Marie, okrywając jej ramiona swą purpurową chustą. — Jaki właściwie miałaś plan? Nie sądziłam, że one… podziałają na ciebie.

Rozalie unika jej wzroku, sięgając po kapelusz i nakładając go na głowę. Podchodzi do niej Janek, umorusany i zakrwawiony, ale uśmiechnięty szeroko.

— Kapitanie, nie sądziłem, że to powiem, ale to było niesamowite — mówi szybko. — Chyba znalazłem swoje powoła…

Jego wypowiedź zagłusza cichy, ale przejmujący skowyt dochodzący z oddali. Rozalia szybko dopada do krawędzi łodzi, wbijając wzrok w ciemną, morską toń.

— Rozalia! — Ann-Marie przytrzymuje ją. — Co ty robisz, postradałaś zmysły?

— Zaczekaj, spójrz.

Kilkanaście metrów od nich z toni wyłania się syrena, dokładnie ta sama, która uwiodła Rozalię. Jej złote oczy błyszczą, przebijając się przez mrok.

Me serce rwie się do niej, nie wyzbędę żądzy się,
Przy rafie tuż pod wodą, marynarz mój tam jest.

Rozalia czuje nagły ucisk w sercu. Głos syreny obija się echem w jej uszach, ponownie próbując zawrócić jej w głowie.

Przy rafie tuż pod wodą, marynarz mój tam jest…

Obie połykają się wzrokiem, tak jakby tylko one słyszały melodię, która rozbrzmiewa dookoła nich.

Nagle syrena znika jej z pola widzenia.

— Zaraz, gdzie ona się podziała? — Rozalia przysuwa się do drugiej krawędzi. — Janek, wziąłeś lunetę?

Potężna istota wyskakuje z wody. Jej ogon zniknął, a w jego miejscu pojawiły się nogi pokryte popielatymi piórami, zakończone ostrymi szponami. Ramiona zrosły się w cienkie, poszarpane skrzydła, przypominające te u nietoperzy.

— O nie — szepce Rozalia. Ann-Marie również to widzi.

— Szybko, zbieramy się na pokład — mówi, kątem oka dostrzegając zbliżającą się do nich Płaczącą Wilczycę. — Tam będzie bezpieczniej.

*

Rozmazane cienie przemierzają skłębione chmury, raz po raz jawiąc się wyraźniej, gdy błyskawica przeszywa niebo. W jej blasku formują się kształty, masywne, ale i pełne wdzięku, poruszające się z oszałamiającą prędkością.

Rozalia wbiega na pokład i przeładowuje strzelbę.

— Wszyscy na stanowiska! — woła, podciągając się na wyblince. — A teraz mnie słuchać!

Ann-Marie podbiega do niej, ledwo zachowując równowagę na śliskiej powierzchni. Kilku marynarzy staje bliżej, wyciągając szable, czekając na rozkazy.

— Wy dwaj, na rufę, już! — krzyczy Rozalia, próbując przekrzyczeć wichurę. — Ty do armatki, a reszta zostaje ze mną i stoi przy krawędzi burty!

— Kapitanie, co się dzieje? — piszczy Janek, a Rozalia widzi, jak jego drżące ręce ledwo radzą sobie z ciężarem strzelby. — Myślałem, że one mogą tylko pływać!

Nagle ich uszy przeszywa wrzask. Wpierw dochodzący gdzieś znad chmur, teraz zdaje się zbliżać w kierunku okrętu.

— Świadkowie twierdzą, iż po wyskoczeniu z wody utrzymują się nad nią przez chwilę, by… — zaczyna Ann-Marie, jedną ręką trzymając bestiariusz, a drugą zaciskając na wancie. Rozalia wywraca oczami.

— Są zmiennokształtne! — przerywa jej. — Po wyskoczeniu z wody dostają skrzydeł! W momencie przemiany, który trwa dosłownie chwilę, są bardzo podatne na obrażenia. To właśnie wtedy powinniście je atakować! Późniejsze zbicie ich w locie graniczy z niemożliwym!

Krzyk staje się donośniejszy, przypominający odgłos zarzynanego ptaka. Kilku marynarzy upada na ziemię, kryjąc głowę w rękach, reszta mierzy lufami w niebo.

— Zatkajcie uszy! — krzyczy Rozalia, celując w pikującą syrenę. — Będą próbowały oferować wam spełnienie najskrytszych marzeń, ale nie możecie się im poddać!

Strzela, powalając ją na pokład. Syrena miota się między beczkami, pozostawiając na nich ślady szponów. Z jej piersi sączy się zielona posoka. Rozalia posyła w nią kolejną kulkę, a po niej jeszcze jedną, tak na wszelki wypadek.

Kolejne wdzierają się na dek, atakując od góry, pazurami przecinając czerepy. Rozalia sięga po szablę i wbija ją w środek kręgosłupa. Reszta marynarzy dołącza się do ataku. Janek wdrapuje się na bocianie gniazdo, obwieszony szablami i bronią, stamtąd mierząc w syreny, próbując zestrzelić je z nieba, zanim zaatakują na pokładzie.

Ann-Marie przestrzeliwuje skrzydło jednej z poczwar, a ta upada na nią, atakując szponami. Jedna próbuje przygwoździć do podłogi drugą, ale żadna nie daje za wygraną. Syrena rozdziera jej koszulę, docierając do skóry. Ann-Marie krzyczy z bólu, do jej oczu nabiegają łzy.

— Rozal…

Nie udaje jej się skończyć zdania, gdy szabla odcina głowę syrenie, a ciało, pod wpływem soczystego kopnięcia, odskakuje na bok. Rozalia pada na kolana przy niej, zauważając nasiąkniętą krwią koszulę.

— Wszystko w porządku, tylko trochę mnie podrapała — uprzedza jej pytanie Ann-Marie krztuszącym się głosem. — Następnym razem dasz mi sterować.

— Pomyślimy nad tym.

— Auć! Ech, czasami naprawdę nienawidzę morza.

Rozalia odciąga ją na bok i przeplata jej pas tą samą chustą, którą wcześniej Ann-Marie nałożyła jej na ramiona.

— Morze to coś więcej, niż widać — mówi, powoli opatrując rany. — To nasza siostra, matka i kochanka. To ona daje nam oddech w płucach. W zamian prosi tylko o jedno. Szacunek i pieczołowitą opiekę.

— Myślisz, że ją czymś rozgniewaliśmy?

— Wręcz przeciwnie, to wszystko jest przejawem jej istnienia — odpowiada Rozalia, a na jej twarzy pojawia się cień uśmiechu. — To dzięki nam czuje, że żyje.

*

— Powiedz, że ze mną wypłyniesz. Powiedz, że znajdziesz ukojenie na tym szlaku, że gdy wypłyniemy na Atlantyk, błąkając się między archipelagami, odnajdziesz w sobie szczęście. Powiedz, że będziesz dryfować ze mną przez wszystkie horyzonty.

— Ja… tak. Naprawdę tego chcę.

Fin

NN, 人魚 (1805)

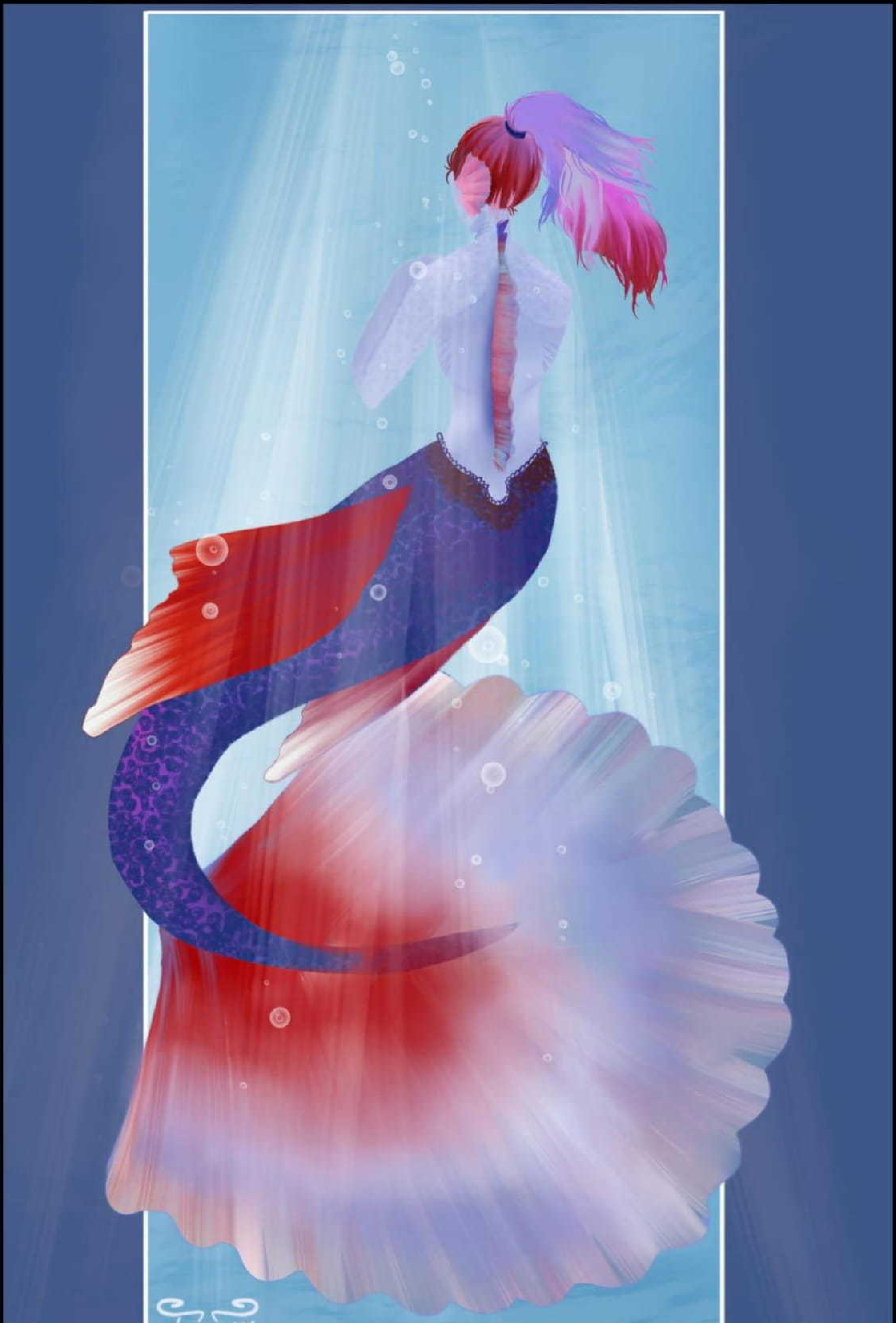
Jomena 151

Kinga Kuster

Ciemność

Że życie ludzkie jest tylko snem, zdawało się już nie jednemu.
I mnie również uczucie to stale towarzyszy.

~ Johann Wolfgang von Goethe

Ciemność. Czarny obraz. Błysk. I znowu nic nie widać. Przetarł zaspane oczy. Chociaż rozpętała się gwałtowna burza, to o dziwo nie zbudziły go jej odgłosy. Było cicho. Zbyt cicho.

Brandon z trudem usiadł na łóżku. Jego zmęczone mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Nie przypominał sobie, o czym śnił. Co robił wcześniej? Teraz też nie pamiętał, ale przecież to nieważne. Potrzebował snu. Spokojnego snu, który wymagał pewności, że ona jest cała, bezpieczna i tuż obok. A nie był w stanie usłyszeć rytmicznego oddechu, ani nawet mimowolnych pomrukiwań, jakie co jakiś czas wydzierały się z jej ust, kiedy na dobre odpływała do krainy marzeń sennych. Nic a nic. Nie było jej tutaj.

Skrzywił się, kiedy kolejny błysk próbował go oślepić. Wyciągnął przed siebie rękę, próbując po omacku dosięgnąć świecy. Miał z tym problem, chociaż wydawało mu się, że doskonale wiedział, gdzie ją położył – po prostu szukał tam, gdzie zwykle. Bezskutecznie. Wzrok trochę się wyostrzył – mimo że jak przez mgłę, dostrzegał już własne dłonie, chociaż to jednak za mało, żeby prowadzić poszukiwania.

Czuł, że w tej nocy było *coś* nadzwyczajnego. *Coś* było w powietrzu. *Coś* wytwarzało dziwaczną, gęstą aurę, zarazem wprowadzając w coraz to większe poczucie niepokoju pomieszanego z dezorientacją. Taki chłód latem nie był normalny, nawet biorąc pod uwagę bliskość jeziora. To nie była kwestia wyłącznie obniżonej temperatury powietrza: mężczyzna czuł na swoim ciele dreszcze bezlitośnie przebiegające aż do okolic karku, zmuszające go do wzdrygnięcia się. Tak, to właśnie coś takiego wyrwało go ze snu. Tylko skąd się wzięło?

Wreszcie świeca zapłonęła, oświetlając skromną sypialnię: przytulne, uporządkowane pomieszczenie wypełnione drewnianymi meblami. Brandon siedział na łóżku, a miejsce obok niego pozostawało puste. Rzucił okiem na stolik nocny, na który Rozalia zwykle odkładała książkę, gdy kończył się czas na lekturę. Nie dostrzegł żadnego grubego tomiska. Spojrzał więc na regał, z którego z kolei zniknęła pokaźna kolekcja woluminów, jakie dostała w podarunku

od chorującego, acz majętnego stryja. Brakowało również wszelkich rodzinnych pamiątek, mających zapewne niezbyt wielką wartość materialną, ale wiążących się z ciepłymi wspomnieniami lub dramatycznymi – i niekiedy pewnie zmyślonymi ku uciesze biesiadników – historiami. Wyparowały nawet amatorskie szkice młodej pary, upamiętniające celebrację ich osobistego święta. Zniknęła ona, a razem z nią wszystko, co jednoznaczne prowadziło ku niej myśli zakochanego człowieka. A skoro zniknęła, teraz on musi ją znaleźć.

Brandon przeciągnął się lekko. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch w innej części pokoju. Natychmiast obejrzał się w tę stronę. Miał cichą nadzieję, że niepotrzebnie spanikował, a jego wybranka jest w pobliżu. Kiedy jednak jego oczom nie ukazała się ani młoda kobieta, ani nic bardziej niezwykłego niż wszechobecna pustka, postanowił wreszcie podjąć próbę poderwania się z łóżka. Postawił bose stopy na drewnianej podłodze. To był błąd. Ku jego ogromnemu zdziwieniu, w tym samym momencie coś złapało go za kostkę i szarpnęło mocno. Zdezorientowany mężczyzna wyrywał nogę z uścisku, ale przeciwstawna siła okazała się na tyle potężna, że zamiast powstrzymać atak, z hukiem spadł z łóżka. Popatrzył na ziemię. Podobnie jak wcześniej, nie dostrzegł nic dziwnego. Przełknął głośno. A jeśli to coś takiego zabrało ją ze sobą?

Rzucił się biegiem do wyjścia. Zamknięte. Walczył z klamką, pragnąc wydostać się na korytarz. Ciągle bezskutecznie. Oddychał ciężko, napierając mocno na drzwi, ale te – jak na złość – ani drgnęły. Usiłował wyważyć je jeszcze kilka razy. Przy ostatniej próbie wziął nawet większy rozbieg: cofnął się jeszcze o krok, może dwa, dalej niż wcześniej. Właśnie wtedy *coś* złapało go za szyję, zaciskając na niej paskudne, kilkucalowe szpony. Ujrzał jedynie czarny cień: czarniejszy niż ta dziwna noc i jego ponure kłębowisko myśli. Mógłby przysiąc, że poczuł, jak umiera, kiedy po chwili *to* ścisnęło go za obie kostki. Gdy *coś* ciągnęło go w stronę okien, mężczyzna w zastraszającym tempie tracił resztki energii i świadomości. Chciał krzyczeć. Pragnął wrzeszczeć, ile sił w płucach. Ale ta przerażająca ciemność pochłaniała wszystkie dźwięki. Brandon krzyczał więc całym sobą – w sobie; niemy krzyk rozsadzał go od środka. Nigdy wcześniej nie doceniał potęgi ciemności i ciszy, których trwoga czyniła umieranie jeszcze potworniejszym doświadczeniem.

* * *

Krzyknął krótko, podrywając się na równe nogi. Prawie wpadł na konia pasącego się przy jednym z drzew.

– To sen, sen, tylko sen! – wymamrotał, chyba bardziej usiłując uspokoić samego siebie, a nie spłoszone zwierzę.

Koń prychnął, jakby wyrażając swoje niezadowolenie, po czym odwrócił pysk w inną stronę.

Mężczyzna czuł się skołowany. Usiadł na trawie, próbując uspokoić oddech. Nawet nie pamiętał, co robił tuż przed zaśnięciem. W jego pamięci pojawiła się kolejna dziura wymagająca uzupełnienia. Podrapał się po głowie. Ostatni czas był dla niego wybitnie męczący, a sen – zamiast nieść wytęskniony odpoczynek i ukojenie – wprowadzał go w jeszcze gorsze samopoczucie.

Szybkim ruchem wyjął z kieszeni płaszcza niewielki notes w skórzanej oprawie. Na żółtawych stronach została sporządzona lista potencjalnych miejsc do odwiedzenia. Okolice rodzinnego portu zostały już odhaczone, tak więc teraz zmierzał na nieco dziksze południe. Wraz z każdym kolejnym dniem poszukiwań jego frustracja wzrastała, ale póki co udawało mu się nie tracić nadziei. Nie był gotowy, aby oswoić się z myślą, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Celem jego egzystencji stało się odnalezienie żony, a zarazem przerwanie tego koszmaru na jawie.

– Szkoda czasu, jedziemy dalej – powiedział, jakby jego czworonożny przyjaciel miał to zrozumieć.

Cała ta samotność sprawiała, że coraz częściej odzywał się do zwierzęcia, tłumacząc sobie – o ironio – że dzięki temu nie zwariuje.

Nie minęła chwila, a już wrócili na szlak prowadzący do stolicy. Im dalej w las, tym dumniej natura manifestowała swoją potęgę. Dzienne światło ledwo przedzierało się między gęstymi koronami drzew. Grube korzenie roślin wyrastały ponad czarną ziemię, niejako podkładając nogi zamyślonemu jeźdźcowi. Koń z gracją pokonywał wszystkie przeszkody, w dogodnych momentach przyspieszając jazdę, jakby dostrzegał wagę sytuacji. Brandon starał się myśleć o rzeczach przyjemnych: jego cel wydawał mu się naprawdę realny do osiągnięcia. Bał się okrutnie. Wizje nawiedzające go w snach wpływały znacząco na odbiór rzeczywistości. Czuł się przytłoczony ciężarem straty i presją, którą sam sobie na siebie wywierał. A las wcale nie pomagał mu poczuć się lepiej, bo ten nieprzyjemny dreszcz ze snu towarzyszył mu jak upiorny cień.

* * *

Przebyta droga dała się im we znaki. Wierzchowiec zwolnił tempo, ale nadal dzielnie stawiał kroki. Jeździec nieustannie miał z tyłu głowy presję czasu, ale zdawał sobie sprawę, że odrobina odpoczynku zrobiłaby im dobrze, w szczególności zwierzęciu, na którego barkach – albo raczej nogach – spoczywała spora odpowiedzialność. Coraz częściej łapał się na rozmyślaniu o skali podróży. Wyruszył w drogę spontanicznie, toteż nie przygotował się dostatecznie. W najbliższej okolicy nie znalazł śladu po ukochanej Rozalii, więc bez zastanowienia porzucił wszystkie swoje

obowiązki i zobowiązania wynikające z pracy kupca. Nie przemyślał dobrze strategii: zależało mu na szybkości działań, ale nie wziął pod uwagę, że koń może nie podołać w najmniej odpowiednim momencie. Jego myśli naturalnie zaczęły więc krążyć się wokół tematu postoju, ale zarazem posiłku. Kiedy minęli znak informujący o przekroczeniu granicy okręgu, dający przy tym do zrozumienia, że są gdzieś w połowie drogi do wielkiego miasta, mimowolnie mruknął pod nosem:

– Cholera by to, nie zdążymy do zmierzchu...

Zatrzymali się gwałtownie, kiedy na poboczu, nie wiadomo skąd, pojawiła się garbata sylwetka starszej kobiety, wyciągającej ku nim ręce w błagalnym geście. Była odziana w godne pożałowania łachmany, a w jej twarzy – trudno orzec, czy wyniszczonej na skutek brutalnie upływającego czasu, a może nieokreślonej choroby – czaiło się coś niepokojącego.

– Czy mógłbym jakoś pomóc? – spytał niepewnie, obserwując ją uważnie.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Och, nie, panie, ja nie potrzebuję pomocy – zapewniła, nie odrywając od niego wzroku.

– Dobrze, w takim razie… – Uniósł lejce z zamiarem dania wierzchowcowi sygnału, że pora ruszać w dalszą drogę.

– Nie! – przerwała mu, znowu wyciągając ku nim popękane dłonie. – To PAN potrzebuje pomocy. Zasługuje pan na odpoczynek. Nieopodal znajduje się karczma. Smaczna strawa, niedrogi napitek, a i nawet trafi się jakaś panna do towarzystwa…

– Niestety, nie jestem zainteresowany. – Uśmiechnął się przepraszająco. – Odpocznę, kiedy zakończę moją podróż – postanowił, dając dojść do głosu zdrowemu rozsądkowi. – Powiedz tylko, dobra kobieto, którędy do stolicy?

– Prosto, panie – odparła cicho, po czym dodała wyraźniej, przez zęby: – Karczma w lewo.

Mimowolnie uśmiechnął się.

– Może kiedy indziej skorzystam z zaproszenia. Bywaj! – Nie zdążył nawet unieść lejców, bo koń sam ruszył przed siebie. I dobrze.

Chociaż trudno było mu to przyznać przed samym sobą, jej obecność wprowadzała go w tak niebywały dyskomfort, że przyjął z ulgą ponowną samotność. Zaczął jedynie żałować, że na odchodne nie sypnął jej kilkoma monetami z sakiewki – wyglądała tak nędzne, że z pewnością mogłaby zrobić z nich dobry użytek. Obrócił się po przejechaniu krótkiego i prostego fragmentu trasy, ale kobiecina zniknęła w równie zagadkowych okolicznościach, jak chwilę wcześniej pojawiła się przy drodze.

* * *

Dalsza jazda była spokojna, żeby nie powiedzieć – nużąca. Droga przez las sama w sobie wydawała się monotonna, ponieważ otoczenie drzew było tak powtarzalne. Melodie tworzone przez matkę naturę w akompaniamencie leśnych żyjątek sprzyjały wyciszeniu. Niepokój powrócił dopiero wtedy, kiedy Brandon nabierał przekonania, że nieumyślnie zaczął krążyć. Wydawało mu się, że jego orientacja w terenie jest na tyle dobrym poziomie, że zgubienie się jest zwyczajnie niemożliwe. Nawet jeśli przypadkiem zabłądziłby w lesie, raczej wybrałby ścieżkę prowadzącą w innym kierunku niż ten zamierzony, aniżeli ciągle wracał do punktu wyjścia. Nie potrafił racjonalnie określić, jak to w ogóle możliwe, że co jakiś czas spotyka na drodze charakterystyczny znak wskazujący dwie możliwe opcje: kierunek na stolicę oraz drogę do wspomnianej przez staruchę karczmy.

Kiedy sytuacja powtórzyła się już trzeci raz, mężczyzna miał po prostu dość. Droga na stolicę była tą, przez którą tylko marnował czas, dlatego – wbrew wcześniejszym założeniom – postanowił skręcić. Jeśli ta ścieżka nie połączy się z inną, która prowadzi do królewskiego zamku, to może przynajmniej w karczmie będzie miał okazję zaczerpnąć rad od kogoś lepiej zorientowanego.

Ścieżka okazała się kręta i wyboista. Z ciekawości liczył, ile razy koń musiał uskakiwać w bok. Tuż za trzynastym z kolei zakrętem, gdy bez większego przekonania wyjrzał zza rzędu ogromnych głazów o ostrych kształtach, między drzewami – częściowo poobalanymi najprawdopodobniej przez jakąś silną wichurę – na leśnej polanie spostrzegł spory budynek z prawie czarnego drewna, o dużych okrągłych oknach i z ogromnym szyldem „Wilczy apetyt" nad wejściem. Pierwsze wrażenie z zewnątrz było niemalże pozytywne, więc z większą śmiałością zbliżył się do karczmy, ignorując prychnięcie konia pozostawionego na zewnątrz.

Przywitał go gwar typowy dla większych skupisk ludzi, ale także muzyka grana na żywo przez roztańczonego pianistę, który – wczuwając się w finezyjną melodię – kołysał biodrami w takim stopniu, że co i rusz był bliski upadku na posadzkę. Zaskakująca ilość osób zajmowała stoliki i zasiadała przy barze. Niektórzy grali w karty, inni dyskutowali zawzięcie o sprawach królestwa. Gruby barman o ziemistej karnacji i cienkim ogonku siwych włosów opadającym na szerokie plecy, z posępną miną podawał napitki roześmianej grupie kobiet odzianych w długie suknie, mocno ściśnięte gorsetami. Brandon nie zdążył przyswoić innych szczegółów, bo jedna z dam pobiegła do niego w podskokach i bez zbędnych ceregieli uwiesiła się na jego ramieniu.

– Nie bój się, kochasiu, nie zostawię cię bez towarzystwa – zaszczebiotała wesoło, zalotnie trzepocząc długimi rzęsami. – Ale w tym hałasie nie porozmawiamy, lepiej będzie na górze, ci…

– Niestety – przerwał jej. – Spieszę się.

Miał ogromną nadzieję, że kobieta odwróci wzrok i zostawi jego ramię w spokoju. Posłał jej krótki, przepraszający uśmiech, ale też stanowczo ruszył ręką, dając tym samym do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszego kontaktu fizycznego.

Przestała mrugać i wyraźnie zachmurzyła się. Urażona odmową chciała posłać mu spojrzenie godne bazyliszka, ale finalny efekt – przypadkowo – okazał się jeszcze bardziej piorunujący. Z jej oka wypadł wielki, tłusty pająk.

Brandon mimowolnie krzyknął, wyrywając się z jej uścisku. Jak to w ogóle było, do cholery, możliwe?! Rozejrzał się wokoło, jakby pragnąc dowiedzieć się, czy ktoś jeszcze dostrzegł ten obrzydliwy incydent. Faktycznie, towarzystwo z karczmy milczało, wpatrując się w nich dwoje, ale nikt nie wyglądał na równie zdegustowanego lub chociaż minimalnie przejętego. Mężczyzna nie mógł się nadziwić, że żadna z tych osób nie przestraszyła się tego niecodziennego zjawiska. Zaczął szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego... I prędko pożałował.

Przyglądał się towarzystwie z karczmy w zupełnie nowym świetle. Zauważył, że obrócony w jego stronę pianista wciąż gra, albo może raczej samo pianino gra u jego boku, bo klawisze poruszały się rytmicznie, a on sam zwyczajnie nie miał dłoni. Alkohole w rękach panien przy barze przywodziły mu teraz na myśl szkarłatną krew – widział w niej nawet charakterystyczne, nieprzyjemne z wyglądu skrzepy. Grający w karty mężczyźni w zbrojach mieli wydłubane oczy, a cera barmana właściwie zdawała się być wręcz trupia.

Brandon rzucił się do wyjścia, marząc o ucieczce z przeklętego lasu. Zmarli ruszyli za nim, wykrzykując upiornym chórem jego imię, którego nigdy im nie podał.

– Brandon, zostań chwilę!

Pomyślał, że chciałby się obudzić, ale przecież nie spał.

– Brandon, usiądź z nami!

Przecież to nie był sen, goniła go banda umarłych, gotowych na wcielenie go w swoje mroczne szeregi.

– Brandon, zatrzymaj się!

A może powinien się poddać, bo śmierć nie jest taką złą opcją?

– Brandon!

– Zajmijcie się sobą, nędzne kreatury! – rozległ się głęboki, niski głos.

Wszyscy obrócili się w kierunku, z którego dobiegał. Mężczyzna stojący na szczycie schodów nie krzyczał, ale mimo to rozkaz z wielką mocą przedarł się między kolejnymi

pojękiwaniami a upiorną muzyką. Efekt był natychmiastowy. Całe towarzystwo oddaliło się od onieśmielonego przybysza. Zamilkli jak zaklęci, w obawie przed ewentualnym atakiem gniewu – nie wydawali najmniejszych dźwięków, by nie rozzłościć swojego pana. Wyjątkiem był facet siedzący przy pianinie, który co prawda nie ruszył się z miejsca, ale zdecydował się na przygrywanie nieco mniej skocznej melodii.

Zamieszanie zostało opanowane przez wysokiego jegomościa o szczupłej sylwetce i bladej karnacji, ubranego niemalże odświętnie w czarne szaty uszyte z kosztownych tkanin. Miał ciemne, proste włosy, które sięgały mu do okolic ramion, twarz zdobiła gęsta bródka zapleciona w warkocz. Zszedł po stopniach dumnie wyprostowany, nawet z poziomu parteru łypiąc na wszystkich z góry. Minął stoliki, przy których grzecznie zasiadła nieszczęsna hałastra.

– Ja po prostu dawno nie widziałam kogoś takiego… – szepnęła jedna z młodych kobiet, chyba pragnąc usprawiedliwić swoje zachowanie.

Jegomość nie zareagował. Przez dłuższą chwilę milczał, stojąc przy barze i lustrując przybysza surowym, badawczym spojrzeniem.

Chyba nie powinien wznawiać ucieczki w takim momencie… Przysunął się bliżej, w myślach karcąc się za naiwność.

– Brandon z Ro… – rzucił uprzejmie, aby przerwać nerwową ciszę.

Elegant wszedł mu w słowo, ale też zignorował jego wyciągniętą na powitanie dłoń.

– Wyglądasz na szaleńca. – Mlasnął, jakby z niesmakiem. – Kolejka na mój koszt. – Tu zwrócił się do barmana i szybkim krokiem podszedł do barowego stołka. – To jest Joel, jest praktycznie nieszkodliwy. No i przede wszystkim to trzeci żywy w naszym towarzystwie – mówił gospodarz.

– Szaleńca? – nieprzytomnie prychnął przybysz. – Przecież to wszystko jest...

– Odmówiłeś Bernadette, musisz mieć naprawdę poważny problem – znowu się wtrącił. – Nalewka z głogu powinna pomóc.

Gruby Joel postawił przed nimi puste szklanki. Odnalezienie odpowiedniej butelki zajęło mu dłuższą chwilę.

Brandon próbował ułożyć sobie w głowie to, co na razie zdążyło się wydarzyć. Trudno było mu przyjąć do wiadomości, że trafił do tak dziwacznego miejsca: że na własne oczy widział najprawdziwsze upiory i że zaraz będzie pił alkohol z przedstawicielem istot nie z tego świata. Wszystko klarowało się jako kolejny niedorzeczny sen na jawie.

– Hrabia Tobias von Willebrand – przedstawił się nagle tajemniczy jegomość. – Znajdujesz się właśnie w jednej z moich karczm. Ta jest w zasadzie najstarsza, a zarazem ulubiona, zapewne z sentymentu... Poznałeś miejscowych. Wbrew pozorom, nie mam z nimi wiele wspólnego. Musisz

wybaczyć im dzisiejsze zachowanie – zapewniam, wszyscy martwi chcieliby mieć coś z życia… A to miejsce w gruncie rzeczy im to umożliwia – powiedział z dumą. – Prywatnie zajmuję się szeroko pojętą magią, pomagam im. – Uśmiechnął się krótko dla ocieplenia wizerunku. – Tobie też mam pomóc? Zgubiłeś się, biedaczku?

A więc nie dość, że w karczmie jak gdyby nigdy nic, hulają sobie duchy, to jeszcze całym tym absurdalnym miejscem zarządza czarodziej. Brandon bez większego zastanowienia chwycił naczynie z czerwoną cieczą i skosztował trunku. Smak miło go zaskoczył, ale nie rozwiązał elementarnego problemu: co powinien teraz zrobić? Nie chciał ryzykować ucieczką – nawet, gdyby mu się udało, mógłby znów błąkać się bez celu po jednakowych rozdrożach, tracąc resztki sił. Z drugiej strony nie do końca wyobrażał sobie dalszą rozmowę. Wahał się, czy ktoś taki jest godny wtajemniczenia w sens jego delikatnej misji. W życiu codziennym nie był zbyt wylewny, z trudem przychodziło mu rozmawianie o swoich problemach lub emocjonalnych rozterkach z bliskimi, a co dopiero z zupełnie obcymi ludźmi – powiedzmy sobie szczerze – średnio wzbudzającymi zaufanie. Doszedł jednak do wniosku, że w obliczu postępującej utraty zdrowych zmysłów (był przekonany, że coś dotyka jego włosów, chociaż nie był w stanie przyłapać żadnej dłoni na gorącym uczynku), nie ma nic więcej do stracenia. Może los jest ślepy i nie widzi, z jaką szopką ma do czynienia, ale miał sensowny powód, by go tu wysłać. Niech więc błazenada trwa dalej.

Rozsiadł się wygodnie na swoim stołku i zaczął mówić:

– Jechałem do stolicy. – Starał się ostrożnie ważyć słowa. – W którymś momencie zacząłem krążyć, mijać znaki, a raczej znak... Ktoś po drodze wspomniał mi o tym miejscu. Przyjechałem. Chciałem prosić o wskazówkę.

– Doskonale – wyrwało się gospodarzowi. – Zdradzę ci, że to był, oczywiście, ktoś ode mnie.

– Domyśliłem się – mruknął podróżny. – Ta starowinka pasowała do nich, wytwarzała podobną aurę...

Ktoś z odległej części pomieszczenia zachichotał cicho.

– Powiedz mi, co jeszcze cię tu sprowadziło. – Pospieszył go gospodarz, jakby unikając niewygodnego tematu. – Jedziesz do stolicy jak większość. Nie byłeś jednak zainteresowany towarzystwem…

– Pozostanę wierny mojej ukochanej – przerwał hrabiemu stanowczym tonem. Po chwili refleksji przystąpił do dalszych tłumaczeń: – W zasadzie to właśnie uczucia do niej zmusiły mnie do wyruszenia w drogę. Zaiste, zaginęła w tajemniczych okolicznościach.

– Znam wielu ludzi... Ludzi i nie tylko... Mówże, może będę w stanie pomóc – zachęcił go hrabia. – Ba, równie dobrze może czekać tu na ciebie. Zdarzają się tu i żywe panny.

– Nie chciałbym urazić hrabiego, ale… żywe panny? Tutaj?

– Niektóre jeszcze tak, chociaż muszę przyznać, że rozróżnienie ich sprawia mi pewną trudność. – Machnął ręką. – Jak wygląda twoja wybranka?

– Kasztanowe loki, gęste i długie. Błękitne oczy, o bardzo zimnym odcieniu, ale ciepłym wyrazie. Blada cera, rumiane policzki. Zgrabna sylwetka... Ostatnio miewała problemy z lewą nogą, czasem utykała.

Von Willebrand zamyślił się chwilę, znów obserwując badawczo nowego towarzysza.

– Nie, nie było tutaj takiej dziewczyny. Jestem przekonany. – Widząc, że przybysz ciągle wpatruje się w niego z nadzieją, dodał twardo. – Z chorą nogą by tu nie zaszła. Za daleko.

– Chwileczkę. – Brandon zmarszczył brwi. – Nie powiedziałem, skąd pochodzę.

– Mogę spytać z grzeczności, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, ale wyczułem woń morza już w momencie, kiedy ledwie przekroczyłeś próg. – Czarodziej poprawił się na miejscu. – Jesteście charakterystyczni.

Na usta cisnął mu się jakiś uszczypliwy komentarz, ale zdołał ugryźć się w język.

– To… ją też byś rozpoznał? – upewniał się zatroskany mąż.

– Bezbłędnie. – Hrabia dopił swoją nalewkę. – Ale nie spotkałem twojej kobiety.

– Te, a skąd ty masz pewność, że w amoku nie odrąbałeś jej łba lub nie przywaliłeś czymś ciężkim? – wtrącił się barman zawzięcie polerujący jeden z kielichów.

– Nie wypada mierzyć wszystkich swoją miarą, głupcze – warknął hrabia, na którego ustach mimo wszystko pojawił się cień uśmiechu.

– Nigdy w życiu nie zrobiłbym jej krzywdy! – krzyknął wzburzony Brandon. – Kocham Rozalię. Nie zraniłbym i nie pozwoliłbym jej skrzywdzić…

– No już, spokój – odparł von Willebrand. – Powiedzmy, że ci wierzę… A nawet jeśli nie, to jestem pewien jednej rzeczy: gdyby nie żyła, z pewnością trafiłaby tutaj. Jak wszystkie zbłąkane dusze, które potrzebują bezpiecznego schronienia – dodał ponuro, chłodnym spojrzeniem lustrując roześmiane towarzystwo.

– A więc szukam dalej – stwierdził przybysz. – Jakieś rady? Jak mam w końcu dostać się do stolicy?

– Za karczmą prosto. Jechać za znakami. – Hrabia wzruszył ramionami. – Zaprowadzą cię tam, gdzie powinny. Pytaj o nią wszystkich, których zdołasz. Nawet nie wiesz, jakie informacje możesz w ten sposób uzyskać. Spiesz się, ale bądź uważny.

Brandon faktycznie nie miał czasu, by dopytywać o wcześniejsze zamieszanie z krążeniem po lesie – magia, klątwa, zrządzenie losu, przeznaczenie, fatum – to mogło być cokolwiek. Wziął sobie wskazówki do serca, dopił nalewkę i podniósł się z miejsca.

– To było najdziwniejsze spotkanie w moim życiu, ale w gruncie rzeczy chyba miło było poznać – powiedział szczerze.

– Życzę ci jak najlepiej. – Tobias wstał i wyciągnął do niego rękę. – Nie daj się zabić.

Kiedy mężczyźni wymienili uścisk, a Brandon opuścił karczmę, w jego głowie wciąż rozbrzmiewały dźwięki pianina martwego wirtuoza. Straszne obrazy nienaturalnie szybko zatarły się w jego pamięci, ale twarz oraz piekielnie przeszywające spojrzenie hrabiego von Willebranda zapamiętał do końca życia.

Dead Man [*Truposz*], reż. Jim Jarmusch, zdj. Robby Müller (1995)

ᛚᚨᛘᛁᛚᛁᚴᛧ ᚵᛁᛁᚦᛚ

ᛌᚠᛁᚴᚦ

Marcin Romanik

Poradnik karmienia kucyków

Pinkie Pie leżała wreszcie w swoim łóżku. Po całym dniu pracy w Cukrowym Kąciku, w którym razem z Panią Cake musiały wypiec wszystkie zamówienia na zbliżający się ślub Lyry i Bon Bon, była, co dziwne jak na nią, wyczerpana. Ale warto było. Nadchodziło przepiękne wydarzenie i nie mogła pozwolić sobie, żeby któreś ciasto wyróżniało się spośród innych zwyczajnym wyglądem.

Kiedy nakarmiła swojego aligatorka Gummiego, udekorowała pokój w nowe baloniki i wielobarwne girlandy, i wsunęła się pod ciepłą i miękka kołdrę, nie mogła zasnąć. Przewracając się z boku na bok, przekładając poduszkę na chłodniejszą stronę co pięć minut, ściskając z całych sił powieki, nie mogła przywołać snu. Coś mąciło jej i tak nadzwyczajnie już chaotyczne myśli, ale nie wiedziała, co to było. Pierwszy raz w życiu doświadczyła czegoś tak absurdalnego. Postanowiła uspokoić się i rozluźnić.

Leżąc wygodnie na plecach, oddychała powoli. Z każdym oddechem jej myśli uspokajały się. Serce biło wolniej, mały świat pokoiku zmieniał się nieśpiesznie w ciemną plamę. Byle tylko się nie zdekoncentrować. To już ten moment. Zaraz pogrąży się w śnie i…

Łóżko zatrzęsło się nerwowo. Pinkie zerwała się na równe kopyta.

– Co, do stu kilo cukru? – spytała samą siebie. – Gummy, ile razy ci mówiłam, że masz swoje łóżko! – Pinkie odwróciła głowę w stronę, gdzie spał jej pupil.

Gummy, będąc w swoim kojcu, tylko sennie otworzył oczy, oblizał się i całkowicie ignorując opiekunkę, położył się ponownie.

Łóżko zatrzęsło się znów, skrzypiąc przeraźliwie na drewnianej podłodze. Pinkie zeskoczyła z niego i uciekła w kąt. Trzęsła się jak malinowa galareta, którą dzisiaj wylewała na sernik.

Blask księżyca wydobywał z mroku jej łóżko, które stało niczym ołtarz w mrocznej świątyni. Co to w ogóle za porównanie, pomyślała Pinkie i zaśmiała się nerwowo na tę myśl.

Łóżko raz jeszcze zatrzęsło się, jakby chcąc wystraszyć różowego kucyka, ale tym razem zawarczało gardłowo. Pinkie podskoczyła ze strachu i schowała się za fotelem stojącym w rogu pokoju. Wychylając głowę zza oparcia, bacznie obserwowała. Czy to sen? Czy faktycznie udało się jej zasnąć? Wspaniale! Ale przecież nie chciała takiego snu. Zawsze wszystko było takie kolorowe, i wesołe, i przyjazne, ale to łóżko ewidentnie nie należało do jej świata.

Zaraz przypomniała się jej piosenka, którą nuciła sama do siebie, kiedy mieszkała jeszcze jako mała klacz w Rockville. W chwilach największego strachu śpiewała ją sobie po cichutku, aby przegonić te straszne i okropne myśli.

Wyszła powoli zza fotela, ostrożnie stawiając kopyta i kierując się w stronę łóżka.

– Gdy był ze mnie jeszcze mały szkrab, a słońce szło już spać – zaczynała cicho śpiewać klacz, powoli zbliżając się do przeraźliwego mebla. – Po zmierzchu nawet zwykły krzak, maszkarą mógł się stać…

Łóżko jakby słuchało, a Pinkie była coraz bliżej. W trakcie postanowiła zajrzeć pod nie, bo przecież tam zawsze kryją się potwory, prawda?

– Chowałam się pod kołdrę, łykając słone łzy. – Pinkie była coraz bliżej i bliżej. – Lecz babci mej głos odmienił zły los, gdy radziła mi…

Kucyk zaczerpnął powietrza, starając się uspokoić kołaczące serce. Kopytem sięgnęła do zwisającego z boku łóżka prześcieradła i przytrzymała przez moment. Duchy przecież nie istnieją, pomyślała.

Ściągnęła je szybkim ruchem.

– Śmiej się, Pinkie, a duchy pójdą precz! – wykrzyczała nerwowo i wtem łóżko podskoczyło na kilka centymetrów, warcząc złowieszczo i skrzypiąc przeraźliwie jak nigdy przedtem.

Pinkie Pie nie zastanawiała się długo. W ułamku sekundy wybiegła ze swojego pokoju i pędem opuściła Cukrowy Kącik. Krzycząc w noc, galopowała przed siebie, chcąc jak najszybciej oddalić się od nawiedzonego łóżka. Tylko jeden kucyk mógł jej pomóc. Tylko jeden znał się tych sprawach na tyle, by wypędzić zmorę. Twilight Sparkle.

*

Fioletowa klacz spała głębokim snem, gdy nagle wybudził ją krzyk.

– Twilight! – wrzasnęła Pinkie, wskakując na łóżko i niemal ją przygniatając. – Coś opętało mój pokój!

Wyrwana nagle ze snu Twilight na początku nie wiedziała, co się dzieje.

– Pinkie, co ty mówisz? – spytała zaspanym głosem. – Tyle razy ci mówiłam, że duchy… – nie dokończyła, kiedy przyjrzała się bliżej swojej przyjaciółce. Nigdy przedtem nie widziała jej tak przerażonej jak teraz. W jej oczach panował strach, różowa zmierzwiona grzywa trzęsła się wraz z nią, a wargi drżały niespokojnie.

– Musisz mi pomóc! – zapiszczała ponownie Pinkie i wtuliła się w przyjaciółkę, szukając bezpieczeństwa.

– Chodźmy – zadecydowała Twilight.

Kiedy klacze znalazły się w Cukrowym Kąciku, Pinkie trzęsła się jeszcze mocniej. Po drodze opowiedziała Twilight o całej sytuacji. O czymś, co ciągle jej zawracało głowę, chociaż nie wiedziała, co to było, o bezskutecznych próbach zaśnięcia i wreszcie o warczącym łóżku.

– Jesteś pewna, że nie przejadłaś się przed snem? – spytała na wszelki wypadek Twilight.

– Zawsze się trochę podjada – odpowiedziała Pinkie i dodała chichocząc – zwłaszcza jak się pracuje przy pieczeniu babeczek.

Klacz przewróciła oczami.

– Może po prostu miałaś koszmar?

– Spójrz sama – odparła Pinkie, otwierając drzwi do swojego pokoju.

Twilight rozejrzała się po wnętrzu. Znała dobrze ten pokój i wszystko na pierwszy rzut oka było na swoim miejscu. Nic podejrzanego.

– Mówisz, że to coś było pod łóżkiem?

– Tylko uważaj! – ostrzegła ją Pinkie, stając bezpiecznie za fotelem.

Twilight podeszła bliżej opętanego mebla. Kopytem dotknęła go, ale nie zareagowało. Kopnęła je mocniej, ale wciąż nic się nie działo. Spojrzała na pościel zwisającą nad wnęką pod nim.

– Trzeba trochę tu poświecić – powiedziała i z jej rogu wystrzeliła jasna kula światła, która zawisła ponad nią. – Zaraz się przekonamy, czy faktycznie nikogo tu nie ma.

Chwyciła za płachtę materiału i zajrzała ostrożnie do przestrzeni pod łóżkiem.

Pod spodem było pusto. Nie było nawet drobiny kurzu. No, chociaż posprzątała, jak jej zasugerowałam, pomyślała Twilight i zwróciła się do Pinkie:

– Nic tu nie ma.

Pinkie patrzyła podejrzliwie i nieco nadal spłoszona podeszła ostrożnie do niej, zaglądając pod spód łóżka.

– Faktycznie…

– Widzisz? Nie było się czego bać – odparła Twilight z uśmiechem. – Może faktycznie coś ci zaszkodziło na noc? Co powiesz na to, żeby pójść rano do Zecory? Jestem pewna, że coś zaradzi na twój problem.

– Może faktycznie? – zastanowiła się Pinkie. Po chwili dodała – A mogę spać dzisiaj u ciebie? Może wtedy zasnę normalniej…

Twilight wciąż z uśmiechem pokiwała na zgodę głową.

– Przyjaciel w potrzebie jest zawsze mile widziany. Zwłaszcza ty.

*

Nad ranem, po dobrze przespanej nocy, klacze, tak jak zapowiedziała Twilight, udały się do lasu Everfree, by odwiedzić ich dawną znajomą. W drodze Pinkie wydawała się już nieco spokojniejsza. Odzyskała wcześniejszy humor i, jak to w jej zwyczaju, podskakiwała wesoło obok swojej przyjaciółki i żartowała. Słońce zapowiadało dobry dzień.

Kiedyś straszny i mglisty las Everfree, teraz był już bezpieczny. Ogromne kwiaty wyrastały wśród pełznących po ziemi korzeni przedwiecznych drzew, kolorowe skrzydła motyli mieniły się w promieniach słońca, które prześlizgiwały się pomiędzy gęstymi gałęziami. Dom Zecory było już widać. Było to szerokie ciemnobrązowe drzewo, z którego konarów zwisały buteleczki z wywarami wymagającymi odrobiny cierpliwości. Blask świec świadczył o tym, że zielarka była na miejscu.

Urzeczona kolorowymi kwiatami Pinkie zatrzymała się na chwilę.

– Powiem Zecorze, że zaraz dołączysz – powiedziała Twilight i udała się do środka, zostawiając zafascynowaną naturą różową klacz.

Pinkie nie oddalała się za bardzo. Wciąż czasem jeszcze odczuwała lęk przed mistycznym lasem Everfree, choć teraz o tej porze dnia, wszystko było tu tak piękne.

Niespodziewanie zastrzygła uszami, słysząc coś podejrzanego. Zwróciła głowę ku miejscu, gdzie drzewa rosły znacznie głębiej. Coś jakby tam… oddychało?

Podchodząc bardzo ostrożnie, Pinkie spytała:

– Halo? Jest tam kto?

Pytanie zawisło w powietrzu.

[przywitaj się] – Przejdź do strony 109.

[siedź cicho] – Przejdź do strony 116.

[PRZYWITAJ SIĘ]

– Witaj – odpowiedziałeś.

– Twilight! – wrzasnęła Pinkie. – Ktoś tam jest!

Twilight Sparkle usłyszała krzyk przyjaciółki i wygalopowała czym prędzej.

– Co się dzieje, Pinkie?! – Twilight już rozgrzewała swój róg na wypadek ewentualnej walki.

– Ktoś jest tam w lesie, ale go nie widzę. Zapytałam, kto tam i po chwili ten ktoś się przywitał.

Twilight starała się wypatrzeć zagrożenie, ale niczego nie zauważyła. Swoją magią nie wyczuwała również niczego i nikogo podejrzanego.

– Wyjdź z ukrycia, intruzie! – rozkazała Twilight i ostrzegła – Bo będę zmuszona użyć magii!

[przywitaj się ponownie] – Przejdź do strony 110.

[siedź cicho] – Przejdź do Strony 111.

[PRZYWITAJ SIĘ PONOWNIE]

– Witam i ciebie – odpowiedziałeś na jej rozkaz.

Twilight zmroziło krew w żyłach. Wystrzeliła zklęciem w gęsty las, ale nic się nie stało. Szybko zaczęła się zastanawiać nad podobnymi stworzeniami, ale żadne z nich nie dysponowało czarem niewidzialności. Nie można od tak zniknąć. Poza tym głos wydawał się dochodzić jakby… spoza innej przestrzeni? Kiedyś w starożytnych księgach czytała o czymś podobnym, ale były to legendy. Nie, to nie mogła być prawda. Nie było innego świata poza ich własnym!

– Twilight? – Cichy głos Pinki wyrwał ją z zamyślenia nad sobie przerażającymi mitami. – Nie czuję się najlepiej.

Twilight odwróciła się w jej stronę i dostrzegła jak ta upada wyraźnie osłabiona. Jej kolor stawał się coraz bladszy. Szybko podbiegła do niej i próbowała pomóc wstać. Pinkie nie miała już sił nawet na to.

Przytrzymując przyjaciółkę, Twilight była coraz bardziej wystraszona.

– Nie wiem – mówiła nerwowo Pinkie – nie wiem, co się ze mną dzieje.

Różowa klacz drżała.

– Nie chcę odchodzić – zaczęła. – Nie chcę odchodzić.

Pinkie upadła na ziemię. Twilight nie wiedziała co robić. Nie czuła w sobie magii. Jakby i ona odeszła.

– Przepraszam, Twilight – wyszeptała.

Różowy kolor Pinkie stał się całkowicie szary. Twilight widziała tylko, jak przyjaciółka zaczyna rozsypywać się na jej oczach, a popiół rozwiewa wiatr i niesie go ze sobą. Zniknęła.

Czyli to jednak prawda, pomyślała Twilight. Nasz świat jest tylko wymysłem.

Podniosła głowę i rozejrzała się dookoła. Szare widmo zaczynało pokrywać roślinność lasu Everfree. Niektóre motyle i ptaki jeszcze przez parę chwil unosiły się w powietrzu, jednak śmierć zabierała je ze sobą, zostawiając tylko popiół. To samo zaczynało dziać się również z resztą. Las znikał na jej oczach zastąpiony ciemną pustką, która zbliżała się do niej coraz szybciej. Magia, która mogłaby powstrzymać ten proces, nie istniała.

– Narracja umiera i nic nie mogę na to poradzić – zaszlochała Twilight. – Wszystko było tylko kłamstwem i manipulacją. Żyliśmy przez cały ten czas pod kopułą historii. Całe nasze istnienie pozbawione było większego znaczenia. Nie chciałam wierzyć w te przesłanki, bo były zbyt straszne i zbyt irracjonalne. Ale to jednak prawda. Jesteśmy tylko wymysłem.

Mgła zwiastująca śmierć narracji dotarła i do niej. Spopielony las zniknął w nieprzeniknionej ciemności. Twilight nie czuła nic, kiedy jej myśli zsuwały się ku pustce.

KONIEC

Nikt się jednak nie odezwał.

– Przysięgam, że ktoś tam był! – zwróciła się do niej zawiedziona Pinkie.

Jest z nią coraz gorzej, zmartwiła się Twilight.

– Chodź ze mną. Zecora już czeka. Właśnie przygotowuje lekarstwo, które ci pomoże, żebyś lepiej spała.

Objęła Pinkie i razem udały się w stronę domu zielarki. Różowa klacz raz jeszcze tylko popatrzyła w gęsty las i zmartwiona, że rzeczywiście mogło się jej tylko przesłyszeć z powodu ostatniej nocy, nieco się uspokoiła, ale nie była nadal w pełni przekonana.

Wnętrze domu zielarki wypełniały gęste zapachy przeróżnych ziół. Panował tu półmrok. Na samym środku stał zaś ogromny kocioł, pod którym trzaskały rozpalone kłody drewna. Szarobłękitna klacz ze złotymi ozdobami na jej szyi i kopycie mieszała wywar, dodając czasem kolejne składniki.

– Gdy kucyk w sen zapaść nie potrafi, niech wpierw powie mi, co go właściwie trapi – zarymowała dostojnie Zecora i zwróciła swoje jasnoturkusowe oczy ku Pinkie.

Za każdym razem, kiedy Pinkie stykała się z Zecorą, czuła bijącą od niej mądrość i pocieszenie. Była prawdziwym darem dla Ponyville odkąd wprowadziła się tu przed laty.

– No więc – zaczęła Pinkie i podeszła bliżej kotła – zaczęło się to wczoraj…

Zecora słuchała uważnie, pilnie mieszając w jednostajnym tempie. Pinkie Pie opowiedziała jej wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Wspomniała również o tym, że trochę podjadała w czasie pracy, ale przecież zawsze tak robiła i nigdy nie kończyło się to źle. A wręcz kiedy tego nie robiła (co zdarzyło się jej tylko raz w życiu), nie czuła się sobą.

– Zmartwienia i troski przelałaś do kotła, pora na ostatni składnik: liście zmorochła. – Zecora wrzuciła zielę. Wywar zagotował się i bulgotał. Bursztynowe bańki wypływały na powierzchnię i pękały z cichutkim mlaskaniem.

Szamanka nabrała pełną chochlę eliksiru i podstawiła pod wargi Pinkie.

– Czas wypić lekarstwo, lecz ostrzegam, smakować nie będzie. Jeśli spodziewałaś się słodyczy, byłaś niestety w błędzie.

Pinkie wykrzywiła się na myśl o gorzkiej miksturze, ale nie pozostało jej nic innego. Odetchnęła raz i drugi, szybko podmuchała na przystawioną chochlę i wypiła prędko lekarstwo.

Nie jest takie złe, stwierdziła. Trochę cierpkie, ale tylko dodać trochę cukru, ozdobić tęczową posypką i można serwować każdemu.

Twilight zbliżyła się do Pinkie i powiedziała:

– Zecora twierdzi, że to najlepsze lekarstwo o jakim pomyślała, kiedy usłyszała o twoim problemie.

– W kraju, skąd pochodzę, tym właśnie leczymy bezsenne noce. Strapienia odchodzą jak za dotknięceim kopyta, kiedy ziele zmorochła ukaja jelita – potwierdziła Zecora. – A teraz idźcie przyjaciele, czeka mnie jeszcze praca. Berry Punch narzeka, że ma znów ogromnego kaca.

– Cała Berry – zaśmiała się Twilight, kiedy opuściły dom Zecory. – Nic by nie robiła, tylko przesiadywała na ławeczce i piła puncz.

– Tak… cała Berry – odpowiedziała Pinkie. Wciąż była zmartwiona mimo wizyty u zielarki. A co jeśli to nie pomoże i już nigdy nie będzie mogła normalnie zasnąć? Już nigdy nie położy się w swoim łóżku? Jak ona będzie mogła wtedy żyć!?

Twilight popatrzyła na nią z troską.

– Pinkie. Zecora naprawdę zna się na rzeczy i pod względem lekarstw jest mistrzynią. Przyznaję, sama bym chciała być w ułamku tak dobra jak ona, ale po to są właśnie przyjaciele, prawda? Kiedy nie możesz sobie z czymś poradzić, zawsze możesz zwrócić się do nich o pomoc. Jestem przekonana, że lekarstwo podziała.

Twilight zmierzwiła przyjacielsko grzywę Pinkie.

– Chcesz się pościgać? – spytała. – Kto ostatni przy fontannie, kupuje babeczki!

– Przygotuj lepiej pieniądze! – ochoczo krzyknęła Pinkie. – Muszę koniecznie podnieść poziom cukru.

*

Zadowolona z dnia Pinkie kładła się już do łóżka. Twilight tej nocy spała na wszelki wypadek w pokoju obok. Pani Cake nie miała nic przeciwko, a wręcz ucieszyła się na tę wiadomość: przyjęła chętnie Twilight Sparkle pod swój dach, bo już dawno nie gościła uczennicy samej Celestii. Rozmawiały do późna, pijąc herbatę i dojadając truskawkowym sernikiem. Pinkie, chociaż bardzo chciała zjeść coś jeszcze słodkiego, na prośbę Twilight powstrzymała się od swego zwyczaju. Było ciężko, ale powinno się opłacić.

Pinkie Pie przykryła się kocem. Ułożyła głowę na dużej miękkiej poduszce i zamknęła oczy.

Wreszcie grzeczne łóżko, stwierdziła i rozpłynęła się w przyjemnym uczuciu zasypiania w takiej miękkości. Czuła jak sen faktycznie powoli nadchodził. Myśli uspokajały się szybciej niż zazwyczaj. „Dobranoc wszystkim”, pomyślała raz jeszcze i uśmiechnęła się.

Łóżko zadrżało jeszcze mocniej niż onegdaj. Wybudzona Pinkie spadła ze strachu na podłogę. Coś podniosło je od spodu i przewróciło na bok.

– Twilight! – pisnęła najgłośniej jak się da. – To znowu tu jest!

Nie minęły dwie sekundy, kiedy jej przyjaciółka zjawiła się w drzwiach.

– Gdzie?!

– Tam! Kryje się za łóżkiem! – Pinkie krzyknęła i wskazała jej kierunek.

– Już się nie wywiniesz! – Z rogu klaczy wystrzelił oślepiający promień magii, który pochwycił cel.

Po chwili, kiedy mieniący się magią dym opadł, Twilight i Pinkie zbliżyły się ostrożnie do miejsca, w które trafiło zaklęcie. Nie wierzyły w to, co zobaczyły.

Intruz przypominał niewyrośniętego w pełni kucyka. Błyszcząca, ciemnoszara skóra mieniła się w blasku księżycowej pełni. Kopyta wyglądały, jak gdyby jakiś niedoświadczony stolarz postanowił pozbyć się części materiału, wycinając dziury i szlifując pokracznie nogi. Owadzie skrzydła zatrzymane w miejscu nie drgały. Jedynym znakiem życia były szkliste, jasnoniebieskie migdałowe oczy, które patrzyły z przerażeniem.

– Co tu robi podmieniec? – zdziwiła się Twilight. – Nie powinien być w swoim gnieździe i służyć Chrysalis?

– Może to szpieg? – zastanowiła się Pinkie. – Jesteś tu na przeszpiegi?! Mów!

Twilight zwolniła zaklęcie zatrzymania w czasie. Podmieniec upadł na podłogę i na trzęsących się nogach, wstał po chwili. Ze spuszczoną głową i przerażonym wzrokiem wyjąkał:

– Nie jestem szpiegiem. Proszę, proszę mi wybaczyć to wtargnięcie zeszłej, zeszłej nocy. Nie chciałem pani wystraszyć, ale kiedy myślałem o pani znanych wypiekach, nie mogłem, nie mogłem się wręcz powstrzymać.

Podmieniec wzniósł powoli swoją głowę i spojrzał na obie klacze ze skruchą.

– Przepraszam za to. Naprawdę nie chciałem zrobić przykrości, ale też nie mogłem tak po prostu zjawić się w mieście. Wiem, jakie szkody wyrządziła Chrysalis, i jaki stosunek mają mieszkańcy do nas, podmieńców.

Twilight patrzyła na przerażoną istotę. Pinkie nie spuszczała z niego wzroku.

– Mówi prawdę – zawyrokowała Twilight.

– Serio?!

– Tak, jestem w stanie wyczuć, kiedy ktoś kłamie. Ten podmieniec tego nie potrafi jak reszta – wyjaśniła Twilight. – Ale ciekawi mnie jedna rzecz. Jak to możliwe, że wtedy cię nie znaleźliśmy?

– To proste – powiedział z dumą podmieniec, ale spuścił z tonu, kiedy spostrzegł, że i tak wyrządził dużo szkód. – Potrafię stać się niewidzialny. To taki mechanizm obronny.

W przeciwieństwie do moich braci, którzy notorycznie kłamią i mogą stać się, kimkolwiek chcą, ja tego nie potrafię i po prostu znikam. W taki sposób udało mi się wydostać z zamku i przybyć do Ponyville. Ukryłem się pod łóżkiem, ale nie wiedziałem, kiedy mogę na osobności porozmawiać z tą słynną Pinkie. Resztę historii już znacie – skończył wyraźnie zmartwiony. – Przepraszam za to, naprawdę nie chciałem sprawić kłopotów. Powinienem już wracać do gniazda, jeśli będziecie tak dobre, jak w historiach, które opowiadają inni mieszkańcy.

Pinkie spojrzała na Twilight. Twilight na Pinkie.

– Myślisz o tym samym co ja? – spytała Pinkie.

– Czasem jest ciężko, ale chyba tak – odparła Twilight.

Podmieniec patrzył ze strachem raz na jedną, raz na drugą.

– Nie puścimy cię, kolego – zawyrokowała Pinkie.

– Nie róbcie mi krzywdy, proszę! – zawył żałośnie podmieniec.

Pinkie zaśmiała się wesolutko.

– Krzywdą byłoby cię puścić bez niczego, głuptasie! A ta – dumnie wzkazała na siebie – Pinkie Pie jest najlepszym cukiernikiem w całej Equestrii! Chodź, upiekę ci mój najlepszy specjał – powiedziała z radością Pinkie, wzięła podmieńca pod swój bok i razem z Twilight zeszli do kuchni Cukrowego Kącika.

*

Nie minęła godzina, kiedy podmieniec mógł wreszcie zatopić swoje kły w mięciutkim, miętowo-czekoladowym cieście, które było jeszcze ciepłe. Rozlało się w nim takie uczucie szczęścia, jakiego nigdy w swoim życiu nie doświadczył. Pinkie Pie patrzyła z zadowoleniem, jak podmieniec bierze kolejną i kolejną dokładkę.

– Tylko nie zjedz wszystkiego od razu, łakomczuchu – zaśmiała się Pinkie. – Mogę spakować ci coś jeszcze, żebyś miał na drogę.

– Nie chcę nadwyrężać gościnności, droga Pinkie – odparł podmieniec, uśmiechając się niepewnie – ale byłbym rad.

– Każdy ma prawo do zjedzenia czegoś słodkiego – mówiła, pakując mu w papierową torbę różne kawałki wypieków. – Ale następnym razem zapukaj do okna i nie kryj się jak złodziej pod moim łóżkiem. Przez ciebie musiałam wypić cierpkie płynne coś, bo uznali, że miałam coś z głową i…

– Pinkie! – ostrzegła ją Twilight.

– No dooobra – machnęła kopytem. – Nie było takie złe, ale mogło być słodsze. A z głową to miałam coś zawsze, bo jak tu się nie cieszyć z życia i przyjaciół. – Pinkie przytuliła się do Twilight. – Proszę, to dla ciebie, nowy przyjacielu. Mam nadzieję, że będzie smakować!

Kiedy podmieniec odleciał, Pinkie Pie patrzyła jeszcze długo w migoczące gwiazdy, opierając się o okienną framugę i wystawiając głowę ku księżycowi. Co za historia, myślała, nikt by się nie spodziewał. Żeby podmieniec faktycznie mógł znikać? I że jeszcze chował się pod jej łóżkiem?

Parsknęła ze śmiechu i zwróciła się ku tobie:

– Niezła historia, co nie? Czego sobie ten autor nie nagiął w kanonie?

Pinkie znów zaśmiała się sama do siebie.

– Coś mówiłaś? – spytała Twilight w oddali.

– Nie, kochana! Mamroczę do siebie, jak to mam w zwyczaju!

Pinkie Pie nie mogła jej powiedzieć, że coś faktycznie mogło być na rzeczy z ich światem. Była jedynym kucykiem w całej Equestrii, który odnosił to dziwne wrażenie, że jej rzeczywistość mogła być tylko fałszem. I lepiej, żeby tak pozostało. Była tu zbyt szczęśliwa, aby ta mroczna prawda podważyła wszystko, w co chciała wierzyć ona i w co nie wątpili jej przyjaciele.

KONIEC

– Pewnie się tylko przesłyszałam – wzruszyła kopytkami Pinkie. – Omamy senne – dodała chichocząc i podskokami skierowała się ku wielkiemu drzewu, gdzie Twilight i Zecora już na nią czekały.

Wnętrze domu zielarki wypełniały gęste zapachy przeróżnych ziół. Panował tu półmrok. Na samym środku stał zaś ogromny kocioł, pod którym trzaskały rozpalone kłody drewna. Szarobłękitna klacz ze złotymi ozdobami na szyi i kopycie mieszała wywar, dodając czasem kolejne składniki.

– Gdy kucyk w sen zapaść nie potrafi, niech wpierw powie mi, co go właściwie trapi – zarymowała dostojnie Zecora i zwróciła swoje jasnoturkusowe oczy ku Pinkie.

Za każdym razem, kiedy stykała się z Zecorą, czuła bijącą od niej mądrość i doznawała pocieszenia. Była prawdziwym darem dla Ponyville, odkąd wprowadziła się tu przed laty.

– No więc – zaczęła Pinkie i podeszła bliżej kotła – zaczęło się to wczoraj…

Zecora słuchała uważnie, pilnie mieszając w jednostajnym tempie. Pinkie Pie opowiedziała jej wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Wspomniała również o tym, że trochę podjadała w czasie pracy, ale przecież zawsze tak robiła i nigdy nie kończyło się to źle. A wręcz kiedy tego nie robiła (co zdarzyło się jej tylko raz w życiu), nie czuła się sobą.

– Zmartwienia i troski przelałaś do kotła, pora na ostatni składnik: liście zmorochła. – Zecora wrzuciła zielę. Wywar zagotował się i bulgotał. Bursztynowe bańki wypływały na powierzchnię i pękały z cichutkim mlaskaniem.

Szamanka nabrała pełną chochlę eliksiru i podstawiła pod wargi Pinkie.

– Czas wypić lekarstwo, lecz ostrzegam, smakować nie będzie. Jeśli spodziewałaś się słodyczy, byłaś niestety w błędzie.

Pinkie wykrzywiła się na myśl o gorzkiej miksturze, ale nie pozostało jej nic innego. Odetchnęła raz i drugi, szybko podmuchała na przystawioną chochlę, i wypiła prędko lekarstwo.

Nie jest takie złe, stwierdziła. Trochę cierpkie, ale tylko dodać trochę cukru, ozdobić tęczową posypką i można serwować każdemu.

Twilight zbliżyła się do Pinkie i powiedziała:

– Zecora twierdzi, że to najlepsze lekarstwo o jakim pomyślała, kiedy usłyszała o twoim problemie.

– W kraju, skąd pochodzę, tym właśnie leczymy bezsenne noce. Strapienia odchodzą jak za dotknięciem kopyta, kiedy ziele zmorochła ukaja jelita – potwierdziła Zecora. – A teraz idźcie przyjaciele, czeka mnie jeszcze praca. Berry Punch narzeka, że ma znów ogromnego kaca.

– Cała Berry – zaśmiała się Twilight, kiedy opuściły dom Zecory. – Nic by nie robiła, tylko przesiadywała na ławeczce i piła puncz.

– Tak… cała Berry – odpowiedziała Pinkie. Wciąż była zmartwiona mimo wizyty u zielarki. A co jeśli to nie pomoże i już nigdy nie będzie mogła normalnie zasnąć? Już nigdy nie położy się w swoim łóżku? Jak ona będzie mogła wtedy żyć!?

Twilight popatrzyła na nią z troską.

– Pinkie. Zecora naprawdę zna się na rzeczy i pod względem lekarstw jest mistrzynią. Przyznaję, sama bym chciała być w ułamku tak dobra jak ona, ale po to są właśnie przyjaciele, prawda? Kiedy nie możesz sobie z czymś poradzić, zawsze możesz zwrócić się do nich o pomoc. Jestem przekonana, że lekarstwo podziała.

Twilight zmierzwiła przyjacielsko grzywę Pinkie.

– Chcesz się pościgać? – spytała. – Kto ostatni przy fontannie, kupuje babeczki!

– Przygotuj lepiej pieniądze! – ochoczo krzyknęła Pinkie. – Muszę koniecznie podnieść poziom cukru.

*

Zadowolona z dnia Pinkie kładła się już do łóżka. Twilight tej nocy spała na wszelki wypadek w pokoju obok. Pani Cake nie miała nic przeciwko, a wręcz ucieszyła się na tę wiadomość: przyjęła chętnie Twilight Sparkle pod swój dach, bo już dawno nie gościła uczennicy samej Celestii. Rozmawiały do późna, pijąc herbatę i dojadając truskawkowym sernikiem. Pinkie, chociaż bardzo chciała zjeść coś jeszcze słodkiego, na prośbę Twilight powstrzymała się od swego zwyczaju. Było ciężko, ale powinno się opłacić.

Pinkie Pie przykryła się kocem. Ułożyła głowę na dużej miękkiej poduszce i zamknęła oczy.

Wreszcie grzeczne łóżko, stwierdziła i rozpłynęła się w przyjemnym uczuciu zasypiania w takiej miękkości. Czuła jak sen faktycznie powoli nadchodził. Myśli uspokajały się szybciej niż zazwyczaj. „Dobranoc wszystkim”, pomyślała raz jeszcze i uśmiechnęła się.

Łóżko zadrżało jeszcze mocniej niż onegdaj. Wybudzona Pinkie spadła ze strachu na podłogę. Coś podniosło je od spodu i przewróciło na bok.

– Twilight! – Pisnęła najgłośniej jak się da. – To znowu tu jest!

Nie minęły dwie sekundy, kiedy jej przyjaciółka zjawiła się w drzwiach.

– Gdzie?!

– Tam! Kryje się za łóżkiem! – Pinkie krzyknęła i wskazała jej kierunek.

– Już się nie wywiniesz! – Z rogu klaczy wystrzelił oślepiający promień magii, który pochwycił cel.

Po chwili, kiedy mieniący się magią dym opadł, Twilight i Pinkie zbliżyły się ostrożnie do miejsca, w które trafiło zaklęcie. Nie wierzyły w to, co zobaczyły.

Intruz przypominał niewyrośniętego w pełni kucyka. Błyszcząca, ciemnoszara skóra mieniła się w blasku księżycowej pełni. Kopyta wyglądały, jak gdyby jakiś niedoświadczony stolarz postanowił pozbyć się części materiału, wycinając dziury i szlifując pokracznie nogi. Owadzie skrzydła zatrzymane w miejscu nie drgały. Jedynym znakiem życia były szkliste, jasnoniebieskie migdałowe oczy, które patrzyły z przerażeniem.

– Co tu robi podmieniec? – zdziwiła się Twilight. – Nie powinien być w swoim gnieździe i służyć Chrysalis?

– Może to szpieg? – zastanowiła się Pinkie. – Jesteś tu na przeszpiegi, mów!

Twilight zwolniła zaklęcie zatrzymania w czasie. Podmieniec upadł na podłogę i na trzęsących się nogach, wstał po chwili. Ze spuszczoną głową i przerażonym wzrokiem wyjąkał:

– Nie jestem szpiegiem. Proszę, proszę mi wybaczyć za to wtargnięcie zeszłej, zeszłej nocy. Nie chciałem pani wystraszyć, ale kiedy myślałem o pani znanych wypiekach, nie mogłem, nie mogłem się wręcz powstrzymać. – Podmieniec wzniósł powoli swoją głowę i spojrzał na obie klacze ze skruchą. – Przepraszam za to. Naprawdę nie chciałem zrobić przykrości, ale też nie mogłem tak po prostu zjawić się w mieście. Wiem, jakie szkody wyrządziła Chrysalis i jaki stosunek mają mieszkańcy do nas, podmieńców.

Twilight patrzyła na przerażoną istotę. Pinkie nie spuszczała z niego wzroku.

– Mówi prawdę – zawyrokowała Twilight.

– Serio?!

– Tak, jestem w stanie wyczuć, kiedy ktoś kłamie. Ten podmieniec tego nie potrafi jak reszta – wyjaśniła Twilight. – Ale ciekawi mnie jedna rzecz. Jak to możliwe, że wtedy cię nie znaleźliśmy?

– To proste – powiedział z dumą podmieniec, ale spuścił z tonu, kiedy spostrzegł, że i tak wyrządził dużo szkód. – Potrafię stać się niewidzialny. To taki mechanizm obronny. W przeciwieństwie do moich braci, którzy notorycznie kłamią i mogą stać się, kimkolwiek chcą, ja tego nie potrafię i po prostu znikam. W taki sposób udało mi się wydostać z zamku i przybyć do Ponyville. Ukryłem się pod łóżkiem, ale nie wiedziałem, kiedy mogę na osobności porozmawiać z tą słynną Pinkie. Resztę historii już znacie – skończył wyraźnie zmartwiony. – Przepraszam za to, naprawdę nie chciałem sprawić kłopotów. Powinienem już wracać do swojego gniazda, jeśli będziecie tak dobre, jak w historiach, które opowiadają inni mieszkańcy.

Pinkie spojrzała na Twilight. Twilight na Pinkie.

– Myślisz o tym samym co ja? – spytała Pinkie.

– Czasem jest ciężko, ale chyba tak – odparła Twilight.

Podmieniec patrzył ze strachem raz na jedną, raz na drugą.

– Nie puścimy cię, kolego – zawyrokowała Pinkie.

– Nie róbcie mi krzywdy, proszę! – zawył żałośnie podmieniec.

Pinkie zaśmiała się wesolutko.

– Krzywdą byłoby cię puścić bez niczego, głuptasie! A ta – dumnie wzkazała na siebie – Pinkie Pie jest najlepszym cukiernikiem w całej Equestrii! Chodź, upiekę ci mój najlepszy specjał – powiedziała z radością Pinkie, wzięła podmieńca pod swój bok i razem z Twilight zeszli do kuchni Cukrowego Kącika.

*

Nie minęła godzina, kiedy podmieniec mógł wreszcie zatopić swoje kły w mięciutkim, miętowo-czekoladowym cieście, które było jeszcze ciepłe. Rozlało się w nim takie uczucie szczęścia, jakiego nigdy w swoim życiu nie doświadczył. Pinkie Pie patrzyła z zadowoleniem, jak podmieniec bierze kolejną i kolejną dokładkę.

– Tylko nie zjedz wszystkiego od razu, łakomczuchu – zaśmiała się Pinkie. – Mogę spakować ci coś jeszcze, żebyś miał na drogę.

– Nie chcę nadwyrężać gościnności, droga Pinkie – odparł podmieniec, uśmiechając się niepewnie – ale byłbym niezwykle rad.

– Każdy ma prawo do zjedzenia czegoś słodkiego – mówiła, pakując mu w papierową torbę różne kawałki wypieków. – Ale następnym razem zapukaj do okna i nie kryj się jak złodziej pod moim łóżkiem. Przez ciebie musiałam wypić cierpkie płynne coś, bo uznali, że miałam coś z głową i…

– Pinkie! – ostrzegła ją Twilight.

– No dooobra – machnęła kopytem. – Nie było takie złe, ale mogło być słodsze. A z głową to miałam coś zawsze, bo jak tu się nie cieszyć z życia i przyjaciół. – Pinkie przytuliła się do Twilight. – Proszę, to dla ciebie, nowy przyjacielu. Mam nadzieję, że będzie smakować!

Kiedy podmieniec odleciał, Pinkie Pie patrzyła jeszcze długo w migoczące gwiazdy, opierając się o okienną framugę i wystawiając głowę ku księżycowi. Cieszyła się, że mogła pomóc temu biedaczkowi i miała nadzieję, że ciasta będą mu smakować. Każdy ma przecież prawo zaznać trochę słodyczy w życia.

Pinkie uśmiechnęła się lekko na tę myśl. Była wdzięczna, że Twilight pomogła jej w rozwiązaniu problemu i naprawdę w głębi duszy cieszyła się, że mogły się poznać tamtego dnia. Nawet nie chciała myśleć jak inaczej wyglądałby jej świat, gdyby Celestia nie przysłałaby tej klaczy do Ponyville.

– Przyjdziesz w końcu, Pinkie? – spytała Twilight z drugiego pokoju

– Tak! – odkrzyknęła radośnie. – Nie poganiaj, bo rozleję mleko i ciastka nie będą wtedy takie smaczne!

KONIEC

Claude Monet, *Chêne-Bodmer*, *Forêt Fontainebleau* (1865)

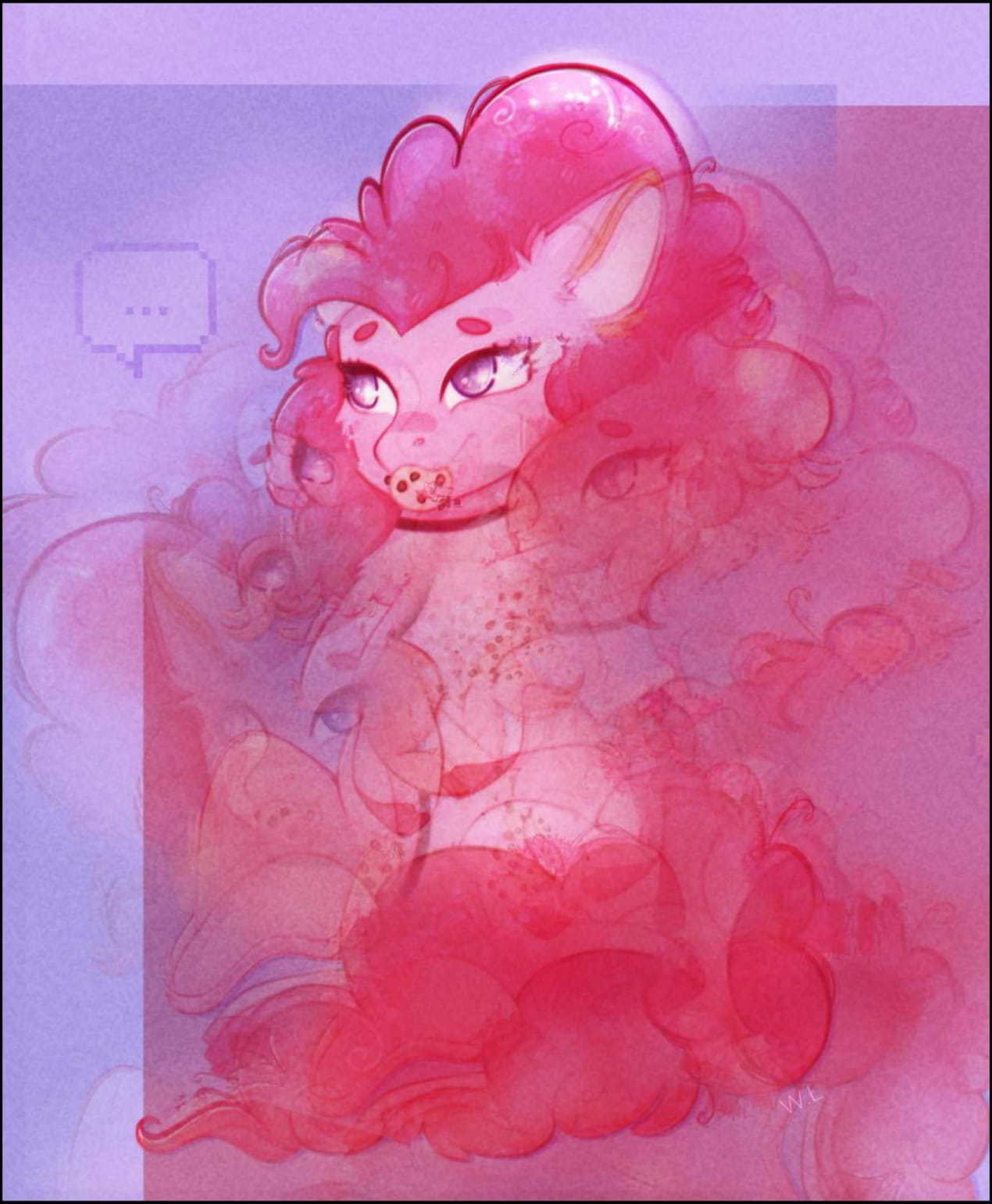

Adam Mioduszewski

Zrozumieć magię

Obrzydliwe, duszne warszawskie powietrze. Wymarzone warunki na ganianie i aresztowanie czarodziei.

Spędziła dłuższą chwilę na parkingu. Oddychała. Przygotowywała się mentalnie. W końcu wysiadła z samochodu. Żar gorącego lata trwał w najlepsze. Przyjemnie było dla odmiany ściągnąć czarny mundur i założyć coś normalnego. Plusy interwencji incognito. Zerknęła na ekran telefonu, by upewnić się czy na pewno dotarła do właściwego miejsca. Niestety. Wszystko się zgadzało.

Mag miał przesiadywać w spelunie na Kobielskiej. Znany lokal. Szczególnie znany z raportów, które dziewczyna miała nieprzyjemność oglądać. Zwykłe zgłoszenie. Prosty, szybki rajd, kilka aresztowań i formalności. Jednak nie. Trafiło się kilku spitych „patriotów". Rzeź. Trzaskali zaklęciami na lewo i prawo, zabijali cywili, siebie i co najgorsze – Inkwizytorów. Właściwie w raporcie, zdjęcia ich rozczłonkowanych ciał można było układać jak puzzle. To był pierwszy raz, kiedy dziewczyna poczuła, że służba może nie jest jednak dla niej.

Speluna? Ładnie powiedziane. Drewniana szopa, która jakimś cudem utrzymała się po tamtym rajdzie. W środku było ciemno, ale przynajmniej chłodno, a miejsce smrodu Warszawy zastąpił odór rozlanej wódki, spalonego oleju i tytoniu. Albo ruski, albo ten z mandragory – nie wiedziała co gorsze.

Jej cel leżał spity na barowym blacie. Nie ruszał się. Mimo, to widok maga, którego dotąd widziała tylko na ekranie telefonu, sprawił, że nogi dziewczyny wrosły w ziemię. Najchętniej powędrowałyby z powrotem do auta.

Z ciemnego korytarza wyłonił się pędzący z tacą kieliszków barman. Wyglądał trochę jak mokra kula. Mokra, bo cały był zlany potem, a kula, bo szeroki był i wzdłuż, i wszerz.

– Witam, złotowłosą ślicznotkę! Co polać, dzisiaj fszystko, fszystek! Na koszt firmy!

– Jakaś okazja?

– Kochaniutka! Stary przyjaciel frócił! – Kiwnął głową w stronę baru. – Zdrowie! –Wzniósł pomarańczowy kieliszek i oczekiwał, aż ktoś na sali zareaguje. Cisza. Był tylko on, ten spity mag i może jeszcze ze dwie osoby w ciemnym kącie schowane za dymem papierosów.

Wymusiła uśmiech. Wzięła głęboki oddech. Zły pomysł. Barman okropnie śmierdział potem.

– Przepraszam, gdzie znajdę właściciela?

– Już chfila! – Obrócił się̨ wokół siebie i przy okazji rozlał pół zawartości kieliszków. – A fczym mogę̨ pomóc?

Chryste.

Złapała za mokrą koszulę barmana i zaciągnęła go w korytarz.

– Kochaniutka! Ja mam kobitę!

– Głęboko jej współczuję. – Wyjęła odznakę. – Rita Gamar, Inkwizycja Warszawska.

Upuścił tacę. Trzask kieliszków i potok przekleństw. Nic tak nie otrzeźwia pijaków, jak widok srebrnego trójkąta nakłutego na krzyż. Zawsze chciała to zrobić. Srebrny błysk odznaki w przelęknionych oczach. Był to jej pierwszy raz. Przyniósł dużo, a nawet bardzo dużo satysfakcji.

– Mag przy barze – powiedziała.

– Tak. Tak… Miałem dzwonić, że pojawił się czarodziej… Wie pani, klienci, ruch…

– Co o nim wiadomo?

– To Aweł. No, Aweł, no… to dawny znajomy. Wie Pani jeszcze za dobrych czasów…

Rita spojrzała na niego srogo.

– Wybaczcie! Za czasów… no, zanim szanowna Inkwizycja nas uratowała. – Westchnął. – Aweł był w moim sabacie. Facet bardzo w porządku. Tam nie wiem, ile w tym prawdy, ale podobno to łowca demonów.

Kurwa.

– Łowca demonów?

– No, łowca demonów.

Czy każda zwykła interwencja w tej spelunie musiała być tak dramatyczna? Łowca demonów. Już przed czystką było ich mało. Latali po kraju i odprawiali rzekome egzorcyzmy. Rita zawsze uważała, że jakieś duchy, demony to wielki przekręt, ale nie mogła zlekceważyć, że łowcy demonów mieli najlepsze wyszkolenie.

– A pani, to nie za młoda na Inkwizytorkę?

Zacisnęła dłoń na odznace.

– Jestem tu bez munduru, ale nadal jestem na służbie. Dlatego bez prywatnych pytań.

– Ale jak pytam, to chyba musi się pani wylegitymować, nie? No, pani ranga?

Że też musiał.

– Rita Gamar, młodszy adept Inkwizycji Warszawskiej – powiedziała cicho.

Właściciel wyszczerzył żółte zęby. Rozluźnił się. Nawet bezczelnie zaniósł śmiechem.

– No, to ja szepnę Awłowi co nieco. Zanim zwloką się tu prawdziwi Inkwizytorzy, a nie jakaś gówniarzeria. – Ruszył w kierunku baru.

Rita zatarasowała mu przejście.

– Wyjdę stąd i wrócę z prawdziwymi Inkwizytorami. Plus z nakazem przeszukania. Bimber z bukietnicy? – Wskazała palcem na roztrzaskane kieliszki i cieknący pomarańczowy alkohol. – Immunitet nie chroni przed handlem nielegalnymi substancjami, a nakaz oczywiście nie tylko na lokal. Ciekawe, czy kobita ucieszy się na widok oskarżenia o pomoc w przemycie?

Mężczyzna zrobił się czerwony.

– Ty suko.

– Jasne możemy dodać znieważenie funkcjonariusza na służbie. – Posłała mu szeroki uśmiech. – Moja pierwsza poważna misja. Wolę być suką niż ją spieprzyć.

Stał i gapił się na Ritę. Niech tylko spróbuje rzucić na nią klątwę.

– To czego chcesz?

– Aweł. Aweł! – Barman szturchnął ciało maga. – Obudź się! Chcę ci kogoś przedstawić.

– Ty… ty… dolefasz mi spirtuuu z estragonu… – jęknął mag. – To ja zafsze chlałem więcej…

Właściciel sięgnął za bar. Wyciągnął garść zielono-białych liści. Spojrzał pytająco na Ritę. Kiwnęła głową. Wyszeptał coś pod nosem, pomachał palcami i liście zamieniły się w proszek, a ten prędko zebrał się w długą kreskę i poszybował do nosa Awła. Jak ręką odjął. Wyprostował się i wytrzeszczył oczy. Były srebrno-białe. Zimne jak lód.

– Rita – powiedziała. Podała mu drżącą rękę. Udała, że to od śmiechu.

– Aweł. – Zaciągnął się powietrzem, wytarł nos i uścisnął jej dłoń. Obrzydliwe. Że też musiała dotykać… Maga.

Zapanowała cisza. Rita mierzyła Awła wzrokiem. Ciekawe ilu inkwizytorów zabił. Był chyba młody. Chociaż wyglądał staro. Zapuszczona broda i czarne rozczochrane włosy. Do tego poplamiona biała koszula. I jeszcze krzywo zapięta. A lodowate oczy… Rita nie mogła się już doczekać, by je zamknąć.

– No! To moja siostrzenica Rita! – Właściciel objął Awła uściskiem.

– Ty nie masz rodzeństwa – odparł mag.

– To kuzynki! Kuzynka Matylda. No pamiętasz! Ta taka zakręcona. Mieszkała daleko. Wysadziła kiedyś blok jak pędziła krwawy bimber!

– Zginęła w wybuchu? – zapytał Aweł.

Barman poszybował spojrzeniem na Ritę. Kiwnęła głową.

– No widzisz! Ty sierota! Ona sierota! Już macie coś wspólnego, pogadajcie sobie. – Uciekł na zaplecze.

Ścisk w gardle. Rita czuła tylko ścisk w gardle.

– To współczuję śmierci matki. Przynajmniej zginęła z własnej ręki.

– Winię magię – odparła.

– Przynajmniej nie zabiła jej Inkwizycja. – Zaśmiał się i złapał za kieliszek. Wypił do dna.

– Dziękuję za tę pozytywną obserwację, ale była niewinna, więc Inkwizycja by jej nigdy nie tknęła.

– A nielegalna alchemia?

– Na tle innych magów, to żadna wina.

– Czyli moi rodzice musieli być zbrodniarzami.

Każdy mag był zbrodniarzem. Także w nim widziała zbrodniarza.

Cisza.

– No… Straszni zbrodniarze. Niemagiczni. Przemycali czarodziei z Ukrainy. Pomieszkali u nas. Potem sąsiedzi donieśli. To rodziców odstrzelili. Jak większość mojej rodziny. No, ale… takie czasy. – Sięgnął po butelkę alkoholu. – Napijesz się?

– Nie.

– Więcej dla mnie. – Nalał sobie do pełna. – To Rito! Zatem jeśli twoja magicznej pamięci matka Matylda była czarownicą, to domyślam się, że ty jesteś bez mocy?

– Na szczęście tak.

Mag mruknął coś pod nosem. Rita poczuła wielką dezaprobatę. Miał czelność wyśmiewać ją za brak kontaktów z magią.

– To za twoje szczęście – powiedział. Wypił kieliszek do dna. – Cholera, kiedyś to był wstyd. Teraz jesteś szczęściarzem. Najwyżej twoje dzieci będą chować się po piwnicach przed zaszczytną Inkwizycją i pieprzonym Fulkiem.

– Fulkiem? – zapytała.

– Oj – zaśmiał się. – Prawdziwa z ciebie szczęściara.

– Kto to?

– A wyjątkowo paskudny przypadek. Fulk i jego świta… no cóż. Są tym, czym Inkwizycja chciałaby, byśmy byli. Potworami. Nawet ostatnio twój wuj miał z nimi przyjemność. Urządzili tu sobie plac bojowy.

Rzeź. Raporty. Zdjęcia. Ciała Inkwizytorów rozczłonkowane jak puzzle.

– Słyszałam – powiedziała po dłuższej chwili. – Dlatego nienawidzę magii.

– Nie jest taka zła – odparł. Przeszedł za bar po kolejną butelkę alkoholu.

Nie jest taka zła? Nie jest taka zła?! Rita wyobrażała sobie setki osób, które pewnie zamordował. W końcu był łowcą. Przeszły ją ciarki.

– Widzę po minie, że raczej się nie zgadzasz. Jak żeś się wychowała z matką czarodziejką?

– Proste. Szybko zginęła. Przez magię. Więc ciężko zmienić stare skojarzenia.

– Ciężko, ale nie jest to niemożliwe.

– Może zaproponuj to Fulkowi? – zapytała prześmiewczo.

– Wyobraź sobie, że zamierzam. – Uśmiechnął się. – Może nawet zechcesz mi pomóc? Chcę wypędzić z Fulka demona.

– Demony nie istnieją. – Zaśmiała się.

– Myślałem, że lepiej was w tej Inkwizycji uczą.

Kurwa.

Broń. Srebrny, czarny łańcuch z paska. Worek z proszkiem. Nastroszyła się jak kot. Czekała. Nie wiedziała czego się spodziewać. Może już umarła?

Aweł zamknął oczy. Kurwa, rzucał zaklęcie. Otworzył paszczę. Podniósł łapska. Rita odskoczyła gotowa na unik i... Ziewnął. Przeciągnął się.

– Zapalimy na zewnątrz? – Wyciągnął ku niej paczkę papierosów. – Może chociaż tym uda mi się ciebie zgorszyć?

Stali w ciszy. Nie wzięła papierosa. Lubiła zapalić, ale nie z magami.

Obserwowała Awła. On nawet na nią nie patrzył. W woreczku był pył usypiający. Rzuciłaby go w momencie jego zaciągania się papierosem. Padłby. Już sięgała do tylnej kieszeni, gdy Aweł rzucił niedopałek na ziemię i pstryknięciem palca spalił resztę w magicznym płomieniu.

– Bądź eko – powiedział. – To jak robimy?

– Co robimy? – zapytała wyrwana z własnych myśli.

– Rozstajemy się? Pomagasz mi, czy mnie aresztujesz?

Cisza. Cisza. Chryste Panie, no chyba nie zgodzi się na aresztowanie.

– Aresztowanie?

– Pytasz mnie?

– Aresztowanie – powtórzyła głośniej.

– Dobra. Podaj przyczynę – powiedział roześmiany.

– Mam... nakaz aresztowania. I informację anonimową o magu... Przemytniku. I niebezpiecznym użyciu magii w miejscu publicznym! A jako funkcjonariusz na służbie jestem w stanie to potwierdzić. Widziałam to zaklęcie! Na niedopałku papierosa! Magia została użyta! Tu! W miejscu publicznym! – krzyknęła. Czemu krzyknęła? Czemu się tak stresowała?

Aweł wyjął kolejnego papierosa. Pstryknął pałacami, a końcówka papierosa rozżarzyła się ogniem. Zaciągnął się.

– Pani władzo. Pani sobie żartuje...

Papieros upadł na ziemię. Polała się krew. Aweł dostał w twarz. Pięścią. Owiniętą w srebrny łańcuch. Rita zamachnęła się łańcuchem. Metaliczny bicz uderzył w ziemię, gdzie przed chwilą stał mag. Już go tam nie było.

– Szkoda – szepnął zza jej pleców.

Szybciej. Łokieć w brzuch. Pięść w głowę. Łańcuch leżał już wokół jego szyi. Zniknął.

– Uciekasz! – krzyknęła Rita. – Winny zawsze ucieka!

Maniakalnie kręciła się wokół siebie. Wymachiwała łańcuchem. Szukała. Szukała. Gdzie ta gnida? Za drzewem? Za samochodem? Bar? Za barem? Pobiegła do wejścia. Była już na progu. Czuła już smród tytoniu. Alkoholu… Trudno. Sięgnęła po pistolet. Z pustymi rękami do Inkwizycji nie wróci.

– Kompletnie cię już posrało?

Rita okręciła się na pięcie. Jeden. Drugi. Trzeci. Pudło. W wejściu stanął spocony barman, przyciągnięty odgłosami wystrzałów. Rita wycelowała w niego pistolet.

– Jeden ruch, jedno zaklęcie i...

– I zamordujesz go? – Aweł pojawił się centralnie przed luftem pistoletu. – Święta Inkwizycja godna…

Wycelowała niżej. Dostał w nogę. Syknął z bólu. Padł na ziemię. Spocony barman krzyknął. Machał rękami. Rita wycelowała i w niego. Drugą ręką wyciągnęła woreczek z prochem. Wcisnęła w mordę leżącego maga. Szary pył rozlazł się po ustach, nosie, policzkach i tych lodowatych oczach, które prędko się zamknęły, a ciało czarodzieja upadło bezwładnie na ziemię.

– Pierdoleni magowie.

Barman wcisnął ciało Awła na tylne siedzenia samochodu. Odetchnął, gdy wyczuł puls. Jednak nie odezwał się nawet słowem. Nie protestował. Pistolet był dobrym negocjatorem.

– Będę zabiegać o unieważnienie pańskiego immunitetu – odrzekła Rita. – Inkwizycja odwdzięcza się tylko tym magom, którzy pomagają w dochodzeniach. Pomagają w namierzaniu innych magów. Pan natomiast ...

Nie czekał, aż dziewczyna dokończy. Odszedł.

Rita trąbiła, wrzeszczała i wyzywała innych kierowców. Przemierzała kolejne dzielnice stolicy zmagając się z równie paskudnym wrogiem. Tym niemagicznym i nieobliczalnym. Warszawscy kierowcy, którzy zaraz po dotknięciu kierownicy, odchodzili od zmysłów i przeklinali każdą napotkaną istotę za samą jej egzystencję.

Przedostając się wreszcie na Śródmieście i widząc w oddali wieżowiec Inkwizycji, poczuła wreszcie, jak stres zaczął z niej schodzić. Jeszcze chwila. Chwila i będzie po pierwszej misji. Będzie miała to za sobą.

Huk. Jęk. Rita aż podskoczyła na dźwięk inkwizycyjnego nadajnika. Odebrała.

„Śródmieście. Metro Centrum. Mag. Publiczne wykorzystanie magii. Zorganizowana akcja terrorystyczna. Są ranni i zakładnicy."

Co?

„Powtarzam mag posługujący się publicznie magią! Zorganizowana akcja TERRORYSTYCZNA. Są ranni i zakładnicy. Wszystkie jednostki mają natychmiast przerwać wszelkie działania i pomóc w neutralizacji zagrożenia!"

Kurwa.

Skręciła ostro. Wjechała pod prąd w jakaś boczną ulicę. Włączyła awaryjne.

Kurwa.

Jej zmartwieniem był mag leżący na tylnym siedzeniu, nie jakaś akcja terrorystyczna. Spojrzała w lusterko.

Aweł miał półotwarte oczy.

Kurwa.

– Wszystkie jednostki mają natychmiast przerwać wszelkie działania – powtórzył powoli.

Rita wybuchnęła śmiechem. Wyszła. Wyciągnęła papierosa. Spojrzała na maga przez szybę i odeszła. Daleko.

Jest związany. Nie ucieknie. Zawiezie go do aresztu. Zostało z półtora kilometra. Są korki, ale potem prosto do Centrum. A tam będą ciała. Ciała Inkwizytorów. Ciała jej znajomych. Znowu. Jak na raportach z tej speluny. Prosta akcja? Prosta akcja. Prosta akcja dla początkującej Inkwizytorki. Zrobiła wszystko, jak trzeba. Potraktowała ich jeszcze polubownie. Złapała swojego pierwszego maga. Jedna akcja na dzień jej starczy.

Aweł uchylił szybę. Z wnętrza samochodu dobiegał wrzask.

„Potwierdzam. Akcja terrorystyczna. Wszystkie jednostki natychmiast do Centrum! Mag! Mag! Mnóstwo! Mnóstwo rannych!"

– To Fulk – odrzekł Aweł. – Żaden normalny mag nie jest terrorystą.

– Wszyscy jesteście terrorystami! – wrzasnęła. – Wszyscy! Tylko zabijacie i zabijacie. Bawicie się tą magią!

– A ty nie jesteś terrorystką?

– Przezabawne. Jeszcze słowo i postrzelę cię w drugą nogę.

– Hojna pani, postrzeliła mnie tylko raz. Dziękuję.

Rita wyjęła pistolet i wycelowała w łeb czarodzieja.

– Jeszcze słowo.

– Spójrz w lewo.

– Żebyś mógł wyrwać mi pistolet? – Zaśmiała się nieprzekonana.

– Po prostu spójrz.

Rita zerknęła w bok, nie odwracając twarzy od maga. Na początku uliczki stał mały tłum ludzi. W przerażeniu obserwował Ritę i Awła. Młodą dziewczynę, która przystawiała pistolet do zakrwawionej głowy pobitego i związanego mężczyzny. Słyszała, jak ktoś krzyczał. Ktoś inny wzywał policję. Gdy na nich spojrzała, połowa uciekła, mało się nie zabijając.

– I to ja jestem tu terrorystą? – zapytał mag.

Nie potrafiła odpowiedzieć. Jej twarz. Gorąco. Było jej tak strasznie gorąco. Schowała się do samochodu i prędko odjechała. Zostawiając spanikowany tłum za sobą.

Łapała oddech. Łapała. Szukała go, ale nie mogła zaczerpnąć dość powietrza, by opanować emocje.

„Do wszystkich jednostek. Metro. Centrum. POMOCY."

To dopiero była rzeź. Nieduży plac. Centrum Warszawy. Zawsze było tu tłoczno, ale nie tak. Wrzask. Krzyk. Krew. Wszyscy. Wszyscy gnali, byle jak najdalej od metra. Ziemia się trzęsła. Tylko dwójka ludzi zmierzała do wejścia. Dziewczyna i kulejący mężczyzna.

– Za dużo ludzi, nigdy tam nie zejdziemy – krzyknęła Rita.

– Teleportowałaś się już kiedyś? – zapytał Aweł.

Pierwszy dzień na własnej misji. Pierwsze samotne spotkanie z czarodziejem. Pierwsza akcja terrorystyczna. To i pierwsza teleportacja.

Aweł złapał ją za dłoń. Rita wzdrygnęła się przed jego dotykiem.

– Zaufaj.

Wyszeptał coś pod nosem. Oczy zapłonęły srebrnym blaskiem.

I byli już pod ziemią. Na stacji metra. Wśród setek wystraszonych oczu. Niektóre żywe, niektóre już nie. Ale wszystkie i tak gapiły się prosto na nich.

Gruz. Ciała. Ubrania. Krew. I to czego Rita obawiała się najbardziej. Mundury Inkwizycyjne. Uzbrojona w czarny, srebrny łańcuch i pistolet szukała winnego.

Ryk. Nieludzki ryk. Jakby ktoś zażynał zwierzę. Dochodził z torów.

Nagle cały tłum ludzi został rzucony w bok. Ciało leciało za ciałem. Formując falę, w której znalazła się i Rita, i Aweł.

Srebrny błysk.

Nagle stali przy torach, obserwując, jak setki ludzi zbitych w latającą masę uderza o ściany metra. Ciało o ciało. Kości o kości. Skowyt bólu.

To był sen. To był koszmar. Błagała, by to był koszmar.

– Czarodziej!? – ryknął zwierzęcy głos.

Z ciemności tunelu metra wyłonił się... potwór. Wysoki, muskularny mężczyzna, albo przynajmniej to, co po nim w tym momencie zostało. Kupa cielska pokryta czerwonymi żyłami i ciemną sadzą. Głowa, z której dobiegał ryk, wykręcała się i obracała we wszystkie strony.

– To nadal człowiek, ale jest tworem Fulka. Wpędził w niego demona – powiedział Aweł załamującym się głosem.

– Fulk! FULK… wyzwolił. FULK… pokazał drogę! Odzyskać władzę!

To coś zarechotało szalonym śmiechem.

– Proch, którym mnie potraktowałaś. Masz go?

– Jeden woreczek. – Rita trzymała go w gotowości.

– Czyli jedna szansa. Musimy go obezwładnić. Inaczej nie przeprowadzę egzorcyzmu.

W tym momencie zakrwawione ślepia kreatury rozbłysły, a jego łapa zacisnęła się w powietrzu. Rita poczuła ścisk w pasie. Jej nogi straciły kontakt z ziemią. Poszybowała w górę. Zaczęła panicznie krzyczeć. Zawisła w powietrzu, gdy coś ją mocno szarpnęło. Poleciała do tyłu. Upadła u stóp Awła.

Dostrzegła, że jego oczy też błyszczą, a w dłoni dzierży jakieś zaklęcie.

– Uciekaj.

Nie musiał powtarzać. Schowała się za rozwaloną ścianą.

Z rozżarzonej dłoni Pawła poszybowała salwa srebrnych sztyletów. Potwór odbił je z łatwością.

– ZDRAJCA! Zdrajca krwi! – ryknął stwór.

– Mówisz o Fulku? – wrzasnął Aweł.

W tunelu metra widać już było światła pociągu.

– Bydło. Życie ukradli! My się żywić NIMI! Nie oni NAMI! My mieć magię!!!

– TAK! My mamy magię. Chronimy nią, a nie wybijajmy!

Ryk. To był agonalny ryk. Krwawy blask. Martwe zwłoki i ludzi, i Inkwizytorów uniosły się ponad tory. Niczym rzucone z katapulty poleciały wprost w Awła.

– ZDRAJCA!!! Mord swego pasterza!!! – potwór zaskrzeczał zwierzęcym głosem.

Rita wcisnęła plecy w ścianę i zamknęła oczy. Rozbłysk blasku. Aweł stał już obok niej. Złapał jej dłoń. Upadł na ziemię.

– Zrób coś! – wrzasnęła.

– Gdybym nie miał postrzelonej nogi, może byłoby łatwiej!

BUM. HUK. PYŁ.

Nie wiedziała, gdzie jest. Straciła ścianę za plecami. Lawina. Widziała tylko chmurę pyłu. I wagon metra. Szaleniec cisnął w nich wagonem metra! Widziała plecy stwora. Zakrwawione. Poszarpane. I wystające kości.

Była sama. Aweł ją teleportował. Trzymała woreczek.

Zacisnęła pięść na łańcuchu. Poleciał. Kark. Oplótł szyję. Ramię. Syczący opar gorąca uniósł się znad ciała potwora. Monstrum zawyło.

Rzuciła się na niego z woreczkiem. Nie rozpylił proszku.

KURWA.

Walnęła bestię pięścią. Raz. Dwa. Łańcuch pękł. I... poszybowała w powietrze. Potwór ryczał. A może to Rita wrzeszczała.

Pistolet! Raz. Dwa. Cztery. Sześć. Upadła na twardą, skąpaną we krwi ziemię. Zabolało. Nie mogła ruszyć prawą ręką. Rzuciła się po leżący woreczek. Nie było szans podejść znowu do potwora. Uciekła. Uciekła w gruz. Szukając srebrno-białych oczu.

Aweł leżał przygnieciony dwiema betonowymi płytami. Zmiażdżone nogi. Przygniecione ciało. Znalazła go. Odnalazła jego rękę. Spojrzał na nią. Uśmiechnął się i…

Błysk.

Całą zawartość woreczka rozgniotła na mordzie potwora. Zakręcił się. Próbował zachować pion. Podniósł łapę. Ale Rita nie poczuła, by wzbijała się w górę. Wręcz przeciwnie. To potwór upadł.

Padł.

Aweł.

Podał jej rękę. Widziała tylko połowę jego twarzy. Reszta była pokryta gruzem.

– Teleportuj się!

– Niczego cię w tej Inkwizycji nie uczą… magowie mają limity.

Obserwowała go z niedowierzaniem.

– To czemu mnie teleportowałeś!?

– Rito. – Próbował się zaśmiać. Przygniecione płuca nie pozwoliły. – Przecież mówiłem, że mam postrzeloną nogę.

– Co teraz?

– Pomożesz mu. To nie Fulk..., ale to jedna z wielu ofiar. Przeprowadź egzorcyzm.

Rita wybuchła panicznym śmiechem. Chyba też uroniła łzę.

– Nie jestem wiedźmą!

Resztką sił przyciągnął ją do siebie. Wyszeptał kilka słów. Rita nie potrafiła przestać słuchać. To była herezja. To była nienawiść jej życia. Ale zgodziła się.

– Pomóż mu…

Głośny huk pistoletu ogłuszył ją na moment. Spojrzała na Awła. I na ranę po pocisku w miejscu jasnego blasku oczu. Był martwy. Rita wrzasnęła.

– Halo! Słyszysz mnie!? – Obcy głos dobijał się do niej. Ktoś szarpnął ją za ramię. – Ten mag! Opętał cię?! Jesteśmy ze wsparcia. Gdzie są inni terroryści?

Obcym mężczyzną był w mundurze Inkwizycji. Osłupiona gapiła się, jak wypytuje ją o całą sytuację. W dłoni dalej trzymał pistolet, którym zastrzelił Awła. Awła leżącego pod gruzami. Bez nóg. Z wyciągniętą dłonią. Wyciągniętą do Rity.

–… masz szczęście, że cię zauważyłem wśród tych gruzów. Inaczej pewnie to szatańskie bydle by cię rozszarpało.

Wyrwała się z jego uścisku.

– Spokojnie! No, masakra, ale już wszystko w porządku!

– Tam. Tam jest jeszcze jeden potwór… – Rita wskazała na tunel metra.

Inkwizytor poderwał się i ruszył ku ciemności. Odwrócił się w poszukiwaniu kolejnego czarodzieja.

– Gdzie? Nie widzę!

Padł na ziemię postrzelony w głowę. Rita schowała pistolet. Spojrzała na ciało Awła. Spojrzała na ciało potwora. I na ciało Inkwizytora.

Uciekła.

Käthe Kollwitz, *Hunger*, 1923

Ida Cylwik

Nawojka

Zmierzch okrył chłodnym półmrokiem połacie mgły unoszące się nad kamienną drogą prowadzącą do wioski. Słomiane strzechy zdawały się nagle wyłaniać z białych kłębów, górując nad ukrytymi pod nocną osłoną z wilgoci i ciemności drewnianymi chatami. Jedynym źródłem światła, napawającym nadzieją na odnalezienie domowego ognia, były tlące się latarenki, zawieszone na palach wzdłuż drogi, latarenki, których ciepłe, choć rozdygotane światło zdawało się toczyć cichą, nierówną walkę z mrokiem i zimnym, groźnym blaskiem księżyca.

Droga wyłożona nierównymi kamieniami pięła się w górę, gdyż wioska położona jest na wzgórzu, stanowiąc jakby ostatnią bezpieczną wyspę pośród morza ciemnej puszczy pełnej mchu, paproci i drzew pamiętających czasy, gdy żaden człowiek po ziemi nie chodził. Nocna pieśń rozbrzmiewa nad osadą, żegnając odchodzący dzień, dołączając do chóru świerszczy, szumu potoku oraz drzew.

W tym miejscu ludzie boją się nocy.

Boją się nocy, bowiem pod jej czarną osłoną dzieją się rzeczy dziwne, a właśnie tu ciemność, okazuje się być gościnna jedynie dla światła księżycowego. Lecz nawet ono zdaje się być wrogiem, bo każdy wie, że w świetle księżycowym przedmioty zmieniają się i nierozsądnie jest ufać wzrokowi. Osada znajduje się daleko od innych wiosek, przez co ciepła łuna ich światła zaczyna wplatać się złotymi nićmi w całun nocnego nieba dopiero w połowie gościńca, gdzie osady już od dawna nie można dostrzec za plecami.

Najodważniejsze leśne duchy pojawiają się zawsze z pierwszymi gwiazdami. Przysiadają nad strumieniem, przyglądając się swoim odbiciom, w oczekiwaniu na nadejście nocnej ciemności. Jedynie w jaśniejsze noce ludzkie oko jest w stanie dostrzec ich przezroczyste ciałka, skupiające w sobie światło księżyca. Cierpliwie czekają, aż niebo przybierze odcień ciemnego granatu, te mniej odważne wyruszą dopiero, gdy spowite będą nieprzebraną czernią. Wtedy kroczą w mroku, wstępując w niemym korowodzie między uśpione chaty. Przysiadają na dachach, zaglądają przez okna, z niewysłowioną tęsknotą lgnąc do drewnianych ścian. Przynoszą ze sobą jedynie przenikliwy chłód, wciskający się szparami do domostw. Starzy mówią, że to dusze zaginionych w lesie osób, których ciała, nieodpowiednio pochowane, zdążyły już pożywić ziemię, korzenie drzew

lub zamieszkujące puszczę biesy. Jednak równie dobrze mogą być to jedynie projekcje dziecięcej wyobraźni powstałe wskutek strachu przed nocną ciemnością.

A tymczasem chłód.

Tej nocy wdziera się do domostwa równie bezszelestnie, co srebrzyste światło księżyca, ujarzmiając nawet rozżarzone ogniem wnętrze pieca. Przygasza nieśmiały płomień, po czym po cichu wsuwa się pod kołdrę Nawojki.

Tej nocy Nawojkę dręczą senne zjawy. Chłód nocnych duchów wdziera się nawet pod jej zamknięte powieki, ukazując oczom swe przeraźliwe oblicze. Nawojka tej nocy śni o siostrze. Widzi jej wykrzywioną w dziwnym grymasie twarz i martwe spojrzenie. Jej usta poruszają się, jakby zastygło na nich jedno słowo.

– Cieplej... cieplej... – powtarza raz po raz, jakby w transie, patrząc przed siebie bez wyrazu. Jakby ten chłód przenikliwy odarł ją z wszelkich emocji. I nie słyszy głosu Nawojki, co to ją przez portal snu i jawy nawołuje do domu.

– Cieplej... cieplej...

Usta niegdyś w kolorze dzikiej róży, sine są teraz i drżą przy słowach z taką obsesją bezustannie wypowiadanych. Oczy otwarte, ale niepatrzące w żadnym kierunku. Nie ma w nich tego blasku świeżego, co lśni jak słońce w kroplach porannej rosy. Gdzieś daleko ulotnił się z niej urok, który każdy uśmiech kradnie i chowa w sercu. We śnie Tamira niczym nie różni się od podartego przez wiatr stracha na wróble. Jak opadnięty pączek leśnego kwiatu, co unieść się chce do słońca, szepce cicho:

– Cieplej... cieplej...

Ale za nic nie może odnaleźć ciepła.

* * *

Świt budzi się, rozpraszając gęstwę nocnego mroku błękitną jutrzenką. Światła unoszą się wyżej i wyżej nad linię ciemnego lasu, rozlewając się różową poświatą na horyzoncie, by w końcu opaść na osadę, wlewając się przez okna do domostw. Ludzie tutaj budzą się wraz ze świtem, kiedy ostatnie nocne duchy, mimo, że nadal nienasycone ciepłem ognia i żywych ciał, nikną za ciemną zasłoną lasu, gdzie słoneczne promienie nie mogą ich dosięgnąć. Dzieci biegają po polnych drogach boso, gasząc latarnie tlące się jeszcze po nocy. Handlarze ładują wozy, by wyruszyć z pieśnią na ustach ku innym odległym wioskom lub ku zamkowemu targowisku, kilka mil od osady, u podnóży piętrzących się mglistych gór.

Nawojka budzi się, gdy pierwsze promienie drzemią jeszcze za linią horyzontu. Splata z włosów gruby warkocz i czym prędzej wychodzi z chaty, by nanieść wody dla ostałych im kóz, po czym wyruszyć na pole, pomóc matce w robocie. Światła przebijające się przez świeże liście, podobne soczystym kolorem do barwnych szkiełek zamkowych witraży, padają na polną drogę, którą żwawo kroczy Nawojka. Ziemia nagrzewa się w słońcu, docierającego niemal do każdego zakamarka, do każdej mysiej nory i sowiej dziupli, lecz niebędącego w stanie przeniknąć gęstej korony zaklętego lasu. Nawojka za każdym razem, idąc polną drogą, patrzy w puszczę, próbując wzrokiem przeniknąć jej tajemnice. Co skrywać się może w tej gęstej ciemności, z której wyrastają ciemne, stare drzewa i gęste paprocie?

W tym miejscu ludzie boją się lasu.

Po powrocie do chaty, zastaje dziwną pustkę. Stół niezastawiony, wiaderko na wodę puste, polne kwiaty wyschnięte w glinianym wazoniku. Brak żywej duszy, krzątającej się wesoło wokół. W środku smutna cisza, zakłócana jedynie odgłosami porannej krzątaniny z innych domostw i światło spod wąskiej szpary pod drzwiami, ukazujące niezamiecioną jeszcze podłogę. Nawojka zastyga na moment w bezruchu i woła po imieniu tę, której brakuje. Raz i drugi, jednak bezskutecznie. Głuche milczenie odpowiada na jej wezwanie. Obraz siostry staje jej nagle przed oczami. Nie tej jednak, którą spodziewałaby się ujrzeć, ale tej drugiej – zimnej, nocnej zjawy. W jednej chwili wspomnienie koszmaru uderza ją, kradnąc oddech.

Chatę, choć niewielką, z gorączkową dokładnością przeszukuje dwa razy, po czym wybiega, z imieniem siostry na ustach. Słychać w tym okrzyku gęstniejący coraz bardziej strach. Od chwili, w której drzwiami do domu trzasnęła gwałtowniej niż górski wiatr, biega po osadzie, pyta ludzi i wykrzykuje imię siostry, wiedziona złym przeczuciem. Na pole, do matki pracującej w pocie czoła z innymi kobietami, także biegnie, sprawdzić, czy siostry przy matce nie ma, pomimo wewnętrznej pewności, że jej tam nie znajdzie.

– Kiedy ostatnio Tamirę widziałaś? – woła zrozpaczonym głosem już z daleka, zbiegając z drogi w pole w kierunku grupy pracujących kobiet. Uwiesza się u ramion starej wdowy, jakby miała się osunąć na ziemię.

– Mówiła co do ciebie? Gdzie idzie, co robi?

Oczy starej patrzą przez chwilę w przestrzeń, szukając odpowiedzi, po czym kręci tylko głową powoli.

– Od świtu do zmroku oram pole, pracuję za dwoję, cóż mogę wiedzieć, na boga! Od rana Tamiry nie widziałam.

– A i nikt prócz ciebie od tamtej pory nie widział, nie słyszał? – pyta Nawojka przesuwając wzrokiem po poczerwieniałych od pracy twarzach reszty kobiet, na co one przecząco kręcą głowami.

– Pewno zabawia się gdzieś, by od roboty uciec – odzywa się jedna z nich, opierając ciężar spracowanego ciała na drewnianym trzonie grabi.

Nawojka patrzy w twarz swej matki, pomarszczoną i spaloną od promieni słońca.

– Ani duszy po niej, jeno koszmar, blada w nim była i majaczyła, czy możliwe, że w las pobiegła? Że licho ją porwało?

Wdowa blednie nagle. Kobiety wydają z siebie okrzyk, zasłaniając twarze dłońmi.

– W imię ojca i syna... – mamrocze jedna z nich żegnając się pospiesznie, jakby chcąc odegnać złe duchy. – Matko jedyna... Zjawa senna, biedne dziecko...

Matka osuwa się na ziemię, zaciskając dłonie na skrawku ciężkiej spódnicy, trzęsąc się w konwulsyjnym, rozpaczliwym krzyku.

– Dziecko... – szlocha rozpaczliwie. – Tyle razy wam powtarzałam, żeby do lasu nie wchodzić. Moje biedne dziecko!

Nawojka zastyga w przerażeniu.

– Nieszczęsna! – szlocha jedna z kobiet obejmując wdowę. – Jako nocny duch powróciła do was ciepła szukać i koszmarami tylko swą obecność może ukazać. Póki ciało jej niepogrzebane, będzie tu jej duch cierpieć i po kres nas dręczyć. Nigdy nie odejdzie! Nieszczęsne dziecko!

Nawojka w głuchej rozpaczy pada na kolana przed matką wyciągając do niej ręce. Odkąd rano przypomniała sobie nocne oblicze Tamiry, towarzyszyło jej duszące przeczucie, prawie pewność. Jednak i tak ciężar potwierdzenia zwalił ją teraz z nóg i odebrał mowę. Przez zaciśnięte gardło przechodzi jedynie rozdzierający szloch.

* * *

Wczesnym wieczorem do daremnego, pozbawionego już złudzeń nawoływania przesyconego rozpaczą, dołącza chór głosów, próbujących pomóc w odnalezieniu nieszczęsnego dziewczęcia, a gdy na niebie pojawiają się pierwsze gwiazdy, w okrzyku, który wydziera sobie z piersi ostatkiem sił Nawojka, słychać już tylko rozdzierającą pewność, że Tamira do domu nie wróci.

– Pozwolę ci matko, opłakać Tamirę w pokoju – mówi Nawojka siadając obok kobiety, na progu domu. Sama kręcące się w oczach łzy ociera wierzchem dłoni

– Lecz duchem się martwić nikomu nie pozwolę. Siostrę do domu sprowadzę, żywą czy martwą. Pójdę w przeklęty las, odwracać się nie będę za siebie, tak jak kłusownikom każe

guślarz. Wrócę dopiero, gdy odnajdę jej ciało. Mamy obowiązek ją pogrzebać, jakiej ceny zapłacić byśmy nie miały. O świcie więc wyruszę, zmorom się nie dam oszukać, nie zawaham się ni razu, to ci właśnie przyrzekam.

Matka patrzy w oczy swej córki błyszczące taką pewnością, że dreszcz jej po plecach przebiega.

– Nawojko najdroższa, w lesie tym tyle trupów co i drzew, nawet kroczący w boskiej sprawie śmierci nie oszuka! Rozum postradałaś z cierpienia!

– Być może postradałam, lecz winnam jej, jako siostra siostrze, że odpocznie w pokoju. Ty ją opłacz, resztę zaś pozostaw mnie.

To powiedziawszy, z ziemi wstała i zarzuciła na ramiona ciężki płaszcz po ojcu. Wzięła w rękę latarnię jarzącą się małym płomieniem i zniknęła w cieniu nocy niczym jedna z sennych zjaw.

* * *

Wkraczając w ciemność leśną, z cichą modlitwą na ustach, Nawojka mija przezroczyste dusze nocne, zmierzające w przeciwną stronę – do ciepła wioski położonej na wzgórzu, ostatniej bezpiecznej wyspy przed zaczarowaną otchłanią puszczy. Im dalej w las się zagłębia wąską dróżką wydeptaną przez myśliwych i głupców, co to do lasu z ciekawości chodzą, tym wyraźniejsze stają się duchy, przybierając kształty podobne prawdziwym ludziom. Nawojka stara się nie przypatrywać im, a tym bardziej nie patrzeć w oczy, chowając spojrzenie pod ciężkim kapturem opadającym na czoło, jednak cicha nadzieja na dojrzenie w tym niemym pochodzie Tamiry, od czasu do czasu każe jej unieść wzrok. Wtedy przed sobą widzi zaczarowane drzewa o popękanej korze, koronami sięgające tak wysoko, że zdają się wplatać grubymi gałęziami w gwiezdny płaszcz nocy. Wokół cisza głucha, jednak wypełniona odgłosami. Nawojka słyszy szum liści, smętne dźwięki ptaków nocnych, czasem odległe wycie, lecz nie wie, czy to naprawdę, czy tylko w jej głowie. W tym lesie projekcjom umysłu trzeba ufać – tak mówił guślarz. Czasem przerażony umysł dopowiada sobie różne dźwięki, kątem oka widzi ruch – jednak w zaklętej puszczy, strachy wewnętrzne ożywają i zdają się kroczyć wraz z Nawojką, chowając się za drzewami. Tylko migoczące księżycowym światłem duchy stawiają kroki w ciszy, bezgłośnie poruszając ustami.

– Jak wielu musiało w tym lesie zginąć i zostać pochłoniętymi przez korzenie drzew, bez należytego pochówku – myśli Nawojka, czując pokusę, by odwrócić się za siebie i objąć wzrokiem wszystkie dusze zmierzające w kierunku wioski. Wie jednak, że gdy odwróci się, spojrzy

lichu, które za nią idzie, prosto w oczy, co oznaczałoby śmierć. Mocno ściskając w ręku latarenkę, kroczy więc przed siebie wątłą ścieżką, która z każdym krokiem zdaje się zwężać.

Im dalej idzie, tym bardziej w głowie jej się kręci. Powietrze staje się gęste, mgliste, nasycone wonią leśnych kadzideł mamiących wędrowców. Słyszy stłumione śpiewy. Nie wie, czy to rusałki, które porwać ją mogą za włosy w głębiny leśnych stawów, by jedną z nich z Nawojki uczynić, lecz na wszelki wypadek włosy chowa głębiej pod kapturem.

W zaklętej puszczy czas zdaje się rządzić innymi prawami, raz zwalniając, raz zatrzymując się całkowicie. Nawojka nie wie, czy idzie kilka minut, czy kilka dni, bo im dalej w las, tym gęstsze powietrze i miesza się jej w głowie. Tak jak kurczowo zaciska palce na rączce latarenki, dającej jedyne ciepłe światło, tak uparcie stara się trzymać powodu, dla którego wkroczyła w ciemną otchłań. Jednak powód ten zdaje się jej zmęczonemu umysłowi umykać, jak piasek przesypujący się przez palce. Czuje, że mamią ją zjawy leśne, czekające aż wzrok odwróci za siebie, by spojrzeć w ich ciemne, wygłodniałe twarze i poddać się ich woli. Mgła zasłania jej stopniowo rozległą przestrzeń leśną, przypominającą w swym strzelistym majestacie wnętrze gotyckiej katedry. Wkroczyła w leśną głębie, gdzie już nawet dusze przestały mijać ją w drodze do ciepła.

Czuje tylko przytłaczającą obecność licha, kroczącego tuż za nią. Na początku było tylko wewnętrznym strachem, później przeczuciem, by w końcu przybrać cielesną postać, której oddech Nawojka czuje na karku. W bezgłośnym przerażeniu zaciska powieki, by nie ulec cichym zaklęciom zjawy.

– Nawojka...

Słyszy za sobą cichy głosik dziecięcy, który tak dobrze zna, w tęsknocie za którym tu przyszła. Odwraca się natychmiast, bez zastanowienia, by zamiast w błękitne oczy siostry, zajrzeć w ciemniejsze od nocy ślepia licha.

I w tej ciemności tonie.

* * *

Nawojka otwiera powoli oczy i podnosi się z zimnej ziemi. Pierwsze, co dostrzega pośród ciemności leśnej wypełnionej mgłą, to drobne ciało. Znalazła ją. Tamira wygląda, jakby spała, złożywszy dziecięce rączki pod główkę osypaną złotymi lokami. Nietknięta przez leśne upiory, bez wyrazu smutku czy przerażenia na bladym obliczu.

– Może po prostu zasnęła – myśli Nawojka.

W środku czuje przeraźliwy chłód, jakby wpadła w przerębel wycięty w środku zimy przez rybaków. Wtem dostrzega drugie ciało, przykryte grubym płaszczem, emanujące jeszcze

ostatkami ciepła, leżące kawałek dalej. Wydaje się jej dziwnie znajome, jednak Nawojka nie podejmuje próby rozpoznania go. Rzuca beznamiętne spojrzenie na Tamirę, ale oczy jej pozbawione są już wyrazu. Odwraca się powoli w stronę, z której przyszła, trzęsąc się potwornie, ogarnięta przenikliwym chłodem, po czym rusza przed siebie wiedziona ciepłą łuną, powtarzając bezgłośnie jedno słowo.

– Cieplej... cieplej.

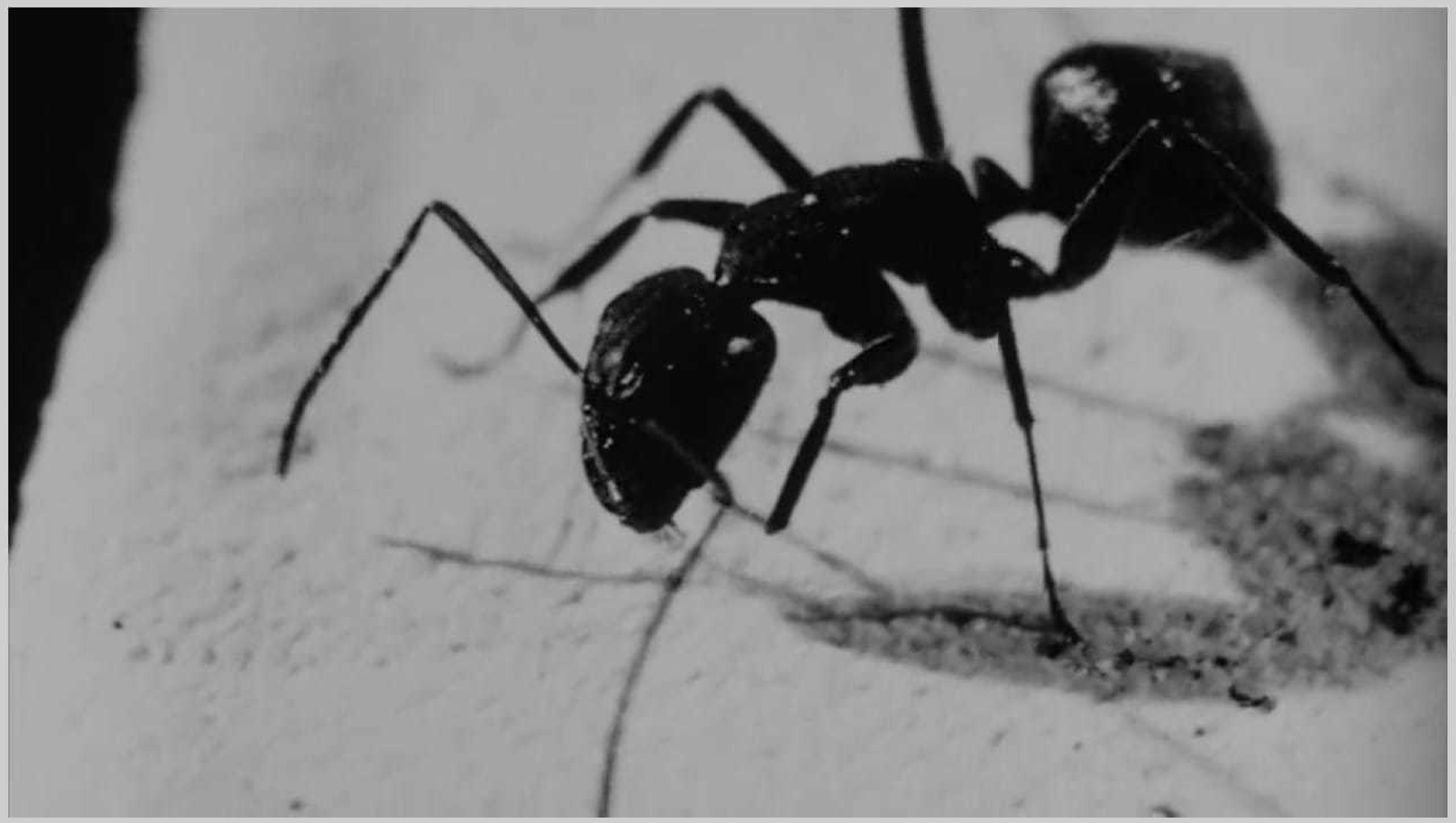

Π [*Pi*], reż. Darrenn Aronofsky, zdj. Matthew Libatique (1998)

Nocnica

Nocnica

Pl. XXII. T. 2. P. 103.

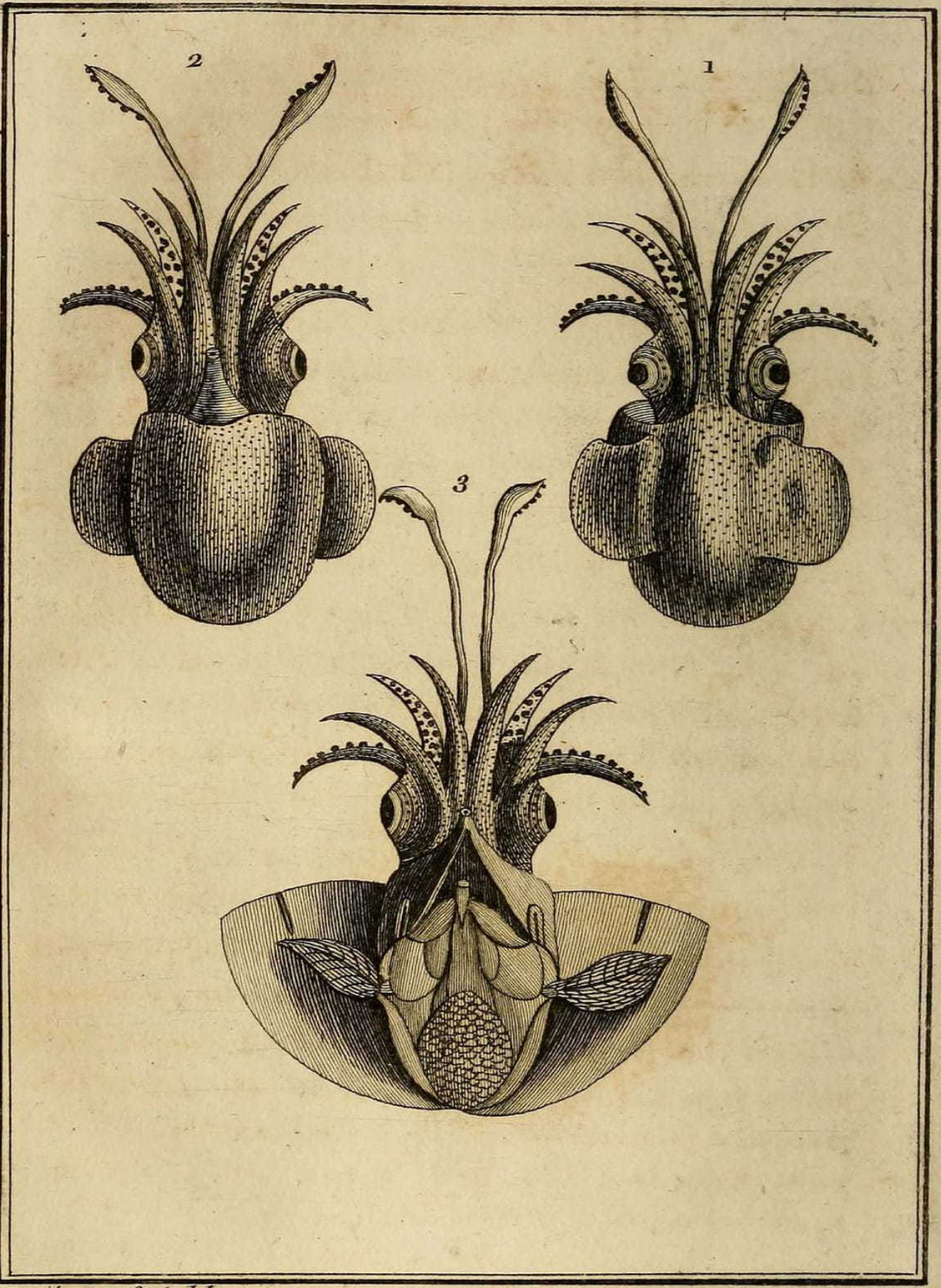

Deny's-Montfort del.

LE CALMAR SÉPIOLE.

Jakub Kraszewski

Figure painting

Figure painting jest określeniem hobby pokrewnego modelarstwu. Polega na ręcznym malowaniu (czasem również wcześniejszym montażu) figurek, często będących wyposażeniem gier RPG lub „figurkowych" odmian gier wojennych. Maluje się je dla czystej frajdy albo w celu późniejszego wykorzystania w grach.

Zaprezentowane tu modele Jakuba Kraszewskiego przedstawiają postaci z dwóch fantastycznych uniwersów powołanych do życia przez produkującą gry brytyjską firmę Games Workshop – mianowicie świata *Warhammer Age of Sigmar* oraz *Warhammer 40.000*.

W pewnym sensie kreacją macierzystą dla obu z nich był świat *Warhammer Fantasy*. Jest to fikcyjne uniwersum, w którym osadzone są batalie powstałej w roku 1983 „figurkowej" gry wojennej *Warhammer Fantasy Battle* i gry RPG *Warhammer Fantasy Roleplay* (WFRP), wydanej w roku 1986.

Kolejne edycje, respawny, suplementacje, ekspansje, spin-offy, remediacje w postaci gier planszowych, karcianych i RPG, gier video, filmów telewizyjnych i fabularnych, powieści, a nawet płyt death metalowych, sprawiły, że setting *Warhammer Fantasy* należy do najpopularniejszych fantastycznych uniwersów gamingowych minionego czterdziesto(z hakiem)lecia.

Charakter świata Warhammera względnie dobrze określają anglosaskie terminy gatunkowe „high fantasy" i „medieval fantasy". Pierwsze wskazuje na epicki wymiar charakterów i fabuł, drugi – na historyczne pierwowzory postaci, motywów, wątków czy mechanizmów motywacyjnych akcji. Jako inspiracje literackie wymieniani są J.R.R. Tolkien, Robert E. Howard oraz Michael Moorcock. Pośród pierwowzorów gamingowych wskazuje się na RPG *Dangeons and Dragons*.

Warhammer Age of Sigmar to w pewnym sensie kontynuacja pierwotnego uniwersum WH. Jest jej nowym wcieleniem po zaprzestaniu rozwijania pierwotnej frenczyzy w roku 2015. Dziedziczy po klasycznym Warhammerze niektóre postacie, motywy i tematy. Tu również settingiem gry jest uniwersum heroiczne „średniowiecznej" fantasy.

AoS reprezentują figurki Bonereapera i Vindictora.

Drugie uniwersum to świat science-fantasy *Warhammer 40.000* po raz pierwszy powołany do życia w roku 1987 pod postacią figurkowej gry bitewnej o takiej właśnie nazwie. Także ona doczekała się kilku modyfikujących edycji, spin-offów, transmedialnych wariantów. Dzieląc ponury, pesymistyczny i dystopijny charakter WH wzbogaca świat o elementy science-fiction i futurystycznej techniki. Inspiracją dlań byli Tolkien, H.P. Lovecraft, *Diuna* Franka Herberta i… *Raj utracony* Johna Miltona.

WH40K reprezentują figurki Marshala Skitarii, Canisa Wolfborna i Logana Grimnara oraz rodzinny portret Death Guard Army.

Żądni pogłębionej wiedzy o biografiach ufigurkowionych typów muszą zerknąć do nieźle opracowanych WH Wiki, albo se poszukać na własną rękę.

Natomiast więcej fajnych obrazków znaleźć można na stronie FB Jakuba – *Retr0n's Mini Forge* (https://www.facebook.com/Retr0ns-Mini-Forge-1885186418463192)

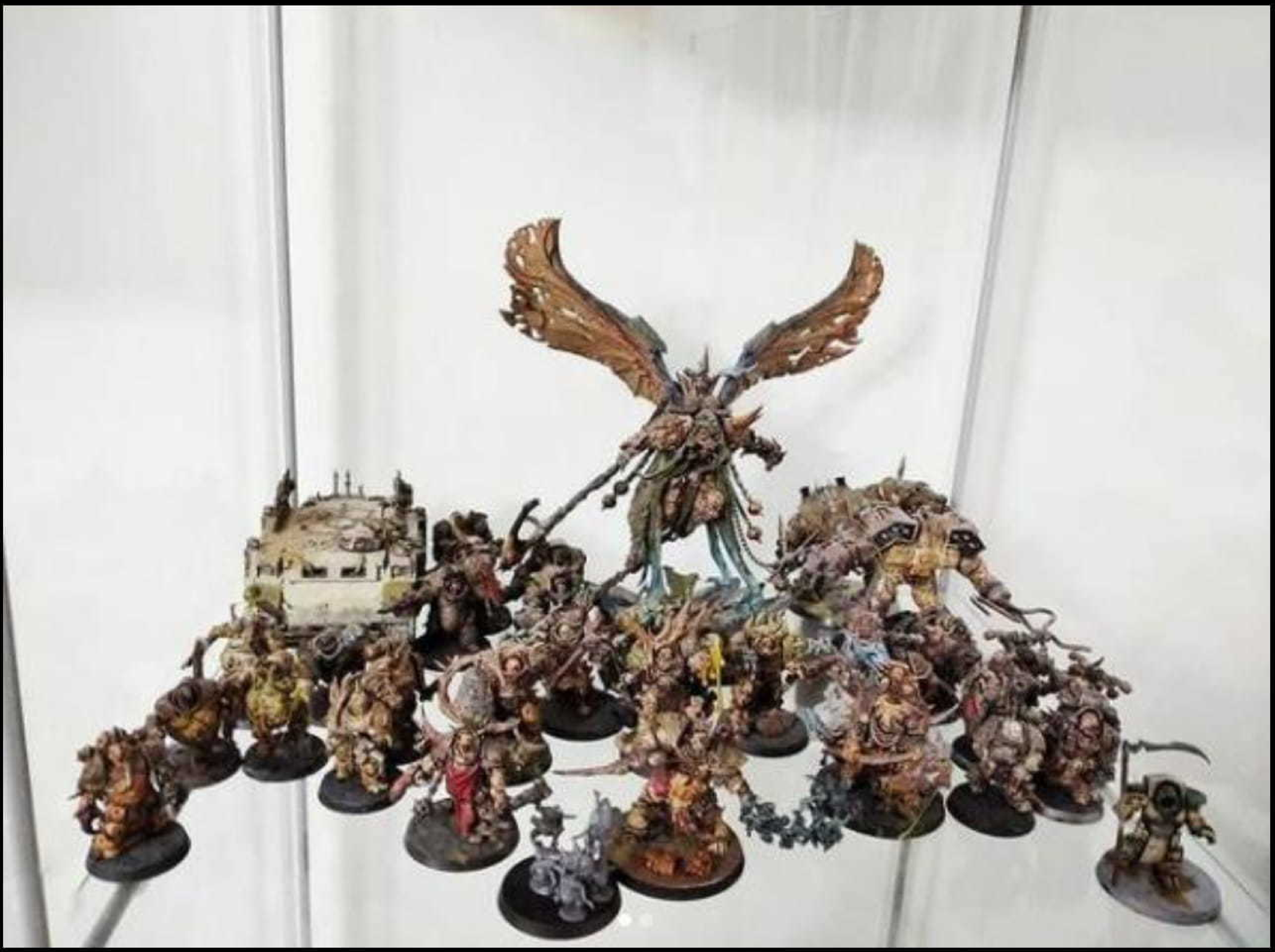

WH40K: *Death Guard army* (2016-2021)

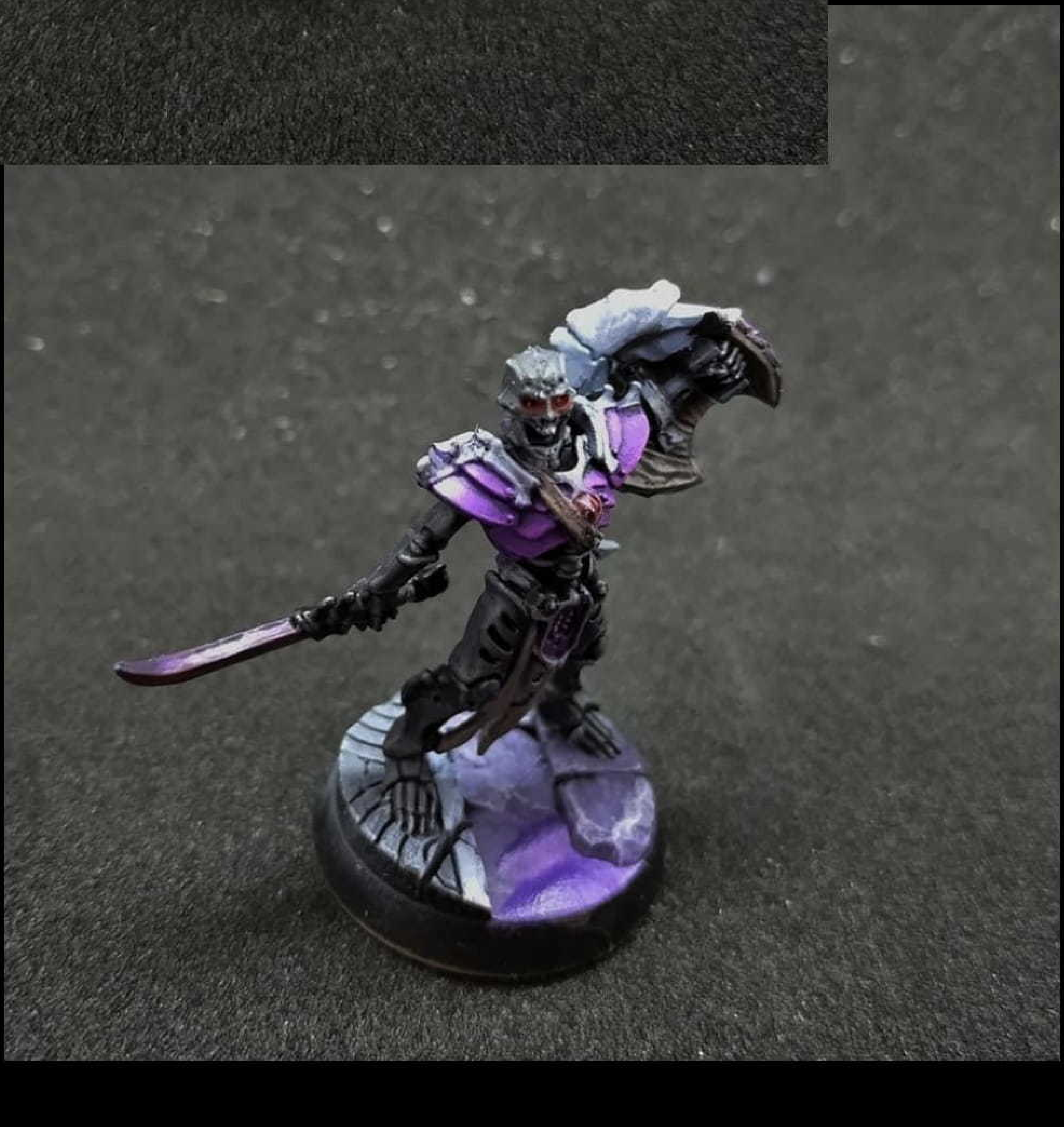

AoS: *Bonereaper no. 1*
(2021)

AoS: *Stormcast Eternal Vindictor*
(2021)

WH40K: *Skitarii Marchal* (2021)

WH40K:
Canis Wolfborn
(2021)

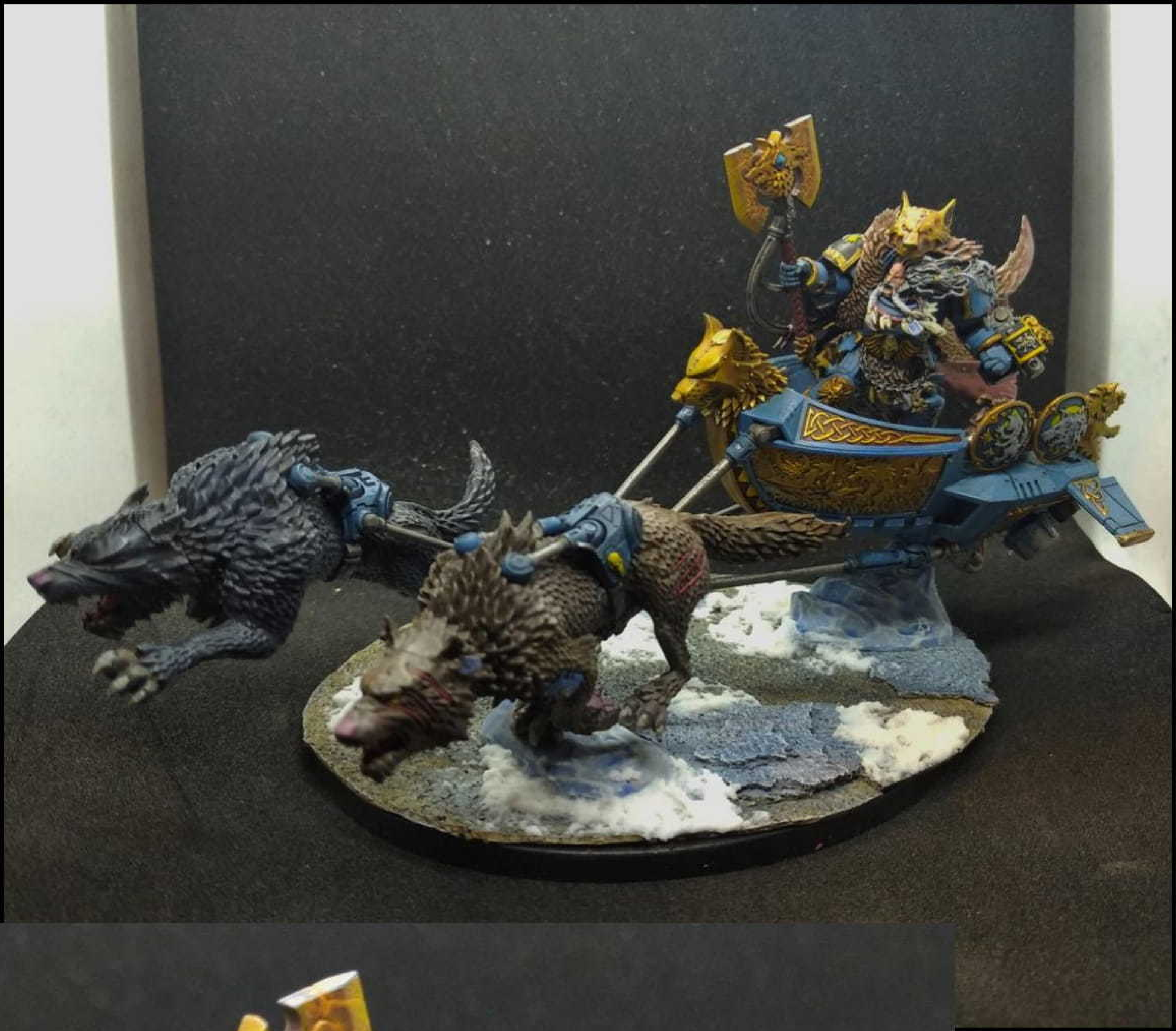

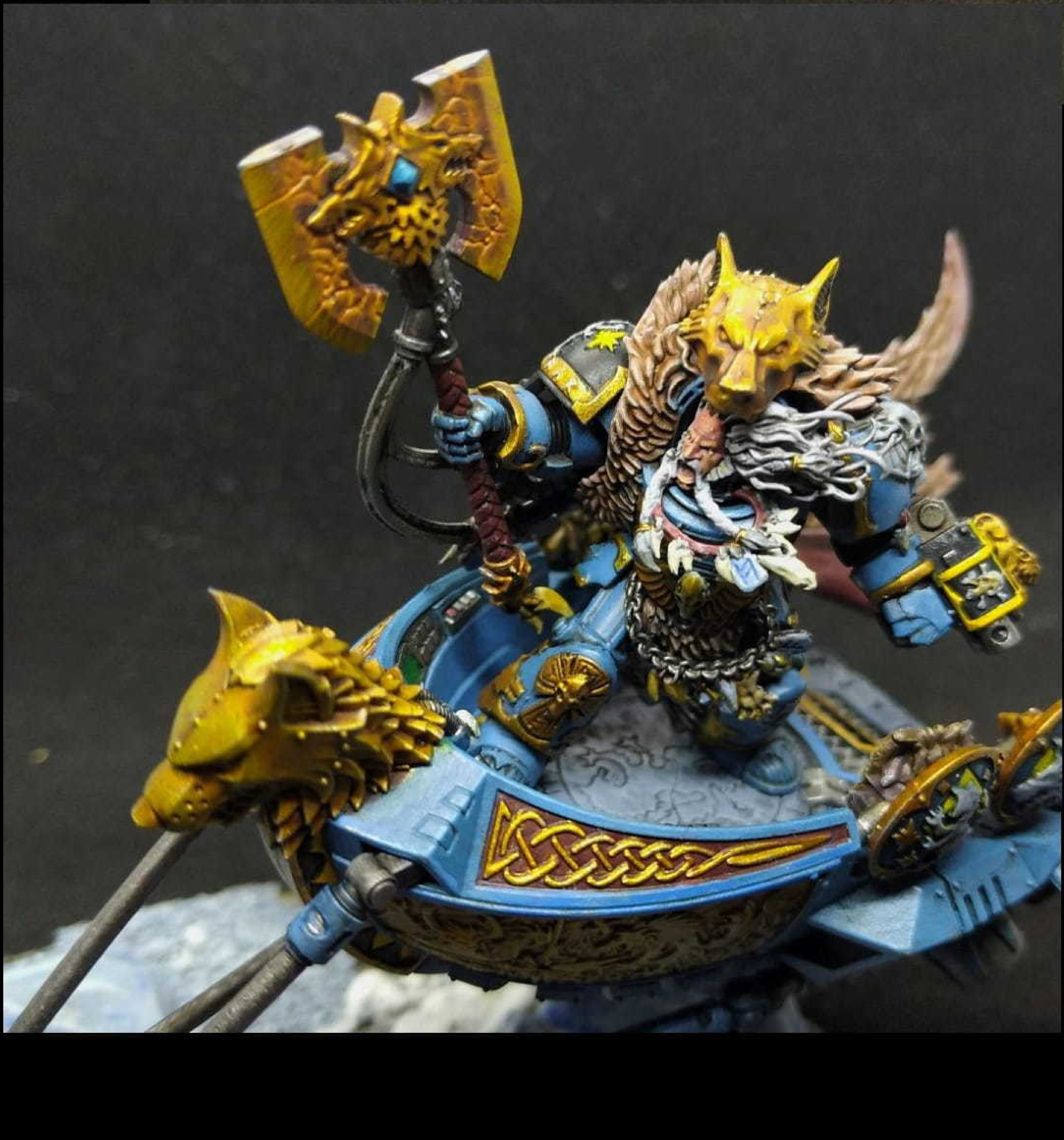

WH40K:
Logan Grimnar
(2021)

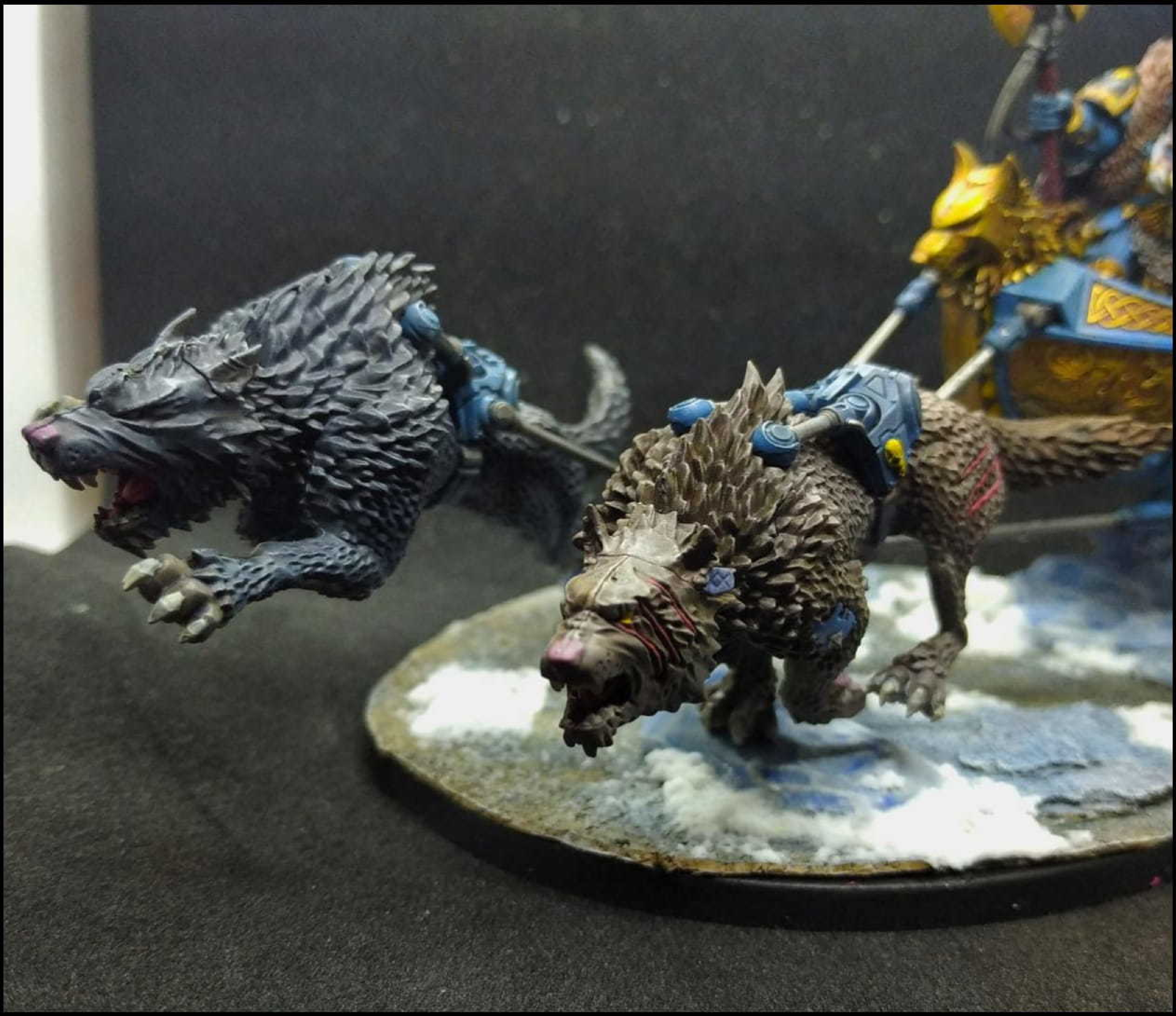

WH40K: *Logan Grimnar* (2021)

Dominika Firyn

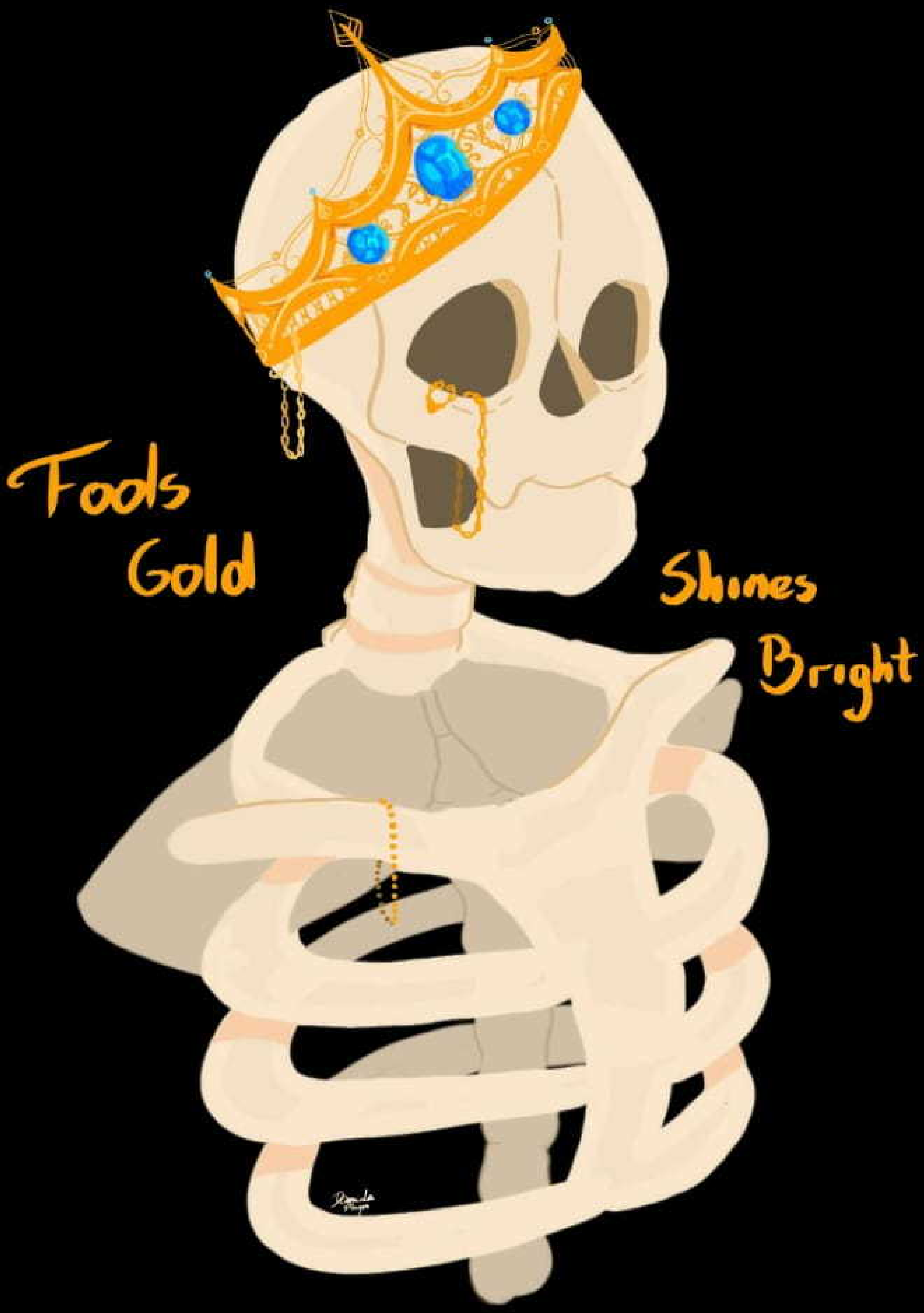

Fools Gold

Omen 1

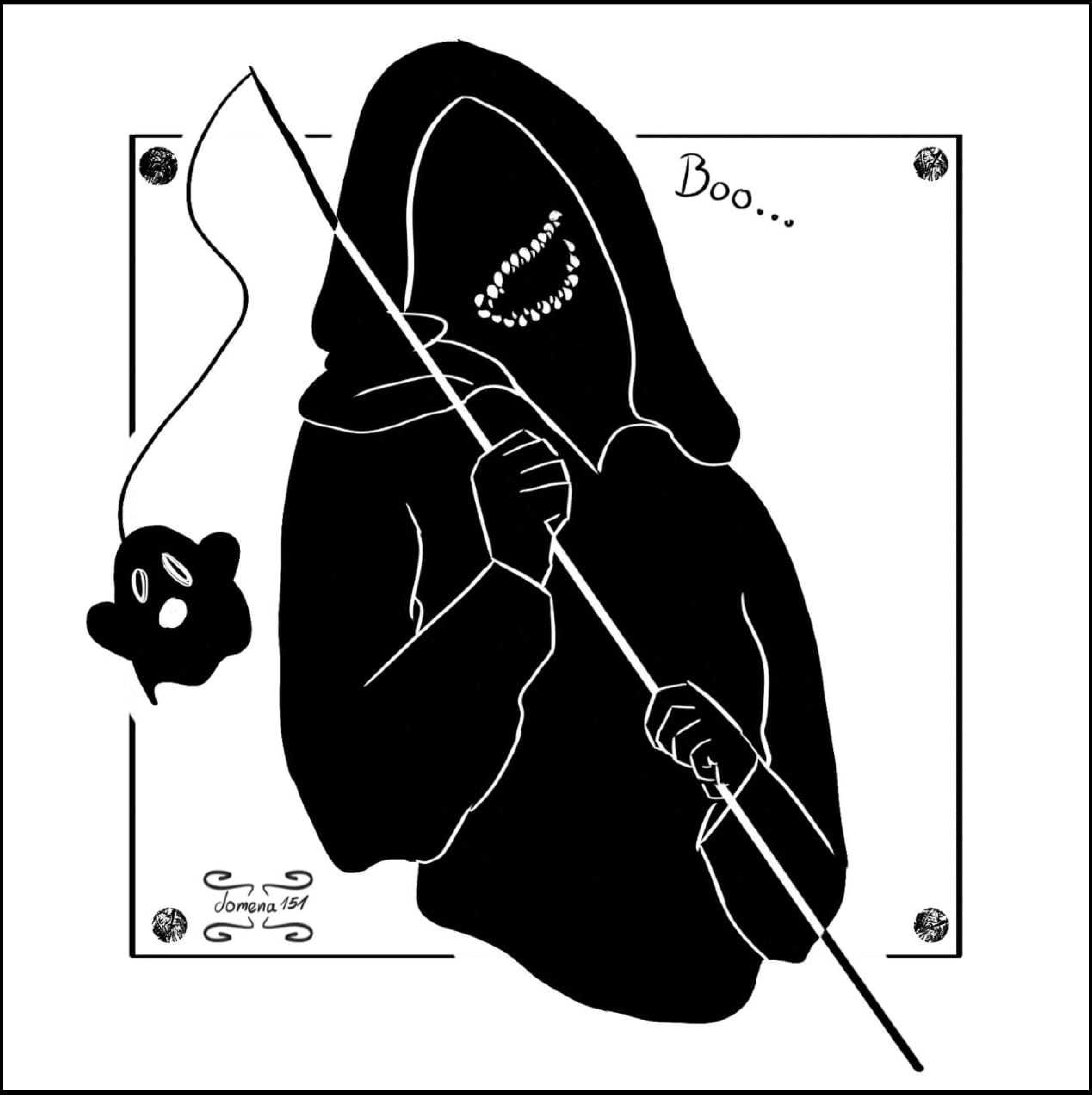

Spooky 1

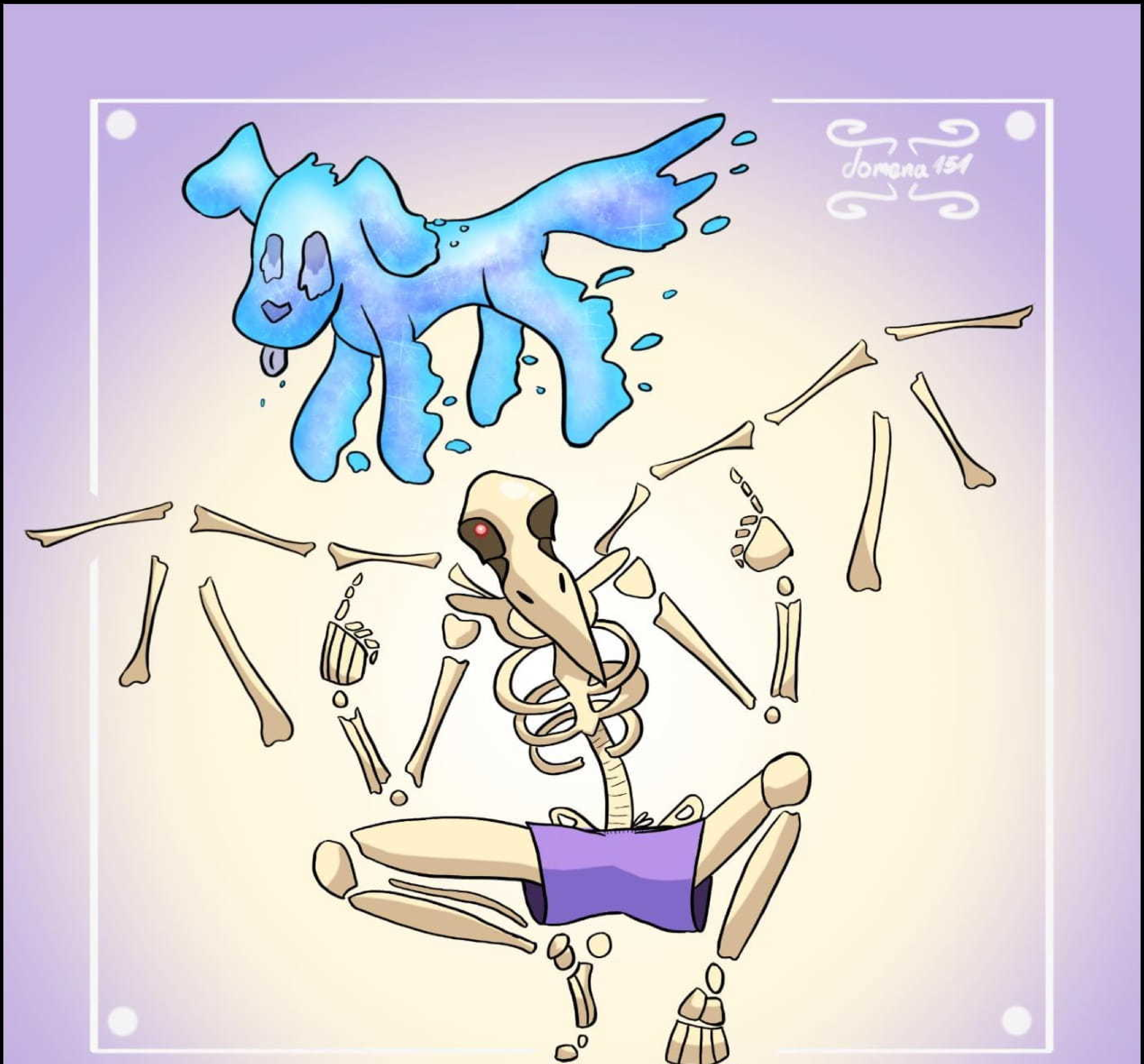

Skeletor 1

Zombie TV 1

Panny morowe ver. 1

Panny morowe ver. 2

Ida Cylwik

Maquillage

W galerii makijaży Idy Cylwik zamieszczamy dwa dodatkowe cykle fotografii:

1. Niezatytułowany przez Autorkę projekt, roboczo w Redakcyi nazywany *Zielonym elfem* lub *Driadą*:

   - modelka: Karolina Rutkowska

   - zdjęcia: Ida Cylwik

2. Projekt *Królowa Śniegu*:

   - modelka: Laura Bącal

   - zdjęcia: Maciej Roszkowski

Dla zachowania walorów indywidualnej ekspresji Redakcya zdecydowała nie ujednolicać biogramów, pozostawiając je w formie nadesłanej przez Autorki i Autorów, jedynie z rzadka uzupełniając o konieczne drobiazgi. :)

Ida Cylwik. Jestem studentką kierunku wiedza o filmie i kulturze audiowizualnej na Uniwersytecie Gdańskim oraz kostiumografii w MSKPU, a także członkinią ekipy produkcyjnej Wild Wave Produkcja Filmowa, gdzie pełnię funkcję charakteryzatorki i scenografki. Interesuję się szeroko pojętą sztuką - malarstwem, filmem, fotografią, modą, makijażem. Dużo maluję - czasem tworząc artystyczne charakteryzacje na twarzy, czasem wykorzystując tradycyjne płótno.

Dominika Firyn – rocznik 2000, najczęściej występuję pod pseudonimem Eriss, zajmuję się grafiką komputerową od prawie sześciu lat, a opowiadania skrobię od niemal dwunastu. Obecnie studiuję na III roku Psychoseksuologii. Interesuję się grami komputerowymi, DnD oraz komiksami (ostatnio z gatunku isekai), nie pomijając oczywiście tonięcia w różnych fandomach- pasją w końcu trzeba się dzielić ;)

Jakub Kraszewski (1998) – początkujący pisarz z mnóstwem niezrealizowanych pomysłów, miłośnik horrorów klasy B, komiksów, kawy specialty i gier retro. Od przeszło dziesięciu lat maluje figurki do Warhammera, od około roku zajmuje się tworzeniem muzyki. Na co dzień student pierwszego roku studiów magisterskich na kierunku wiedza o filmie i kulturze audiowizualnej.

Emilia Kuczmaja, „Aktorzyna” – Artystycznie płodna studentka kulturoznawstwa. Obywatelka Atlantydy. Dziewczynka z zapałkami. Królowa Śniegu. Przez siedem lat grała na deskach Teatru Impresaryjnego im. Włodzimierza Gniazdowskiego we Włocławku. Z zamiłowania do śpiewu postanowiła pójść w jazz. W wyniku nudy splamiła w życiu kilka płócien.
Autorka wierszy, opowiadań *fantasy*, tekstów piosenek i muzyki. Realizatorka koncertu konceptualnego "Ziarna martwych głosów" (Teatr BOTO, Sopot, 02.09.20 r.).

King Kuster – studentka trzeciego roku studiów Wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej, od zawsze fascynowana ludźmi: ich życiowymi historiami, miotającymi nimi namiętnościami, a także osobistymi demonami, z którymi wszystkim przychodzi się mierzyć. Wrażliwa na szeroko pojętą kulturę, w szczególności zakochana w filmie, który jako dziedzina sztuki posiada niesamowicie szeroki wachlarz możliwości przedstawiania i kreowania. Poza tym pogodny człowiek-słowotok, fotograf amator i wielbicielka zwierząt.

Maciej Lipa – jestem autorem opowiadania „Skrzydła zlepione krwią", innych tekstów nie poczyniłem, czyli prozaik ze mnie raczej żaden. Jestem na III roku produkcji form audiowizualnych, więc w wolnych chwilach chwytam się raczej za aparat niż za pióro, a jeśli już za pióro, to są to raczej scenariusze.

Wiktoria Łukaszewicz - studentka Wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej za dnia, nocą zaś freelancerka, ilustratorka i graficzka cyfrowa. Większość czasu spędza na rysowaniu oraz pochłanianiu wszelkiego rodzaju filmów animowanych, jednocześnie próbując stworzyć swoją własną animację. Prowadzi przytułek dla chomików, a resztę dnia przeznacza na układanie puzzli i kolekcjonowanie figurek.

Antoni Majewski – w internecie czasem pojawiam się pod nickiem ang3lo (czyt. andżelo), student Wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej. Piszę głównie prozę, najlepiej czuję się w klimatach fantasy (staram się jak najmniej wzorować na Tolkienie, co bywa trudne), choć próbuję również innych gatunków. Interesuję się sportem, fantasy (Tolkien to mistrz, nauczyciel i inspiracja, uwielbiam też twórczość pana Sapkowskiego, choć on sam mnie do siebie nie przekonuje), mangą, anime, ogólnie kulturą Dalekiego Wschodu, szczególnie Japonii; jak kierunek studiów wskazuje, nieobcy jest mi film, choć zdecydowanie najbliższe jest mi kino gatunkowe, niekoniecznie artystyczne.

Adam Mioduszewski – ur. 2000 r., twórca niczego znanego. Aktualnie stara się przeboleć trzeci rok Produkcji Form Audiowizualnych na UG. W kręgu jego zainteresowań leżą: scenariusze i słabe filmy – swoją przyszłość próbuje oprzeć na obu z nich.

Marcin Romanik – „prozaik" i montażysta filmowy na drugim roku studiów magisterskich Wiedzy o Filmie i Kultury Audiowizualnej. W przeszłości nagrodzony za opowiadania fantastyczne w wejherowskim „Powiewie Weny" oraz „Gniewińskim Piórze" oraz za film „Nie ma czasu do stracenia" na CineramaFest. Prywatnie co jakiś czas sprawdza bilety w kinie i każe ludziom zdejmować buty z foteli. Nie lubi filmowej pretensjonalności, dlatego w tym roku zabiera się do wykreowania animacji dla dzieci.

Urszula Sikora (ur. 1998) – gdańszczanka i studentka psychologii na Uniwersytecie Gdańskim. Publikowana w „Autografie", „Blizie", „Stronie Czynnej" [i „AlmanaXie"! – dop. red. :D] oraz zbiorowych tomach poezji i prozy. Aktywna slamerka. Plan na życie: gdzieś daleko w ciszy głaskać świnie.

Już wkrótce trzeci, jesienny numer almanachu.

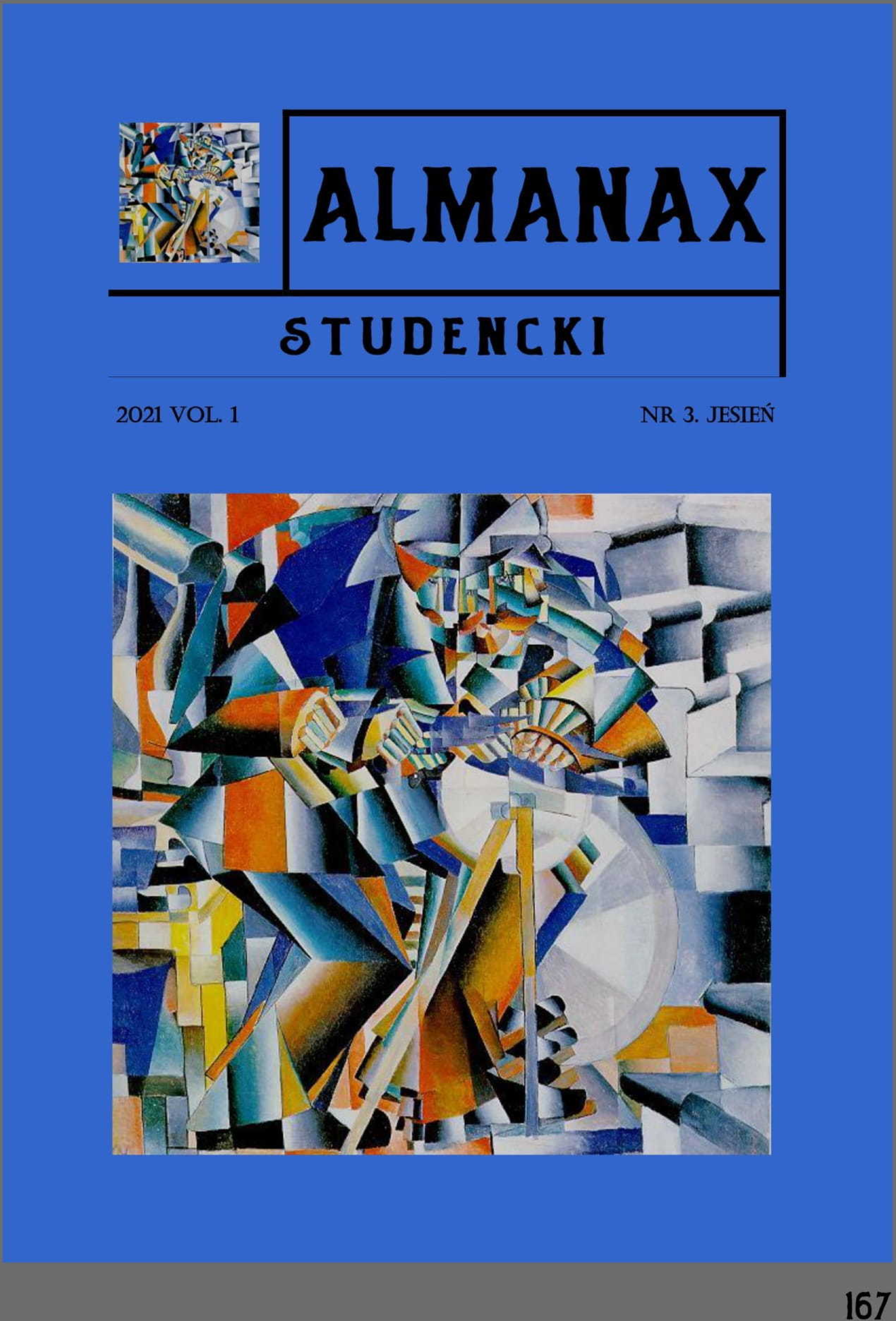

A 31 października, na Zaduszki / Дзяды / Діди / Ilgės / Samhain / Halloween/ Dia de muertos:

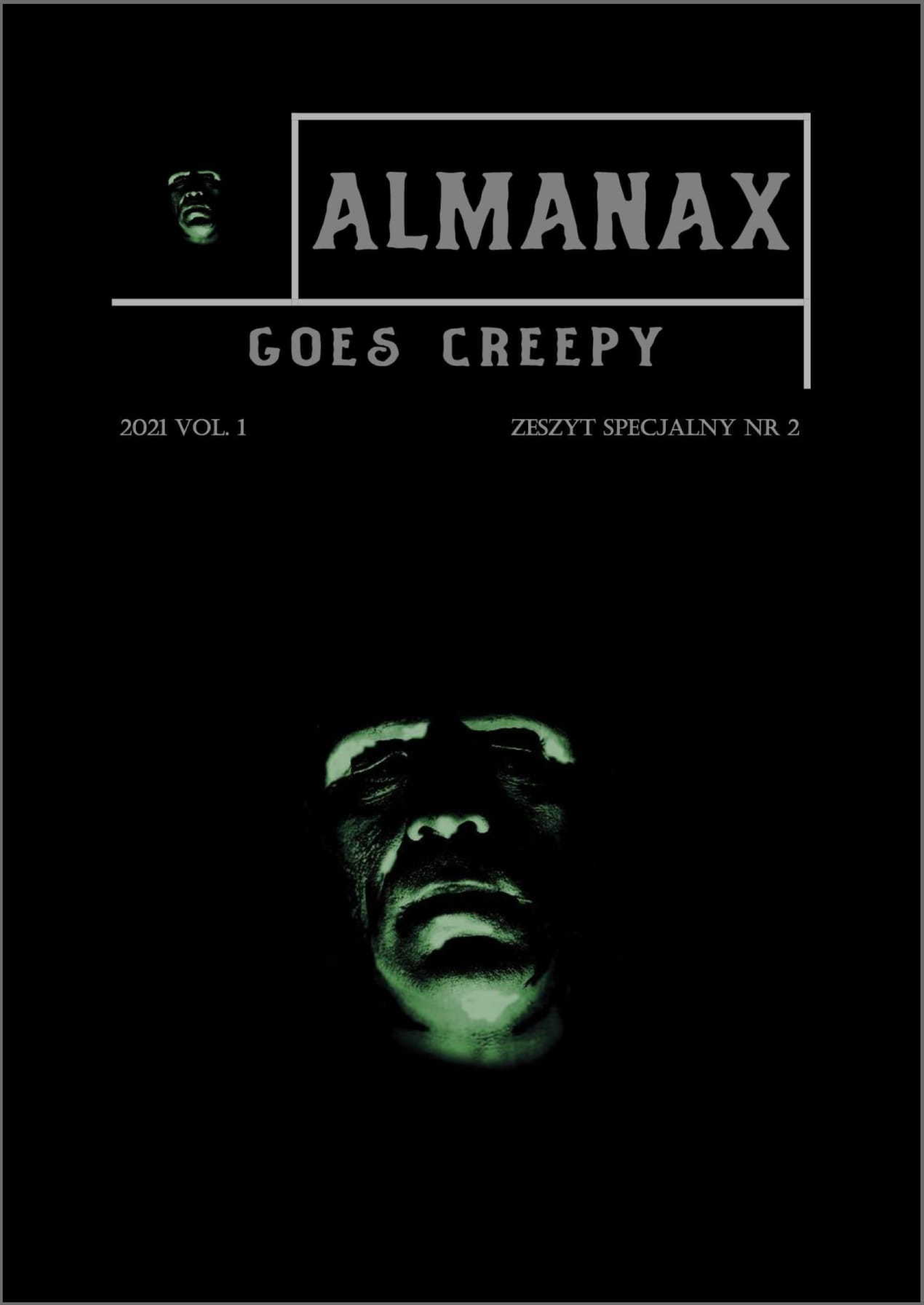

ALMANAX

ALMANACH TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ STUDENTÓW UG

KOŁO NAUKOWE TEORETYKÓW LITERATURY UG

PRACOWNIA HISTORII I TEORII FANTASTYKI

VOL. 1 (2021), ZS 1 *FANTASY*

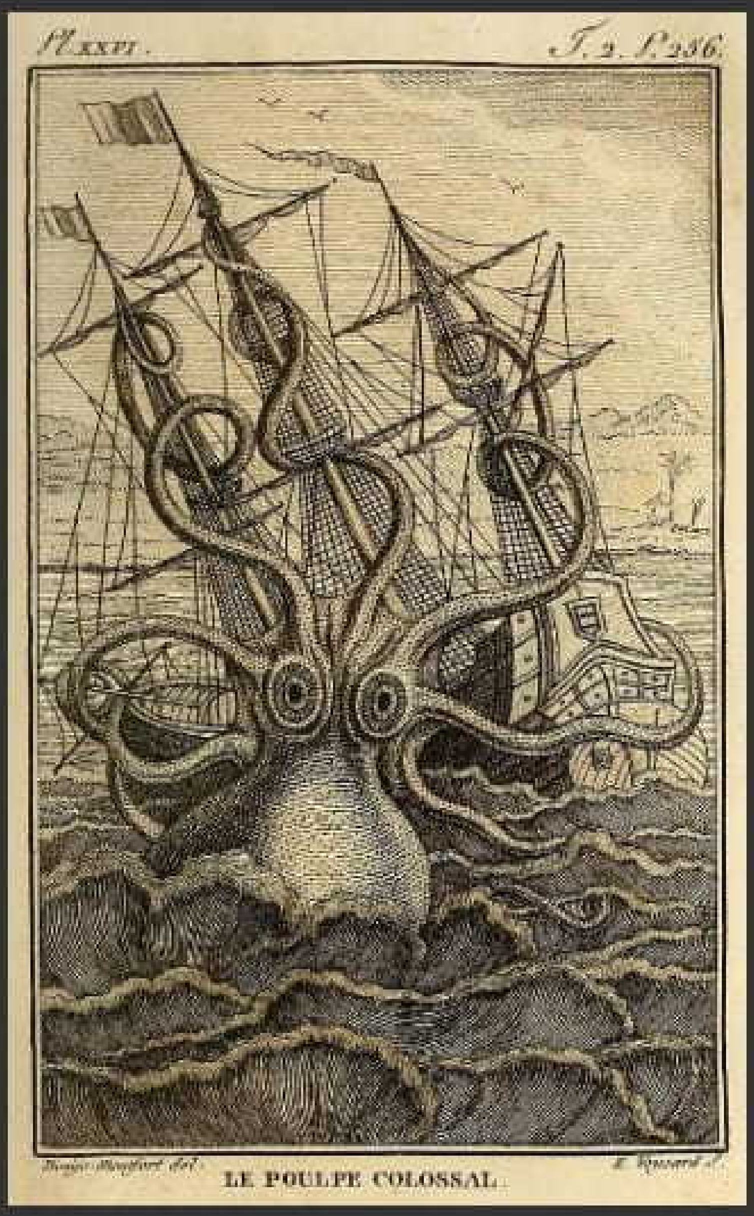

PATRONAT:

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY UG

INSTYTUT FILOLOGII POLSKIEJ UG

UNIWERSYTET GDAŃSKI

Wydział Filologiczny Uniwersytetu Gdańskiego

KOŁO NAUKOWE TEORETYKÓW LITERATURY